



Plotka

czyli oparte na faktach

Elizabeth Renzetti

Diabeł ubiera się u Prady a Augusta Price... kłamie jak najęta!
Uwaga. **Lektura grozi niekontrolowanymi wybuchami śmiechu.**

Prószyński i S-ka

Plotka

czyli oparte na faktach

Elizabeth Renzetti

Przekład
Edyta Jaczewska

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
Based on a True Story

Copyright © 2014 Elizabeth Renzetti
Published by arrangement with House of Anansi Press,
Toronto, Canada.

www.houseofanansi.com

All rights reserved

Projekt okładki
Joanna Strękowska
www.strekowska.pl

Zdjęcie na okładce
Fot. © Caiaimage/Paul Bradbury/Getty Images

Redaktor prowadzący
Anna Czech

Redakcja
Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta
Agnieszka Ujma

ISBN 978-83-8069-644-0

Warszawa 2015

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Dla Douga,
któremu zawdzięczam tytuł tej książki.
I o wiele więcej.

Jej serce być może zostało złamane,
ale był to tylko niewielki i tani organ
miejscowego wyrobu.

– Evelyn Waugh, *Nieodżałowana*

Rozdział 1

Augustę nie po raz pierwszy proszono o opuszczenie kliniki. Otuliła się płaszczem dla ochrony przed wiatrem hulającym po ganku. Jennifer, pielęgniarka, która przyszła się z nią pożegnać, została w środku, jakby bała się wypuszczać poza bezpieczne wnętrze holu. Jedną dłoń podana do uścisku, druga na klamce drzwi. Framuga obłazi z farby, dostrzegła Augusta. Poprzednie kliniki były o wiele okazalsze.

Ujęła wyciągniętą ku sobie dłoń i uściśniła chłodne palce. Jennifer była jej jedyną sojuszniczką w trakcie minionego długiego tygodnia. Choć pobyt powinien trwać dwa.

– Już pani do nas nie wróci – stwierdziła Jennifer.

– Owszem – zgodziła się Augusta. – Już tu nie wrócę.

– No tak – westchnęła kobieta. – Proszę pamiętać, w razie, gdyby sytuacja zaczęła wymykać się spod kontroli, może pani do mnie dzwonić o dowolnej porze. Tu jest numer mojej komórki. – Z kieszeni błękitnego fartucha wygrzebała wizytówkę. Augusta zerknęła na kartonik. Nie bez zdziwienia spostrzegła, że Jennifer ma na imię Claudia.

Drzwi domykały się powoli. Claudia zawróciła do środka, by doglądać pijaków i nicponiów, którzy

wiedzą, jak przestrzegać reguł. Augusta odprowadziła ją wzrokiem. Szczerze pożałowała, że nie postarała się lepiej ukryć pigulek, ale kto mógł przewidzieć, że współlokatorka okaże się donosicielką. Podeszła do krawężnika, przy którym na jałowym biegu czekała taksówka. Z boku na karoserii, w warstwie brudu ktoś narysował penisa, pod nim dyndały słoniowych rozmiarów jądra.

– Oto mój rydwan – sarknęła Augusta.

Egzemplarz lokalnej gazety walający się po chodniku owinął się wokół jej łydki. W nagłówku na pierwszej stronie stało: „Centrum Handlowe Walthamstow szykuje się do obchodów dwudziestopięciolecia”. Walthamstow, wrzód na tyłku Londynu. Tu zaczynała i tu – wbrew wszelkim jej wysiłkom – znów cisnął ją los.

Kopniakiem pozbyła się gazety i sięgnęła do klamki taksówki. Na tylnym siedzeniu tkwiła Alma Partridge, owinięta prastarym futrem, sztywnym jak sarkofag. Augusta wślizgnęła się na miejsce obok. Uderzyła ją mieszanka zapachów trącającego stęchlizną futrzanego płaszcza starszej pani i kebabu, który taksówkarz miał na lunch.

Alma podała kierowcy adres w Camden i samochód włączył się do ruchu. Po chwili położyła suchą jak papier dłoń na ręce Augusty.

– Wyglądasz dobrze, moja droga. Jak było w sanatorium?

Augusta przymknęła oczy, raził ją blask schodzącego

za horyzont popołudniowego słońca.

– W porządku. Mniej spotkań niż zwykle, dzięki Bogu. Ale skoro już pytasz, było nieco tandetnie. Cieniutki kleik.

Poczuła, jak dłoń Almy się cofa.

– Może gdybyś została do końca, kuracja okazałaby się bardziej użyteczna.

Augusta wbrew sobie parsknęła śmiechem.

– Almo, potrafisz wbijać szpile jak rodzona matka. Bardzo mi tego brakowało. Oni wszyscy pletli tylko o bezbronności, wybaczeniu i wzięciu się w garść, żeby znów stanąć na własnych nogach.

– To nic złego.

– I o relacjach. Zamiast o związkach.

Alma się wzdrygnęła.

– To już skandaliczne.

– Jestem ci wdzięczna, że po mnie przyjechałaś, kochanie – powiedziała Augusta. – Naprawdę. Jesteś moją najdroższą przyjaciółką.

– Jestem twoją jedyną przyjaciółką.

Augusta uniosła dłoń. Nadłamany czubek paznokcia zakołysał się niczym uchylona furтка.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. – Odsunęły się od siebie w przeciwne kąty kabiny. Pełne urażenia milczenie przerwała Augusta: – Żadnych fotografów przed drzwiami, kiedy wychodziłam – mruknęła. –

Myślałam, że tabloidy uwielbiają tego typu sensacje. Brudy upadłych celebrytów.

Przy słowie „celebryci” Alma uniosła podkreśloną ołówkiem brew.

– Jak rozumiem, uganiają się za tymi upadłymi niespodziewanie – wytknęła. Przesunęła dłonią po chmurce siwych włosów, starając się wzburzyć rzadkie kosmyki.

Taksówka mknęła w kierunku południowym, światła sklepów i restauracji jarzyły się w zapadającym zmroku. Co druga witryna reklamowała konkurs w pubie, obniżkę na dzbany piwa „z kija”, okazyjne ceny tacek z szotami wódki.

– To jak? – zagaiła rześko Augusta. – Po jednym? – Poczwała, że Alma sztywnieje, i wyciągnęła rękę, by uściskać dłoń przyjaciółki. – Żarcik, kochanie. Taki zwykły żarcik.

Rozdział 2

Augusta nacisnęła lekki przycisk. Automatyczna sekretarka zadygotała i ożyła. Zdumiewające, że toto jeszcze działa. Darzyła ustrojstwo absurdalnie sentymentalnym przywiązaniem. Kiedyś wylała na nie drinka, a ono westchnęło i zdechło. W Kentish Town znalazła warsztat, ale kiedy postawiła urządzenie na blacie, facet spojrzął na nią, jakby przyniosła mu trąbkę akustyczną. „Czy ona stała na deszczu?”, spytał, grzebiąc w bebechach maszyny. „Jest kompletnie zalana”. Jak my wszyscy, pomyślała Augusta. Ale ograniczyła się do uśmiechu.

– Augusto? Wróciłaś z wakacji? – Sekretarka sprawiała, że wszyscy dzwoniący brzmiali jak Orson Welles. Nawet wysoki głos Davida, agenta Augusty, niósł się basowym dudnieniem. – Niecierpliwie wyglądam naszego śniadania w przyszłym tygodniu. Z samego rana, nie zapomnij. Któraś reporterka z „London Advance” chce zrobić wywiad na temat książki, skoro wychodzi w papierowych okładkach. Świetnie się składa, bo zainteresowanie zaczynało lekko przygasać. Troszkę ją podlansujemy, słoneczko... – Kiedy wszedł w przypochlebne tony, Augusta zatrzymała taśmę.

Jej książka krzyczała z przeciwległego kąta pokoju neonowozieloną czcionką tytułu: *Oparte na faktach. Tak jakby wspomnienia*. Wydawca zdecydował się na tę wulgarną ostentację pomimo protestów Augusty, dowodząc, że gustowniejszy kolor stanowiłby mylącą reklamę. Ani ona, ani jej agent nie spodziewali się, że książka tak dobrze poradzi sobie na rynku. Przypadkiem udało im się wstrześcić w chwilową modę na pisane od niechcienia pamiętniki. Jakiś fragment opublikowany w gazecie, przedstawiający ekstatyczne spotkanie Augusty z pewnym szamanem, nakręcił lawinę popularności tuż przed rozpoczęciem sezonu urlopowego. Augusta nie łudziła się jednak, że ten drobny sukces wydawniczy książka zawdzięcza swojej wartości literackiej. W pierwszym tygodniu, gdy *Oparte na faktach* uplasowało się na liście bestsellerów, wcisnęło się pomiędzy wyznania jakiegoś skompromitowanego didżeja oraz autobiografię aktywistki ruchu na rzecz ochrony borsuków.

Żałowała, że jej ojciec nie dożył chwili wydania tych wspomnień. Giovanni pewien był bardzo niewielu rzeczy: po pierwsze, że jedyne warte czytania lektury zostały napisane przez mężczyzn, którzy pracowali przy świetle świec, a po drugie, że jego córka od wczesnej młodości najkrótszą trajektorią zmierza w stronę piekła. Niestety Giovanni od ponad dwudziestu lat spoczywał w grobie. Augusta wyobrażała sobie, jak tam, w górze (czy raczej tam, w otchłani) ojciec nie może się

nadziwić sukcesowi, który jego jedyne dziecko osiągnęło w wieku średnim.

Książka miała się niedługo ukazać w nowym wydaniu, jednak pobyt na rehabilitacji uniemożliwił Auguście działania promocyjne. Dzięki Bogu, że David zorganizował ten wywiad. „Advance” to wprowadzie szmatławiec, ale co rano czyta go w metrze połowa dojeżdżających do pracy.

Rehabilitacja. Co za obmierzłe słowo. Nieodparcie kojarzyło jej się z próbami pokrywania sfatygowanej sofy nowym obiciem.

Stała przy oknie. W dole Regent's Canal połyskiwał mrocznie pod światłami ścieżki holowniczej. Jakaś para siedziała na ławeczce tuż przy kanale i całowała się. Augusta obserwowała ich przez moment. Dwa tygodnie wcześniej cisnęła puszką pomidorów w parkę, która gziła się w ciemnościach, ale to były inne czasy. Za jej siłą w tamtym momencie krył się alkohol. Teraz w mieszkaniu nie znalazłaby żadnych procentów, już Alma tego dopilnowała. Odkryła nawet butelkę po szamponie napełnioną amaretto.

Dziwne, że David wspomniał o książce, ale nie powiedział nic o roli, która powinna przywrócić Auguście należne jej miejsce w oczach opinii publicznej. Szybko rozejrzała się po pokoju. Przecież zostawiła tu gdzieś scenariusz *Kręgu kłamstw*, zanim pojechała do kliniki. Tamten poranek okrywał jakiś mglisty tuman.

Nieważne. Odszuka tekst i zanim się spotkają

na pierwszej próbie czytanej, przyswoi swoje kwestie. To była dobra rola, niewielka, ale wyrazista. Za projektem stała kasa Channel 4, co oznaczało, że może nawet znajdzie się samochód z szoferem. David ręczył za solidność Augusty niemalże własną głową. Znow przed kamerą. Znow potrzebna. To by mogło wszystko zmienić.

Siedem dni i tylko jedna wiadomość. Mało zadowalająca liczba. Czy jest sens zawracać sobie głowę sprawdzaniem maili? Augusta usiadła przy biurku, na którym Alma ułożyła stosik poczty z całego tygodnia. Były tam historyczne w tonie ponaglenie z Urzędu Podatkowego i Celnego, które wyrzuciła do kosza, i ulotka z nowej tajskiej knajpki z jedzeniem na wynos – tę schowała do górnej szuflady.

Na biurku stały dwie z lekka przykurzone fotografie. Pierwsza przedstawiała Augustę i Almę tego tygodnia, kiedy się poznały, trzydzieści dwa lata wcześniej. Augusta była wtedy jeszcze niemal dzieckiem, a Alma, w zaawansowanym średnim wieku, już miała za sobą szmat życia pełen ról i mężczyzn, przeżutych i skonsumowanych z podobnym apetytem. Grały główne role w fatalnej pantomimie w Cromer; grudniowy wiatr szarpał ogromną peruką Almy za każdym razem, kiedy ktoś otwierał drzwi przy scenie. Aktor przedstawiający Wdowę Fu Sy zaprawiał się regularnie likierem miętowym i zagazowywał widownię popołudniówek potężnymi, zionącymi miętą porykiwaniami.

To drugie zdjęcie... Augusta wzięła ramkę i starła rękawem cienką warstwę kurzu. Przystojny chłopak z poważnymi ciemnymi oczami, które przypominały jej kogoś nieokreślonego. Czy nadal mogła nazywać go synem, skoro od siedmiu lat nie zamienili ze sobą ani słowa? Czy w takich sytuacjach obowiązują jakieś przepisy o przedawnieniu?

Odstawiła zdjęcie na biurko i zawróciła do malutkiej wnęki, która służyła za kuchnię. W mieszkaniu panowała denerwująca cisza. Augusta znów sięgnęła w stronę automatycznej sekretarki. Może pod koniec wiadomości od Davida znajdzie się jakaś nagroda pocieszenia? Nacisnęła klawisz odtwarzania i głuchą ciszę wypełnił znajomy głos. David podał czas i miejsce spotkania, podrzucił też kilka smaczków dotyczących ich wspólnych znajomych. W czasie, kiedy jej nie było, odnotował dwa rozsypane małżeństwa i jedną nieudaną operację plastyczną.

Augusta słuchała z roztargnieniem, zachodząc w głowę, czy szklanka wody zdoła w jakiś sposób ugasić jej pragnienie, gdy raptem na dźwięk pewnego nazwiska ścisnęło ją w żołądku. Wykonała błyskawiczny zwrot w stronę sekretarki, wstrzymując oddech. Przecież to niemożliwe, musiała się przesłyszeć. Trzeźwość zaczynała płatać jej nieładne figle.

Drżącym palcem dziabnęła przycisk przewijania i głos Davida rozległ się ponownie. Opadła na krzesło,

zupełnie zamroczona, gdy znów padły te okropne słowa:

– A skoro już mowa o publikacjach, doszły mnie pewne nowiny z Kalifornii. Wiedziałaś, że ten twój dawny kochaś, Ken Deller, pisze książkę? Coś mi się zdaje, że chyba o tobie.

Rozdział 3

Ze srebrzystej maszyny stojącej na kontuarze kawiarni rozległ się syk pary. Augusta obejrzała się za siebie i spiorunowała ekspres wzrokiem. Za jej czasów maszynki do kawy stanowiły dyskretne urządzenia, schowane, jak przystało, w cieniu licznych rzędów butelek z alkoholem. Nawet nie zauważyła, kiedy tak się rozrosły, najeżone dźwigniami, pokrętłami i tarczami, obsługiwane przez akolitów w białych fartuchach.

To nie było Soho, jakie pamiętała. Gdzie się podziały dziwki i sprzedające się w kiblach cioty? Wszystko to przepadło. Raz, wiele lat temu, pod koniec pewnej majowej nocy, Augusta zobaczyła kogoś, kto wyglądał zupełnie jak Francis Bacon i odlewał się pod trafiką na rogu. Teraz był tam sklep z pojemnikami obiadowymi wielokrotnego użytku.

Pograżyła się we wspomnieniach o butelkach, które kiedyś stały za barem, tworząc magiczną linię miejskiego horyzontu, gdy w jej myśli wdarł się głos:

– No więc chciałabym panią zapytać jeszcze o kilka spraw... – Augusta skupiła się na dziewczynie, która miała przeprowadzić z nią wywiad. Przysłali ją z jakiejś gazety? Kolorowego pisma? Nie, kobiety z kolorowych pism charakteryzowały się wojskową precyzją

w dbałości o wygląd: żaden włoszek nie śmiał wysunąć się przed szereg, buty i paznokcie wprost lśniły. Ta tutaj wydawała się nie do końca wypolerowana. –

Chciałabym spytać o czasy, kiedy pracowała pani na wyścigach psów w Walthamstow. W młodości.

– Aż tak dawno? – odpaliła Augusta, wyraźnie pesząc swoją rozmówczynię. Kątem oka pochwyciła pustą butelkę po Montrachet stojącą na sąsiednim stoliku. Dwóch poczerwieniałych na twarzach chłopaków z City uporało się z nią wyjątkowo sprawnie. Czy zamówienie brandy do lunchu byłoby jakimś strasznym nietaktem? Brandy pijają przecież w Oksfordzie. Właściwie trudno nazwać je poważnym alkoholem.

Oderwała wzrok od opróżnionej butelki po winie. Już pięć dni wytrzymała bez picia, a każdy stanowił trudną, zwycięską walkę. Kiedy co wieczór wsuwała się do zimnego łóżka, powtarzała sobie, że właśnie zdobyła Kilimandżaro na wózku inwalidzkim, i gratulowała sobie, że się nie użala. Siedząca naprzeciw niej dziewczyna, nerwowo starająca się przygłodzić kosmyk ciemnych włosów, nie miała zielonego pojęcia o jej bojach. Była ładna i miała regularne rysy, ale kardigan z Marks & Spencer w rozmiarze odpowiednim dla zawodnika rugby z pewnością nie dodawał jej uroku.

Augusta się uśmiechnęła.

– Niesamowite miejsce ten psi tor. Ileż szyku, bardzo w stylu East Endu. Kombinatorzy i ich damulki, wszystkie kobiety miały ogromne fryzury i pachniały

Youth Dew. Ja tam byłam tylko kelnerką, pod koniec wieczoru zbierałam puste kieliszki, ale jeśli wpadło się w oko któremuś z miejscowych cwaniaków, któremu powiodło się na wyścigach, to potrafił wysupłać dziesiątaka i wsunąć ci go za dekolt. – Przechyliła szklankę i dopiła ostatnie krople wody. – Oczywiście teraz po tym torze nie ma już śladu. Pewnie działa tam jakiś market w stylu „wszystko za funta”.

Dziewczyna nachyliła się bliżej. Paznokciami, świeżo polakierowanymi i jeszcze bardziej świeżo obgryzionymi, zabębniła w obwolutę leżącej między nimi książki. Na zdjęciu Augusta sprawiała wrażenie, że jej własne oczy wątpią w to, co mówią usta. Wiedziała też, że na fotografii wygląda młodziej niż w rzeczywistości.

– Księżniczka Małgorzata naprawdę przyszła któregoś wieczoru na psi tor?

Augusta obrysowała palcem ślad, jaki szklanka z wodą zostawiła na stoliku.

– Sądzę, że lubiła czasem się poszłajać. Odrobina rysztocka, a potem z powrotem do Kensington. Zamówiła podwójny gin z lodem, a później odesłała go, bo lód nie był dość zimny. Wspomnienie, które będzie mi towarzyszyć aż do grobu.

– No, to był niesamowity fragment. Znaczy ten o siostrze królowej na psim torze w Walthamstow.

Na twarz Augusty powoli wypełził uśmiech.

– Zastanawiasz się, czy cokolwiek z tego jest prawdą

– stwierdziła. – Chyba sama się o to prosiłam, biorąc pod uwagę tytuł książki. Nie żeby to miało jakieś znaczenie. To przemysł rozrywkowy, kochanie. – Dziewczyna skrupulatnie skrobała piórem w swoim notesie. – Och, na litość boską, dziecko, nie zapisuj tego! Pozostaw co nieco wyobraźni swojego czytelnika. Tę rezonującą przestrzeń pomiędzy wierszami.

– Ale mnie za tę przestrzeń nie płacą.

Po raz pierwszy tego popołudnia Augusta szczerze się roześmiała.

– No to musisz wynegocjować sobie lepsze warunki, Stello.

– Pewnie powinnam – odparła dziewczyna. – W te klocki nie jestem zbyt dobra. – Urwała na moment, a potem dodała: – Mam na imię Frances.

– Aha. A ja przez całe popołudnie nazywam cię Stellą.

– Nie, raz zwróciła się pani do mnie per Jacqueline. Ale to miło, że szuka mi pani ciekawszego imienia.

Augusta wzruszyła ramionami.

– Po co malować ściany na kremowo, skoro mogą być pomarańczowe?

Powiodła spojrzeniem w stronę drzwi, gdzie jakaś starsza pani w futrze, podejrzanie przypominającym skórę zdartą z orangutana, szarpała się z wózkiem na zakupy. Na zewnątrz przechodnie śpiesznie przemierzali wąski chodnik, typowy dla Soho, patrząc bardziej w swoje telefony niż pod nogi. Do okna sex shopu po przeciwnej stronie przyklejony był kartonowy

plakat, na którym wypisano niebieskim mazakiem informację: „Pozowanie artystom na piętrze. Nie trzeba wcześniej umawiać. Drzwi są otwarte”. Wywieszka na sąsiedniej kamienicy, schludniejszej i bardziej oficjalnej, głosiła: „To nie burdel”. Ostatnie ślady po dawnym Soho, zachwalające swoje brudne towary turystom.

Przy ich stoliku pojawiła się kelnerka.

– Czy mogę coś jeszcze paniom podać? – spytała, zdejmując jakiś włos przyczepiony do fartuszka.

– Dla mnie cappuccino – poprosiła Frances. – Czego pani się napije, Augusto?

Augusta wiedziała, że powinna dołączyć do zrzeszenia kawiarzy, zaznaczając, że ona również ma popołudnia zapchane sprawami istotnymi. Ale na samą myśl o kawie jej żołądek ogłaszał bunt. Jedna brandy wystarczyłaby, żeby złagodzić ostre krawędzie dnia.

Zawahała się na moment. Jednym uchem słyszała ostry głos Almy, ale dokuczliwe łupanie za lewym okiem pchało ją w przeciwnym kierunku. Nikt jej tu nie znał. Z pewnością nie ta dziewczyna. Ostatecznie wygrał jednak głos przyjaciółki; Augusta obiecała sobie, że zadzwoni do Almy i pochwali się tym zwycięstwem.

– Napiję się kawy – powiedziała. – Może być to paskudztwo z mnóstwem mleka.

Książka wciąż leżała pomiędzy nimi, jej strony jeżyły się żółtymi samoprzylepnymi karteczkami. Frances

przysunęła ją bliżej siebie, przez chwilę panikując na myśl, że Augusta może otworzyć ją i zobaczyć notatki typu: „Strona 24: Dostaje tylenol 4 od swojego lekarza? Istnieje w ogóle coś takiego jak tylenol 4?! Może tylko dla gwiazd! Strona 62: Kradnie pigułki ojcu. Akurat! Strona 117: Czy bibułkę kwasu można sobie położyć na gałce ocznej? Zapytać”.

Ale nie zapytała. Na razie nie.

Kobieta siedząca naprzeciwko nie przypominała demona z kart książki. Jakieś ziarnko ryżu przylepiło się do jej dekoltu, obramowanego zuchwałym wycięciem nie do końca dopiętej bluzki. Lekko połyskujący eyeliner rozmywał się w kąciku brązowego oka. Dłonie nieznacznie drżały.

Zadaj to pytanie, Frances ponaglała się w myślach. Zadaj wreszcie to pytanie.

– Mam nadzieję, że nie zajęłam pani zbyt wiele czasu – odezwała się. – Zostało mi już tylko parę pytań.

– A ja mam nadzieję, że będę mogła udzielić odpowiedzi. – Tępy ból za oczodołami Augusty zaczął pulsować w rytm kawałka Thompson Twins, który rozległ się właśnie z kawiarnianego sprzętu grającego. Każda piosenka przenosiła ją z powrotem w lata osiemdziesiąte.

Gdy tylko postawiono przed nimi filiżanki, Augusta zaczęła hojnie sypać cukier do swojej.

Wtedy Frances wreszcie zebrała się na odwagę.

– Skoro już pani o tym wspomina, istnieją pewne dość

rzucające się w oczy – no cóż... rzekłabym, niedopowiedzenia... – Cały jej hart wyparował na widok chmury, która zasnuła nagle twarz Augusty. – To znaczy pewne tematy są poruszane... I więcej pani do nich nie wraca... Co może dotyczyć spraw ważnych, a przynajmniej znaczących... i być może też bolesnych... – Frances sięgnęła po swoją filiżankę. Musiała przestać pleść. Augusta wpatrywała się w nią w milczeniu. Takim wzrokiem mogłaby obserwować złodzieja powoli kołyszącego się na stryczku sznura. – Pani syn, wspomina go pani wyłącznie raz, o ile się orientuję, i zastanawiałam się, dlaczego...

Augusta gwałtownie odepchnęła krzesło od stolika.

– Opowiedziałam tę historię, którą chciałam opowiedzieć. Nie było potrzeby wciągać w nią całego świata. Wybaczysz, Frances? – Ostrożnie zabalansowała na swoich platformach z pomarańczowego welwetu, i wstała od stolika. Kilkukrotnie poruszywszy biodrami, odrobinę obciągnęła spódnice, po czym oddaliła się chwiejnym krokiem.

Poszła do toalety czy poszła sobie w ogóle? Czy tak wyglądał jej foch? Jeśli tak, do cholery, skąd się wziął? Żadna z osób, z którymi dotąd Frances robiła wywiady, nigdy nie odeszła od stolika z urazą, ważną czy nieważną. Choć raz przypadkiem doprowadziła pewną sławną autorkę książek dla dzieci do płaczu, wspominając o podobieństwie jej męża do Marty'ego Feldmana.

Kręcąc się na krześle, Frances rozglądała się za kelnerką. Czas poprosić o rachunek i czmychnąć z powrotem do redakcji. Przyznać, że sknociła wywiad i nie udało jej się uzyskać odpowiedzi na jedyne pytanie, które dawało szansę na niezły materiał. Czas stawić czoło gniewnej minie Stanleya oraz – co gorsza – jego rozczarowaniu.

Stanley Pfeffer, redaktor działu reportażu w „London Advance”, stał za coraz bardziej ekscentrycznymi tematami zlecanymi codziennie Frances. Kiedy pewnego aktora przyłapano w kabinie traktora ukradzionego farmerowi, z poziomem alkoholu we krwi sześciokrotnie większym niż dozwolony, Frances wysłano do pubu, żeby sprawdziła, czy można się do tego stopnia upić, nie zapadając w śpiączkę. Pływała też w grudniu w jeziorze Serpentine, żeby przetestować nowe dane na temat hipotermii z Uniwersytetu w Edynburgu. „Z nieba nam spadłaś, Frances”, powtarzał Stanley, kiedy oddawała najnowszy artykuł. „Nie mogę zmusić tej bandy do żadnej roboty poza drapaniem się po tyłkach, a i wtedy życzą sobie płatności za nadgodziny”.

Okazywał jej zaufanie, jakim nikt inny wcześniej jej nie obdarzał, zachęcał do pracy i rano, i w pubie wieczorami, gdzie siedzieli, rzewnie wspominając dawne dobre czasy prasy drukowanej, które Stanley pamiętał o tyle o ile, a Frances wcale.

Nagłe szurnięcie kazało Frances podnieść wzrok.

Zobaczyła bohaterkę swojego wywiadu – świeża szkarłatna szminka i odrobinę przygładzone rdzaworude włosy. Augusta zajmowała na powrót miejsce przy stoliku. W powietrzu zawisło niewyrażone słowami porozumienie: Zaczniemy od nowa, dobrze?

Frances otworzyła notes, desperacko szukając balsamu, który mógł ukoić nastrój.

– A więc dorastała pani w Walthamstow? Czytałam gdzieś, że powiedziała pani: „Urodziłam się, żeby wyjechać”. Naprawdę było tam tak źle?

– Zakładam, że nigdy tam nie byłaś, Frances. I doprawdy, dla twojej własnej higieny psychicznej, lepiej, żeby tak pozostało.

– Ale to przedmieścia, prawda? Ładne domy i parki?

Śmiech Augusty zakończył się lekkim beknięciem, które ukryła za grzbietem dłoni.

– To nie Ameryka, kochanie. Nie ma tam podskakujących czirliderek. Domy były maleńkie. Wilgotne. Tak maleńkie i wilgotne, że mężczyźni zwykli budować sobie szopy u krańca ogrodu, w których spędzali cały czas, chowając się przed swoimi kobietami i robiąc Bóg raczy wiedzieć co. To było uosobienie rozpaczy. – Jej głos ucichł. Spojrzała na Frances z wymuszonym uśmiechem. – Gdzie dorastałaś? Twój uroczy akcent podpowiada mi, że nie był to Londyn ani okolice.

Tej chwili Frances zawsze najbardziej się bała. Anglicy pytają cię, skąd jesteś, wyrażają

zainteresowanie, a tymczasem ich umysły już kostnieją wokół pewnego zestawu uprzedzeń: Popatrzcie tylko na jej lśniąca zęby, chociaż wychowała się na tostach Pop Tarts i kanapkach z cukrowymi piankami. Pierwszy paszport wyrobiła sobie po trzydziestce. Nosi majtki z napisem: „Należę do Jezusa”.

– Jestem Amerykanką – przyznała, z niechęcią słysząc, jak defensywnie to zabrzmiało. – Z Kalifornii.

Na słowo „Kalifornia” Augusta wyprostowała się na krześle. Przez chwilę nie mówiła nic i tylko przyglądała jej się z denerwującym natężeniem. Frances znienacka pojęła, jak musi się czuć gazela przy wodopoju, wiedząc, że w pobliżu czai się lampart.

– Czy znasz może gościa nazwiskiem Kenneth Deller?
– rzuciła po chwili Augusta. – Zaskoczona, Frances pokręciła głową. – Kiedyś był dziennikarzem. Zanim jeszcze przyszły twoje czasy, jak sądzę. Był „oldskulowy”, jak wy, dzieciaki, lubicie mówić. Prawdziwy egzemplarz z Fleet Street. Chryste, jak to brzmi, zupełnie jakbym sama tu przyleciała dwupłatem.

– Chętnie o nim posłucham. Uwielbiam historie z tamtych lat. – Frances uniosła łyżeczkę do ust i oblizała ją. – Założę się, że palił.

Sformułowanie odpowiedzi zajęło Auguście chwilę.

– Tak, kochanie, palił. Palił wszystko, co się dało palić.

Wystarczyło wymienić jego nazwisko, a ogarniała ją

gorycz. Ale siedząc tu, w Soho, czuła też napływ cieplejszych wspomnień, jakiś okruch jasności na tle czerni swojego obecnego nastroju. Poznała Kennetha w chińskiej restauracji przy sąsiedniej ulicy, kiedy Soho było jeszcze rysztockowe i godne miłości. Tamten wywiad zaczął się całkiem podobnie do tego teraz, przy lunchu, a skończył się cztery dni później w Salford. Ani jedno słowo nie trafiło do druku. To był jej pierwszy wywiad, przeprowadzony wkrótce po tym, gdy punkowa wersja *Hamleta* przyniosła jej rozgłos. Jej odczytanie Ofelii pociągnęło za sobą falę oburzenia.

Kiedy Deller pojawił się z półgodzinnym opóźnieniem w Golden Fortune na Greek Street, Augusta zbierała się już do odejścia. Wpłynął do środka w aromacie Bell's i Benson & Hedges, sterczącą żółtą grzywą omal nie strącając znad drzwi wywieszki zachwalającej tysiącletnie kacze jaja.

– Jak miło wreszcie pana poznać – odezwała się Augusta, kiedy przystanął przy stoliku i wyciągnął do niej na powitanie wielką różową łapę. Zignorowała ją. – Nie, rękę może pan zatrzymać przy sobie. Mam dwie swoje i właśnie się zastanawiam, czy jednej nie użyć, żeby dać panu porządnie po buzi.

– Oho! – zawołał niezrażony. – Patrzcie państwo! – A potem rozsiadł się za stołem, rozprostowując długie nogi w przejściu, żeby nie mogła mu zwiać. Augusta nigdy nie zdołała pojąć tej męskiej skłonności do zachowań terytorialnych, tego zwyczaju

rozpościerania szeroko ramion i rozstawiania nóg, zupełnie jakby byli rozłożystymi roślinami walczącymi o każdy centymetr światła słonecznego. Kenneth Deller zapalił papierosa i obserwował ją z szerokim, bezczelnym, całkowicie pozbawionym skrępowania uśmiechem, nad którym wielką, jasną chmurą sterczały majestatycznie włosy. Z góry na dół cały był jednoosobowym pokazem fajerwerków: na szczycie złota flara, niżej obcisła lawendowa koszula, ciemniejszy fiolet sztruksowych spodni. Był wprost śmieszny. Augusta nie widziała jeszcze nigdy pawia poza zoo i teraz nie mogła oderwać od niego oczu. –

A zatem – zagaił, nachylając się do niej – proszę mi opowiedzieć swoją historię, panno... Augusto... Price.

Postukał palcem trzykrotnie w grzbiet jej dłoni. Pod wonią szkockiej wyczuła jakiś inny, nieco słodkawy, chemiczny zapaszek. Przypomniwał jej matkę, przy tych rzadkich okazjach, kiedy rodzice pozwalali sobie na wieczór poza domem w pubie Lord Palmerston. Lakier do włosów, tak, to jest to. Wyobraziła sobie jego łazienkę, zapasowe pojemniki Elnett w szafce, popielniczkę balansującą na krawędzi wanny. Aż do tej chwili była przerażona – jej pierwszy poważny londyński wywiad i kto wie, czy go nie sknoci. Potem jednak lęk się ulotnił. On był zupełnie taki sam jak chłopcy, wśród których dorastała, tylko nieco bardziej pomarańczowy. I lawendowy.

Nie po raz pierwszy podjęła w ciągu sekundy decyzję,

która byłaby sensowniejsza, gdyby poprzedziło ją parę minut zastanowienia.

– Wiesz co, Kenneth? Nie jestem pewna, czy mam nastrój na chińszczyznę.

Rzucił jej uśmiech, który z pewnością już mu się wcześniej przysłużył, i zdusił niedopałek. Wcisnąwszy notes do wzorzystej torby, jaskrawszej niż wszystko, co posiadała Augusta, sięgnął po jej dłoń. Zostać tu, gdzie jest, i leczyć urażoną dumę, czy iść za tym facetem z torbą w pomarańczowe kwiaty? Zdawało się, że to dziwnie brzemienne decyzja.

– No i poszłam za nim, kochanie – dokończyła opowieść, patrząc, jak kelnerka przeciska się obok z karafką wina. – Poszliśmy kawałek dalej ulicą do Pillars of Hercules. Znasz ten pub? Odrażające miejsce. Zawsze śmierdzi tak, jakby nalewali z kija kocie szczyny. Tak czy inaczej, wywalili nas stamtąd, bo Kenneth uznał, że barman pożądliwie gapi się w mój dekolt – jakoś tak w trakcie wieczoru źle dopięłam guzik czy dwa, mówiąc prawdę. Mój bohater uznał, że zdoła ocalić honor damy, wyłącznie wyzywając barmana na pojedynek, uzbrojony w nieszczęsnego, starego kaktusa, którego znalazł schnącego w kącie.

Frances uniosła dłonie w geście wyczekiwania.

– I co? Proszę w takim miejscu nie przerywać! Co się stało potem?

– No cóż, kaktus był już staruszkciem, ale jakimś

cudem dało się nim całkiem ostro ciąć. Poza tym kto mógł przewidzieć, że barman był hemofilikiem? – W westchnieniu Frances przerażenie mieszało się z zachwytem. Naskrobała kolejną uwagę w notesie. Augusta opowiadała dalej. Między innymi o tym, jak uciekli wtedy w noc, ręka w rękę, a absurdalna pomarańczowa torba Delleri obijała mu się o biodro. W jakimś momencie, ślizgając się na mokrym chodniku Brewer Street, próbowali pomóc śmieciarzowi opróżnić pojemnik do wnętrza śmieciarki. – „Ej, bracie, to jest robota dla fachowca”, powiedział śmieciarz, łagodnym gestem odbierając przepełniony pojemnik z rąk Delleri, który zataczał się pod jego ciężarem. To była mądra rada. Niektóre sprawy są przeznaczone dla profesjonalistów. Żałuję, że sama nie zastosowałam się do niej przynajmniej raz w życiu. – Jej wzrok zagubił się gdzieś w oddali. – Ten wywiad trwał cztery dni. Trafiliśmy w końcu do kawalerki brata Kennetha pod Salford. Nawet nie w samym Salford, rozumiesz.

– Ojej... – westchnęła Frances. Entuzjazm zawsze niepokoił Augustę, nigdy nie umiała się zorientować, czy jest autentyczny. Ale dziewczyna wydawała się szczerze zachwycona tą historią. – A więc... Czy pani... I Kenneth...

– Czy się ze sobą przespaliśmy? Mój Boże, oczywiście, że tak. Byliśmy przecież w Salford, chyba o tym wspomniałam? Przez cztery dni. W listopadzie. Nie mieliśmy żadnego ogrzewania, kochanie. Kiedy już

zwinęliśmy wszystkie dziesięciopensówki jego brata, nie było innego wyjścia, jak schronić się pod kołdrą. – Dziesięciopensówki? Frances zastanawiała się, czy to jakaś dziwna brytyjska tradycja gry wstępnej. Jeśli nawet, to co się z nimi robiło? – Oczywiście, okazało się, że był draniem na epicką skalę. I oszustem. Później rozpoczął nowe życie w twoim rodzinnym stanie jako guru od spraw uczuciowych. – Augusta wyduła wargi. – Pan Romans, a niech mnie. – Urwała raptownie, jakby nagle do niej dotarło, z kim dzieli stolik. Postawiła sobie torebkę na kolanach i zatrzasnęła zamek.

– Tej historii nie ma w pani książce. – Frances wyciągnęła rękę, by sprawdzić, czy klawisz nagrywania jej małego, srebrnego dyktafonu nadal jest wciśnięty.

Augusta wzruszyła ramionami.

– Czułam się niczym krawiec, kiedy ją pisałam. Cała sztuka leży w odpowiednim przykrawaniu. A nie miałam ochoty dawać Kennethowi Dellerowi satysfakcji z ponownej wizyty w mojej pościeli.

Rozdział 4

W redakcji jak zwykle pachniało stęchlą kawą i wczorajszym powietrzem. Nawet gdy wiatr wiejący z rzadka ulicami Farringdon wdierał się do środka, pomieszczenia „London Advance” zachowywały świeżość porównywalną z wiktoriańską trumną. Gdyby się przyjrzeć dokładniej, z pewnością można by dostrzec ślady po pazurach drapiących w wieko. Frances nigdy nie zerknęła w stronę sufitu.

W kątach pokoju redakcji informacyjnej sfatygowane drukarki od czasu do czasu wypluwały arkusze papieru, których nikt z nich nie zdejmował. Szare podłogowe linoleum pokrywały strupy po oparzeniach niedopałkami, mimo że palenia zabroniono tu przed dekadą – przynajmniej oficjalnie. Pozostałości dymu w porannym powietrzu mówiły o odmiennej rzeczywistości reporterów z nocnej zmiany, których anarchię tolerowano w ramach rekompensaty za nieludzkie i coraz mniej istotne godziny pracy.

Frances osunęła się ciężko na krzesło. Czuła pulsowanie w skroniach. Otwarty na monitorze plik z artykułem o Auguście kojarzył jej się z jakąś na wpół pokonaną w zapasach bestią. Za każdym razem, kiedy nabierała przekonania, że udało jej się uchwycić jakąś

cechę bohaterki wywiadu, Augusta wymykała jej się z rąk. Frances nie przywykła do tego typu frustracji, zazwyczaj pisywała beztrudno, szybko, równie pewna notowanych słów, co ostrożna w życiu.

Podejrzała, że Augusta sprzedała jej ładunek trefnego towaru, a mimo to miała kłopot z zebraniem się na adekwatne oburzenie. Jakaś aktorka miała niepewny związek z rzeczywistością. I co z tego? „To przemysł rozrywkowy, kochanie”. Herezja tej myśli uderzyła Frances z całą mocą. Dziewczyna rozejrzała się po sali, jakby chciała sprawdzić, czy ktoś dostrzegł zdrajcę w szeregach redakcji. Ich drogowskazami były fakty, trasę wyznaczała prawda. W ciągu dziesięciu lat spisywania słów innych ludzi Frances nigdy nie zakwestionowała tego podstawowego założenia.

Przetarła oczy zaciśniętymi w pięści dłońmi. Dochodziła czwarta. Stanley lada moment wyrwie się z popołudniowego zebrania, radosny albo przybity, w zależności od tego, jak wypadły artykuły. Plamy pod jego pachami często mówiły o desperacji.

Ostatnio rozdrażnienia Stanleya nie łagodził żaden lżejszy nastrój. Codziennie pojawiały się złowieszcze plotki na temat losu gazety – „nowy właściciel z głębokimi kieszeniami”, mówili optymiści, podczas gdy zwolennicy przekonania, że szklanka jest do połowy pusta, dowodzili, jakoby doszły ich słuchy, że cała działalność zostanie wkrótce przeniesiona online, a stanowiska obsadzone pracownikami jakiegoś centrum

obsługi telefonicznej na Tobago.

Odsunawszy krzesło, Frances rozejrzała się po pokoju. Trwało w nim zwykłe przedterminowe ożywienie, nie tyle ciągły szum, co przerywane zrywy aktywności, tak jakby bardzo wychłodzony silnik zabytkowego samochodu z trudem budził się do życia.

Poczta elektroniczna nie przyniosła tego dnia wytchnienia od niepokoju. Dział personalny zapraszał na warsztaty radzenia sobie ze stresem prowadzone na pierwszym piętrze. „Proszę pamiętać, że w trakcie sesji *Ucz się w przerwie na lunch* lunch nie jest przewidziany”, zaznaczono w wiadomości.

W nocy do skrzynki Frances spłynęła też wiadomość od matki. W Kalifornii był wtedy środek dnia. Wyobraziła sobie matkę siedzącą przy oknie z widokiem na ocean, już po przetarciu obniżonych kuchennych blatów do czysta, z filiżanką kawy pochodzącej ze sprawiedliwego handlu. Chwila spokoju podczas drzemki ojca. Frances przejrzała tekst maila; skrzywiła się przy powściągliwym napomnieniu: „Szkoda, że nie masz czasu zajrzeć do nas z wizytą. Wiem, jaka jesteś zajęta, ale Tatuś bardzo chciałby Cię zobaczyć, póki te lepsze chwile miewa jeszcze dość często”.

Drgnęła i obróciła się, gdy krzesło obok niej skrzypnęło.

– Ominął cię tort – powiedziała siedząca biurko w biurko Sue.

– Był tort?

– Czystka trwa. Arthur dziś odchodzi.

Frances zerknęła przez salę na Arthura. Ten hobbit w kardiganie chyba od zawsze był redaktorem literackim „Advance”. („Arthur przecwelił Barda z Avonu” głosiło graffiti w męskiej toalecie, a przynajmniej tak słyszała.) Redakcja przeprowadzała selektywny ubój w stadzie w rozpaczliwej próbie wybronienia się przed niewypłacalnością. Zasłużonych dziennikarzy wzywano na chwilę pogawędki z kierownictwem i mówiono im, że ich wkład, jakkolwiek cenny i znakomity, nie był tym, czego „Advance” potrzebuje w erze wielopłaszczyznowych strategii cyfrowych. Arthurowi i jemu podobnym weteranom wręczano dużą kopertę opisaną jako Procedury Odejścia Ostatecznego i Dobrowolnego. Oraz tort.

– Arthur jest starszy niż samo zło – stwierdziła Sue.

– Nie – sprzeciwiła się Frances. – Jest dokładnie w tym samym wieku, co rozpacz.

Przyglądały się, jak redaktor literacki dźwiga na ramię swoją torbę ze skaju. Stosy książek pokrywały blat jego biurka, kolejne piętrzyły się na podłodze dokoła. Chyba nie zamierza zostawić tu ich wszystkich, pomyślała Frances. Arthur był już jednak w pół drogi do drzwi. Biła od niego radość uwolnionego zakładnika.

Zatrzymał się na chwilę i uniósł dłoń.

– Ta tapeta jest obrzydliwa – rzucił, po czym wyszedł.

W ciszy, która zapadła, dziennikarze „Advance” zaczęli rozważać najnowszą stratę, niepewną sytuację własnych karier i upadek rzemiosła, które uwielbiali. Po chwili jednak, jak jeden mąż, poderwali się od swoich stanowisk i truchtem ruszyli w stronę biurka Arthura.

– Chodź – powiedziała Sue. – Książki za friko!

Frances poszła za nią, bo za Sue poszłaby wszędzie. Ta prowadząca kolumnę telewizyjną dziewczyna była jej najbliższą londyńską przyjaciółką – jedyną przyjaciółką, jak się czasem zdawało. Sue, samotna matka trojga niesfornych dzieci, pozwalała, by cała niefrasobliwość, jakiej odmawiała sobie w domu, uwalniała się w redakcji. W wieku szesnastu lat uciekła z jakiegoś maleńkiego miasteczka w Walii, z którego nazwy upuszczono całą krew samogłosek.

Horda zdążyła splądrować biurko Arthura, zanim Frances i Sue tam dotarły. Niczym mrówki pozabierali wszystko, co dało się unieść. Frances dostrzegła redaktora rubryki kryminalnej, który odchodził z albumem rozmiaru kamiennej płyty zatytułowanym *Mieszkańcy Antwerpii*. Większość kryminałów zniknęła. Została poezja i polityka.

– Okropnie mi żal Arthura – szepnęła Frances. – To zupełnie tak, jakbyśmy zdzierali monety położone na jego zamkniętych powiekach.

– Hm – mruknęła Sue. – Zszywacz ci się nie przyda? – Zdjęła ze szczytu chwiejnego stosu książkę w twardej okładce i pokazała ją Frances. – Wspomnienia Augusty

Price. Nie miałaś czasem robić z nią wywiadu? – Frances nie potrzebowała, by znów przypominać jej o artykule, który zalegał niedokończony na jej komputerze. Zajęła się wyciąganiem ze stosu biografii lorda Beaverbrooka. Stan będzie zachwycony, pomyślała i serce zabiło jej mocniej na myśl o momencie, w którym mu to wręczy. Sue zaczęła przeglądać *Oparte na faktach*. – Zapomniałam, że ona jeszcze żyje, póki nie przeczytałam tamtego fragmentu w „Mirror”. Historia z szamanem to prawda? Chryste! Wszystkie rzeczy, które przeżyła ta kobieta... Nadal się zapija czy jeden z pobytów na odwyku w końcu zadziałał?

Frances wcisnęła biografię Beaverbrooka pod ramię, może później spotka się ze Stanleyem w pubie. Zwykle zaglądał tam na drinka.

– Wiesz, że Augusta Price to nie jest jej prawdziwe nazwisko? Urodziła się jako Anna Maria Ferragosto. –

Wzięła książkę z rąk Sue. – Ale nie pisze o tym. Podobnie jak o wielu innych rzeczach, które jej się przydarzyły. Moim zdaniem ta książka to jedna wielka ściema.

– Ściema... – powtórzyła ironicznie Sue. – Naprawdę musisz przestać zatruwać powietrze tymi swoimi wulgaryzmami, w przeciwnym razie Stanley wyszoruje ci usta mydłem. Chociaż – dodała, udając zainteresowanie poradcikiem poświęconym nietolerancji glutenu – tobie może by się to spodobało.

– Co masz na myśli?

– Och, zapomniałam! Powinłam nie zauważyć, że podoba ci się Herr Wielkodupski.

– On wcale nie ma wielkiego dupska – obruszyła się Frances. – Tylko sylwetkę trochę w kształcie piramidy.

Wystarczająco upokarzało ją, że podkochuje się we własnym szefie – wstydu wynikającego z faktu, iż jest to oczywiste dla koleżanki z pracy, nie dało się wysławić. Frances zaczęła przerzucać strony biografii Beaverbrooka, chociaż myślami przeniosła się w przeszłość, do chwili, kiedy dwa lata temu pojawiła się pod drzwiami gabinetu Stanleya Pfeffera, ściskając w dłoni referencje od wspólnego znajomego i plik artykułów, które napisała dla „Bakersfield Californian”. Pfeffer powarkiwał na kogoś przez telefon. Zdenerwowana Frances stała naprzeciw jego biurka, dopóki nie rozłączył się, mruknąwszy:

– To na razie, mamó. – Zwrócił się do niej twarzą i niedbałym gestem wskazał krzesło. Wyglądało na to, że przydałby mu się fryzjer, golił się chyba piłą łańcuchową, ale miał życzliwe, znużone spojrzenie i Frances z miejsca go polubiła. Zapytał o wspólnego znajomego, przejrzał wycinki, które starannie dobrała tak, by ukazywały jej mocne strony – historie o suszy, planowanych zamknięciach zakładów przemysłowych, bezdomności. Z przerażeniem dostrzegła, że jego oczy powlekają się mgiełką roztargnienia. Wyrównał stosik wycinków i pchnął go w jej stronę. – A tak w ogóle

dlaczego chciałabyś tu pracować? – Frances zastanowiła się nad którąś z przygotowanych odpowiedzi – mieć wpływ na losy świata, przysłużyć się ludzkości – ale obawiała się, że potraktowałby ją tylko kpiącym uśmiechem. Pełna dobrej woli Amerykaneczka. Odpowiedzi, które ćwiczyła przed hotelowym lustrem, wyparowały jej z głowy. W ustach zaschło. Telefon Pfeffera się rozdzwonił, ale go zignorował. – Porzucić Kalifornię dla tego tutaj... – Machnął dłonią w stronę szarego jak popiół nieba za oknem gabinetu. – Trzeba być szaleńcem.

Frances się wydało, że jakieś drzwi zatrzasują się, zanim zdążyły się otworzyć.

– Może dziennikarstwo w końcu mnie dobije, ale póki w nim robię, utrzymuje mnie przy życiu – wypaliła.

Nachylił się gwałtownie w jej stronę i przechylił głowę na bok.

– Skąd to wzięłaś?

– To tylko cytaty z Horacego Greeleya. Był amerykańskim redaktorem prasowym.

– Wiem, kim był. – Pfeffer posłał jej zdawkowy, krzywy uśmiech, a do Frances dotarło, że jest młodszy, niż w pierwszej chwili pomyślała. – Greeley miał wysokie ideały – dodał. – Jego gazetę nazywali Wielkim Organem Moralnym. – Przyglądał się jej, jakby chciał rozwiązać jakąś zagadkę, nie mając żadnych wskazówek. – Czy ty też masz wysokie ideały, Frances?

Choć bardzo ją korciło, nie mogła odwrócić wzroku.

Z wahaniem odparła:

– Tylko wtedy, kiedy się tego ode mnie wymaga?

Wybuchnął śmiechem i zakołysał się na krześle.

– Dobrze. Bo wszyscy kretyni tego świata chcą pisać o doli uciśnionych. A ja potrzebuję kogoś, kto będzie znajdował tematy, o których ludzie chcą czytać.

Frances pomyślała o czteroczęściowej serii artykułów dotyczących korupcji w branży oczyszczania ścieków, którą napisała jeszcze w Bakersfield.

– Czyli mnie – rzuciła. – Wyłącznie takie sprawy, o jakich ludzie chcą czytać. Seks, śmierć i zwierzęta.

Stanley potarł szczękę.

– To twój wybór. Godziny są beznadziejne, płaca jeszcze gorsza. Ale mamy całkiem niezły pub na parterze.

Wrócił do swojego komputera, a Frances zdała sobie sprawę, że właśnie zaoferował jej posadę. Poczowała, że kręci jej się w głowie. Potem się okazało, że to umowa śmieciowa bez żadnych świadczeń ani ubezpieczenia, regularnie odnawiana, ale to nie miało żadnego znaczenia. Nagle każdy poranek stawał się bramą do czegoś nowego, każdy dzień mijał w zawrotnym pędzie.

Szept Sue wyrwał ją z zamyślenia:

– Idzie twój ukochany.

Frances szturchnęła ją łokciem, nie spuszczać wzroku z grupy starszych redaktorów wychodzących z sali konferencyjnej. Stanley minął je pośpiesznie,

z głową wciśniętą w ramiona i zmarszczonymi brwiami, zapatrzony w jakiś wydruk. Jego przedwcześnie posiwiałe włosy przypominały gniazdo borsuków.

Tym razem nie zwrócił się do Frances z pytaniem o artykuł ani nawet nie rzucił ironicznej uwagi na temat zbiorowego lenistwa całego newsroomu. Poczula, że po plecach przechodzi jej dziwny dreszcz, ale otrząsnęła się z tego. To bez sensu. Czystka się przecież skończyła.

Podskoczyła, gdy przesycony tytoniem głos odezwał się wprost do jej ucha:

– Sprzedali nas Rosjanom. Teraz czeka nas kolejka po zasiłek.

– Oj, nie pieprz, Gareth – zaprotestowała Sue. – Nic o tym nie słyszałam.

Redakcyjny goniec wziął książkę z biurka Arthura.

– To całkiem pewny cynk – powiedział. – Jakiś dupek z KGB szuka okazji do inwestycji w Londynie. Kupił gazetę i da ją prowadzić swoim dzieciakom. I doprowadzą ją do ruiny, jak bonie dydy. – W zwykłych okolicznościach nic nie wywabiłoby Garetha z jego placówki na tyłach newsroomu, gdzie chłonał niekończący się strumień postów z Twittera, wściekłych wyrzekań słuchaczy dzwoniących do programów radiowych i esemesów od dziwacznych znajomych z Peckham, które potem przetwarzał i wypluwał jako prawdę objawioną. Niepokojące było to, że uznał tę plotkę za tak wiarygodną, by przekazać ją osobiście. –

Pierwsza rzecz – dodał – wywalą połowę redaktorów

i reporterów. A potem znajdą kogoś, kto zrobi im to taniej, pewnie z zagranicy. I zanim się połapiecie, trach! – Rąbnął dłonią w blat biurka Arthura, aż Sue i Frances podskoczyły. – Wszystkie wasze artykułiki o *East Enders* będą pisane w Bombaju.

– Mumbaju – poprawiła Frances, słuchając Garetha tylko jednym uchem. Zaczynało ją ogarniać jakieś okropne przeczucie.

– A, dupa tam – powiedziała Sue, ale jej głos brzmiał nieswojo. Ponad połowę czasu poświęcała na pisanie o *East Enders*.

Gareth, jakkolwiek tępy, zdołał wyczuć ich przygnębienie.

– Nieważne – powiedział i wziął z biurka Arthura egzemplarz pisma „Heat”. („Świnkowata księżniczka i jej sobota wstydlivych plam!”) – Robienie beki z celebrytów. To tam jest kasa.

Wróciły do swoich biurków w milczeniu. Frances przysiadła na krześle. Próbowwała nie wyobrażać sobie własnej przyszłości jako bobslejowego toru porażek wiodących wprost ku śmierci. Do końca umowy zostały jej dwa miesiące i nigdy dotąd nie przeszło jej przez myśl, że mogłaby ona nie zostać przedłużona. Przecież to by było zupełnie bez sensu, gdyby Stanley miał ją zwolnić, prawda? Była odpowiednikiem niewolniczej siły roboczej – tania jak barszcz. Gazeta nie płaciła jej nawet świadczeń socjalnych.

Jakiś atawistyczny instynkt samozachowawczy

podpowiadał jej, że powinna jak najszybciej zniknąć z redakcji. Już podnosiła się z krzesła, kiedy drzwi gabinetu Stanleya otworzyły się na oścież. Nawet stąd, gdzie stała, widać było, że Niagara zmartwienia rozlała się pod jego ramionami, spływając po bokach. Ze wzrokiem wbitym w podłogę ruszył prosto w stronę jej biurka.

Niedobrze, szepnął jakiś głos w jej głowie. Bardzo niedobrze. Panno Bleeker, czy mogę panią prosić na chwilę do gabinetu celem omówienia wyników testów?

Stan zatrzymał się przy jej biurku i rozczapierzonymi palcami przesunął po włosach, sterczących niczym czub kakadu. Udało mu się uśmiechnąć i to wtedy coś ścisnęło Frances w piersi. Siostró, czy może siostra na moment zostawić nas samych?

– Hej, Frances – zagaił. – Czy mógłbym zamienić z tobą parę słów na osobności?

Rozdział 5

Sprane bajeczki gwiazdy opery mydlanej

Autor: Frances Bleeker

„London Advance”

Augusta Price niegdyś upodobała sobie Soho, a teraz Soho nie daje jej spokoju. To tutaj aktorka popijała i zdobywała pigułki w czasach, kiedy jeszcze popijała i zdobywała pigułki. Ale te dni, jak twierdzi, to już historia.

Price jest być może najlepiej znana widowni telewizyjnej jako Kit Gallagher, nieszczęsna kelnerka z popularnej wieczornej opery mydlanej *Kanały*, oraz jako chirurg wampirzyca, Helen Mount, w krótko – choć szalenie – popularnym *Banku krwi*. Te sukcesy są już poza nią, ale aktorka, niczym podstarzała pantera odmawiająca rezygnacji z polowania, szykuje się do ponownego skoku.

Spotykamy się na kawie przy ulicy pełnej duchów z czasów zamierzchłej przeszłości. Trzydzieści lat temu w kafejce takiej jak ta Price poznała dziennikarza, z którym z miejsca uciekła. Ich romans trwał, póki nie skończyły się monety do karmienia miernika elektryczności w pewnym mieszkaniu w Salford. Tak, dokładnie tak: zanosło ich z Soho aż do Salford.

Tej historii nie ma w jej ostatniej autobiografii pt. *Oparte na faktach: tak jakby wspomnienia*. W rzeczy samej, niektóre z najciekawszych anegdot z tego intrygującego życia w ogóle nie trafiły do książki, która w czasie minionych świąt zniecała stała się bestsellerem. Są w niej inne barwne opowieści, nieco jednak podkoloryzowane. Zamiast aktorką Price mogłaby być rzeźbiarką, biorąc pod uwagę to, jak sprawnie manewruje gliną własnych doświadczeń.

Doświadczenia te, choć niektóre dość mroczne, zostawiły niewiele widocznych śladów u kobiety, która siedzi przy stoliku naprzeciw mnie – użyła wszelkich dostępnych narzędzi, żeby je ukryć. Ciemne oczy, obrzeżone eyelinerem, którego pozazdrościłaby jej Kleopatra, są czyste i bystre. Włosy – koloru sierści irlandzkiego setera – chwytają promienie słońca sączące się przez okna. Drobne stopy wcisnęła w pantofle na pomarańczowej platformie, rzucając wyzwanie własnemu wiekowi i sile grawitacji. Chyba zapomniała dopiąć bluzkę, ku zachwytowi męskiej części kawiarnianych gości.

Chociaż nie chce wyjawić swojego wieku – dostępne źródła sugerują, że ma pięćdziesiąt trzy lata – Price nie wydaje się o wiele starsza niż w dniu, gdy opuściła *Kanały*, w których wcielała się w głupawą barmankę o złotym sercu (plotki głoszą, że producenci wyrzucili Price z serialu po serii publicznych scysji, włącznie z bójką na pięści, w którą aktorka wdała się z gwiazdą

konkurencyjnej telenoweli w toalecie hotelu Dorchester).

– Historie są tylko tym, kochana: historiami – mówi Price. – Opowiadamy je sami sobie, żeby zrozumieć coś z własnego życia.

Odstawia *latte* z grymasem obrzydzenia (zamówiła „paskudztwo z mnóstwem mleka”). Moim zdaniem usiłuje mi powiedzieć, że prawda na temat zwolnienia z serialu leży gdzieś pomiędzy wersją producentów a jej własną. W swoich wspomnieniach zaznacza jedynie, że „Kit powycierała się na szwach i nadszedł czas, by sprawić sobie nowy zestaw garderoby”.

Biorąc pod uwagę, jak zajmujące są jej wspomnienia – oraz że sam ich tytuł zawiera ostrzeżenie dla biorących wszystko zbyt dosłownie – tylko najbardziej gburowaty czytelnik wytykałby rozmaite luki pomiędzy relacją Price a zapiskami historii. Twierdzi na przykład, że zrezygnowała z głównej roli w *Banku krwi* ze względu na „różnice zdań co do scenariusza” z produkcją serialu. Wtedy jednak donoszono, że została zwolniona, kiedy porównała wampiryczną żądzę krwi swojej bohaterki z „księżym pożądaniem ciasnych białych tyłeczków”.

Kiedy anegdota są tak zabawne, kogo obchodzi, czy była na odwyku raz, dwa razy czy więcej, czy aresztowano ją za zepchnięcie supermarketowego wózka z mołu w Southend albo czy faktycznie podawała księżnicze Małgorzacie drinka, kiedy pracowała

na psim torze w Walthamstow.

– Zastanawiasz się, czy cokolwiek z tego jest prawdą – mówi z przebiegłym uśmiechem, a drobne zmarszczki w kącikach jej oczu się pogłębiają. – Chyba sama się o to prosiłam, biorąc pod uwagę tytuł książki. Nie żeby to miało jakieś znaczenie. To przemysł rozrywkowy, kochanie. – Głos ma piękny, niski i podszyty whisky, o tembrze, który skłania do nadstawienia ucha.

Augusta Price była stałym elementem rozrywkowego krajobrazu pomniejszych celebrytów, odkąd ukończyła North London School of Speech and Drama nieco ponad trzy dekady temu. W oczach jej ojca, emigranta z Włoch, szkoła aktorska stanowiła zdradę wszystkiego, na co z poświęceniem pracował. „Równie dobrze mogłabyś wziąć te pieniądze i rozrzucić je z mostu Blackfriars!”, wrzeszczał na nią, kiedy w wieku siedemnastu lat na dobre wyprowadzała się z domu. To wtedy zmieniła nazwisko z Anna Maria Ferragosto na lepiej prezentujące się na afiszach Augusta Price.

– W jego oczach zawód aktorki był niewiele lepszy niż profesja kurwy – mówi Price. – A potem, w pierwszej roli na festiwalu Edinburgh Fringe, faktycznie zagrałam kurwę. Topless. Nigdy mi tego do końca nie wybaczył.

Nigdy też do końca się nie pogodzili. Do tych poplątanych wątków Price robi w swoich pamiętnikach wycieczki; zdaje się winić ojca, przynajmniej

częściowo, za swoje późniejsze problemy z alkoholem i narkotykami. Uszkodził sobie kręgosłup, gdy pracował jako kamieniarz, i żył później we mgle środków uśmierzających ból. W wieku czternastu lat ciekawska Anna Maria zwinęła mu jedną z pigułek przeciwbólowych, popiła ją szklanką wina domowego wyrobu i nigdy tego nie pożałowała. „Niecierpliwie wyglądałam źrenicami jak szpilki kolejnego drinka, kolejnego haju”, pisze.

Tak, przez dłuższy czas flirty Price z niedozwolonymi substancjami nie wpływały na jej karierę – być może dlatego, że rzadko siadała przy barze sama. Po szkole aktorskiej i paru latach spędzonych w trykotach, podczas objazdowego grywania pantomim, wyrobiła sobie markę w miniserialu ITV *Górskie mgły*, w którym grała londyńską menedżerkę wracającą do rodzinnej Szkocji, by prowadzić tam destylarnię.

– Whisky łała się strumieniem na planie, kochana – mówi, a w jej głosie pobrzmiwa nostalgia.

Price nigdy nie wyszła za mąż, chociaż jej pamiętnik roi się od sylwetek mężczyzn – to złych, to wręcz fatalnych. Gdzieś po drodze urodziła syna, Charlesa, który w książce jest dziwnie nieobecny. Kiedy pytam ją o tego młodego człowieka, który dzisiaj ma dwadzieścia cztery lata, unosi się:

– Opowiedziałam tę historię, którą chciałam opowiedzieć. Nie było potrzeby wciągać w nią całego świata. – Potem wychodzi do toalety.

Oj! Zastanawiam się przez chwilę, czy nie strzeliłam nienaprawialnej gafy (istotnie, znajoma Price miała mi później powiedzieć, że aktorka poróżniła się z synem i że chłopak mieszka obecnie w Kalifornii). Moja rozmówczyni jednak wraca i wydaje się, że wszystko odchodzi w niepamięć. Ze świeżo nałożoną szminką, znów czarująca, gotowa jest odpowiedzieć na wszelkie pytania. A więc co przyniesie przyszłość? Według jej słów usiłuje obecnie wybrać pomiędzy dwoma szeroko zakrojonymi projektami dla telewizji – oba oferują jej smaczne role.

– Kochanie – mówi z tak ładnym uśmiechem, że człowiek naprawdę chce jej wierzyć – nie jestem pewna, czym sobie zasłużyłam na tak szczęśliwy traf. Czuję, że powinnam odstukać w niemalowane drewno, inaczej zapeszę.

Rozdział 6

Morowa zaraza spotkań przy śniadaniu ogarnęła wczesnoporanny Londyn. Wyrobnicy już nie wylegiwali się w łózkach, lecząc kaca. Zamiast tego lansowali się, odszorowani niczym miedziane rondle, w restauracjach takich jak ta. Wielkie, rozbrzmiewające echem wnętrze na Piccadilly kiedyś było samochodowym salonem wystawowym. Idealne miejsce, by odpowiednio rozreklamować fakt, że nadal trzyma się rękę na pulsie.

Politycy i ich osobiści doradcy, posiadacze najwyższych odznaczeń Imperium Brytyjskiego, ostro krytykowani satyrycy – wszyscy zbierali się na krytych skórą ławeczkach, zerkając ponad ramionami towarzyszących im osób za każdym razem, gdy otwierały się drzwi. Menu rozmiarów aktówki wręczali gościom bezszelestnie sunący kelnerzy, nikt jednak nigdy do niego nie zerknął. Zamawiano to, co zawsze, i karmiono się nadzieją, że pewnego dnia kelner z lekkim uśmiechem spyta: „To samo, co zwykle, proszę pana?”.

Augusta nie bywała już regularnym gościem tego miejsca, tak jak żadnego innego lokalu wyposażonego w obrusy. Przez pierwszych kilka chwil radowała się poczuciem, że znów znajduje się w centrum wydarzeń,

ale ekscytacja szybko opadła. Gwar przytępniał jej słuch.

– Co powiedziałaś?! – huknęła w stronę siedzącego obok brodatego mężczyzny.

Jego głos wsączył się w jej ucho wilgotnym dźwiękiem:

– Mówiłem tylko, że pamiętam to, jakby zdarzyło się wczoraj. Ekspłodowałem niczym V2.

Odsunęła się od niego nieco.

– Gdybyśmy odbyli stosunek na fotelu do charakteryzacji, Andrew, z pewnością bym to zapamiętała.

Roześmiał się i zdjął okruszek ze swojej obfitej, siwej brody. Ten gest przywołał w pamięci Augusty niejasne, rozmyte skojarzenie. Oczywiście, że pamiętała, ale próżny stary kozioł zdecydowanie nie zasługiwał na pławienie się w jej uznaniu. Poza tym to nie był seks na fotelu do charakteryzacji, tylko gorączkowe pięć minut w przyczepie z kostiumami, gdzie ponad kołyszącymi się plecami Andrew Augusta usiłowała przypomnieć sobie swoje kwestie. Paskudna wiosna w Cardiff, dwadzieścia lat temu. Andrew grał złodzieja samochodowego, który został trenerem piłki nożnej, a ona była... sanitariuszką medyczną? Pracownicą socjalną?

– Detektywem – westchnął Andrew.

Teraz to on był telewizyjną gwiazdą; słynął z roli głuchego weterynarza, który rozwiązywał zagadki kryminalne na Szetlandach.

Augusta pojawiła się w restauracji wyjątkowo wcześnie, jak na nią. Nie mogła się doczekać spotkania z agentem i wytyczenia na mapie trasy swojego comebacku. Oglądała akurat kurze łapki odbijające się mętnie w stali noża do masła, kiedy podszedł Andrew.

– Myślałem, że może trafię do twojej książki. Do tych memuarów. – Nadał temu słowu przesadną, francuską wymowę.

– Czytałeś ją, tak?

– Przejrzałem w księgarni, o tyle o ile. Zdziwiłem się, że nie ma w niej indeksu nazwisk.

No nie ma, pomyślała Augusta. Właśnie dlatego, żeby książkę kupiły takie zadufane ciule.

– Andrew – odezwała się słodko. – Twoja osobowość jest zbyt ekspansywna, żeby zawrzeć ją na kilku marnych stronach. Papier zająłby się ogniem i pomyśl tylko o tych wszystkich procesach, które by mi potem wytoczono.

Cał po całach przysuwał do niej swoje mięsiste udo – na szczęście właśnie wtedy przy stoliku pojawił się wyczekiwany wysoki, smukły jak trzcina mężczyzna.

– Bardzo przepraszam – powiedział David, agent Augusty, opadając na krzesło w całej kaskadzie szali i toreb. – W metrze dziś istna masakra. Znów jakiś pasażer wpadł pod pociąg! Dobry Boże, smutek tego miasta... – Na widok Andrew wyraźnie się rozpromienił. – Och, witam! Pan jest tym weterynarzem z *Wyspy Osłów*, prawda?

Augusta przedstawiła ich sobie, a oni wymienili kilka grzecznościowych ploteczek o wspólnych znajomych. Londyński odpowiednik psiego obwąchiwania sobie tyłków, pomyślała.

Gdy w końcu Andrew się oddalił, wydobywszy wcześniej od Augusty obietnicę, że niedługo odezwie się do niego telefonicznie, David rozłożył sobie na kolanach serwetkę.

– Dobrze wyglądasz – stwierdził. – Wypoczęta. Wakacje sprawiły cuda.

Przyjrzała się jego twarzy, szukając sarkazmu, ale nic takiego nie dostrzegła. Tylko te znajome bystre, brązowe oczy, patrzące na nią ponad oprawkami od Prady, w części sfinansowanymi przez jej piętnaście procent. Kelner przy sąsiednim stoliku nalewał do kieliszków mimosy, szampan stykał się z sokiem pomarańczowym w jaskrawej, cytrusowej eksplozji. Koktajl przypominał Auguście ogród pełen pomarańczowych maków.

Z trudem oderwała od niego spojrzenie i wzięła łyk gorzkiej, czarnej kawy. Ochota, by spytać o książkę Dellera, była przemożna, ale jakoś ją zdusiła. Lepiej byłoby najpierw wydobyć dobre informacje, a tę łyżkę dziegciu zostawić na później.

– No to skoro już wróciłam – uśmiechnęła się z trudem – powiedz, czy mamy ostateczny scenariusz *Kręgu kłamstw*? – Sześć miesięcy wcześniej zaklepała sobie angaż, który miał zaprowadzić ją z powrotem

przed kamery. Rola była nieduża, ale z charakterem i zapadająca w pamięć: grałaby żonę doradcy królowej, który w tajemnicy prowadzi w Europie szajkę trudniącą się handlem żywym towarem. Żona, rozpuszczona luksusem, początkowo przymyka oczy na przestępstwa męża, ale koniec końców, wiedzona wyrzutami sumienia, donosi na niego do władz. Augusta brała udział w przesłuchaniach, błagała i całe tygodnie chodziła na lunchy, aż w końcu wywalczyła tę rolę. Teraz jednak, spoglądając w strzelające na boki oczy Davida, poczuła ukłucie paniki. Agent trzymał menu tak kurczowo, jakby krył się w nim sekret nieśmiertelności. Znała go wystarczająco długo, by wiedzieć, że to nie jest dobry znak. – David?

Zdawało się, że zbiera się w sobie. Wreszcie podniósł wzrok. Z jego uroczej, szczerzej twarzy można było wyczytać zapowiedź wszelkich rozczarowań.

– Będą inne zlecenia, Augusto.

Miała wrażenie, że ktoś siłą wybija powietrze z jej płuc. Na pewno wszyscy goście restauracji obrócą się zaraz i zaczną gapić, wędchem wyczuwając porażkę. W myślach wrzeszczała, ale z jej ust wydobyło się tylko jedno słowo:

– Dlaczego? – Przywołany przez Davida kelner pojawił się z długopisem w gotowości. Augusta już miała poprosić, by dolał szampana do jej soku pomarańczowego, ale zamiast tego zamówiła kolejną kawę. Trzymała dłonie na kolanach, chcąc ukryć

drzenie. – Dlaczego? – powtórzyła, kiedy znów zostali sami.

David przetarł serwetką idealnie czysty nóż.

– Nie mogli dłużej czekać. A ciebie... nie było.

Czegoś jej nie mówił.

– I?

– I był problem z ubezpieczeniem. Z ubezpieczeniem ciebie.

No to wyszło szydło z worka. Niewypowiedziane słowa zawisły pomiędzy nimi.

Kelner przyniósł śniadanie dla Davida i kawę dla Augusty. Po omacku sięgnęła do jego rękawa.

– Poproszę mimosę. – Wzięła głęboki oddech. Nagle zapragnęła zamordować wszystkich w tej restauracji, zdusić w ich gardłach tę gadaninę, te słowa, te ambitne plany i projekty. – No cóż... Czy na horyzoncie jest coś innego?

– Jak najbardziej – odparł David z profesjonalną radością. – Dostałem telefon w sprawie takiego reality show... i idealnie nadawałabyś się na jego prezenterkę. Nie patrz tak na mnie, tylko posłuchaj przez moment. Wysłałiby cię, żebyś zamieszkała wśród kolonii maskonurów w Northumberland. Wiesz, kobieta z wielkiego miasta i ptaki, obcowałabyś z nimi przez sześć miesięcy... – Lodowate spojrzenie Augusty sprawiło, że głos uwiązł mu w gardle.

– A tytuł tego arcydzieła?

David odkaslnął.

– *Samotne ptaki*.

– *Samotne ptaki*. – Wyprostowała się na siedzisku. – Tylko ja, góry guana i trochę pingwinów, tak?

– Maskonurów.

– Kochanie, wiesz, że byłam nominowana do Bafty?

– Sytuacja się zmieniła, Augusto.

Przypomniała sobie nagle, że to David przytrzymał jej włosy, kiedy pochorowała się w toalecie w Dorchester na imprezie Bafty. Alma Partridge stała przy drzwiach i na zmianę gromiła to ją, to każdego, kto usiłował wejść do toalety. Jej prywatna dwuosobowa armia.

Poczuła się tak, jakby ktoś podrzynał jej gardło.

– Coś jeszcze?

– Och, Augusto – westchnął David, nakrywając jej dłoń swoją. – Nie jest tak tragicznie. Książka sprzedaje się całkiem dobrze, jak sama wiesz. Wydawca jest zainteresowany kolejną.

– Kolejna książka – powiedziała bezbarwnym tonem.

– Pisanie pierwszej zajęło wieki. Nie masz nawet pojęcia, ile energii pochłania inwencja.

– Nie chodzi o kolejne wspomnienia. Myślę raczej, że może powinnaś wykorzystać swoją... swoją...

– Swoją niesławę?

– Swoją osobistą perspektywę – odparł dyplomatycznie David. – Może coś w rodzaju poradnika? Na przykład jak pokonywać niepowodzenia. Wiem, że to brzmi strasznie, ale we właściwych rękach –

w twoich rękach – mogłoby wypaść całkiem zabawnie. Augusto, spójrz na mnie. To tu są pieniądze.

Pokręciła powoli głową, patrząc, jak towarzystwo przy sąsiednim stoliku stuka się kieliszkami, wznosząc toast.

– Można zarobić miliony, a twoja jedyna konkurencja to idioci – powiedziała.

David uniósł wzrok, jego widelec zatrzymał się w połowie drogi do ust.

– Słucham?

– Powiedział tak kiedyś w Hollywood pewien mądry człowiek. – Rozejrzała się po sali, szukając ich kelnera, ale nie mogła go rozpoznać. Mężczyźni w białych fartuchach wyglądali jak zaganiane pingwiny i byli właściwie identyczni.

David chyba doznał ulgi, że nie zrobiła mu dzikiej awantury.

– Znajdziemy ci murzyna, dobrego – obiecał. – To przyspieszy sprawę.

– No cóż, przynajmniej nie zwariuję przez zimę.

Agent zaczął wiercić się na krześle.

– Zamieniłem parę słów z wydawcą. Oni chcieliby zobaczyć gotowy szkic, zanim wyciągną książeczkę czekową. – Zachichotał, ale szybko się opanował. – No wiesz, po ostatnim razie. Odrobina marchewki działa znacznie lepiej niż bat. Kompetentny „autor widmo” powinien tu zdziałać cuda.

Augusta pomyślała o widmach snujących się po

pustych pokojach jej pamięci. Wątpliwe, by któreś z nich zechciało pomóc. Potrzebowała kogoś uległego i taniego, co wykluczało większość Londynu. I nagle w jej myślach zamajaczył obraz młodej amerykańskiej reporterki w paskudnym swetrze. W kontakcie bezpośrednim była irytująco nieśmiała, ale na papierze potrafiła pokazać pazur.

Kelner podszedł z jej drinkiem. Kieliszek zadzwieczał lekko o blat stolika. Zacisnęła palce na chłodnej nóżce i zmusiła się do odliczenia do trzydziestu, zanim upiła pierwszy łyk. Zauważyła w menu koktajli, że mimosa kosztuje piętnaście funtów. Na szczęście płacił David.

Przy barze Andrew dawał komuś autograf. Patrzyła, jak zamyka wieczne pióro i wsuwa je do kieszeni marynarki. Taki drobiazg, wieczne pióro. Mały, niewinny przyrząd. Ukryta broń. Wzięła łyk drinka, nie mogąc się doczekać kolejnego.

– A więc – podjęła – opowiedz mi o książce Dellera.

Davidowi chyba ulżyło, że wracają na bezpieczniejszy grunt.

– Tak w sumie to niewiele o tym wiem. Widziałem zapowiedź w jednym z amerykańskich katalogów. Jakiś pomyłony kalifornijski wydawca, spec od New Age. Brzmi to jak stek bzdur, ale z tymi sprawami nigdy nie wiadomo.

Augusta starała się mówić jak najłagodniejszym głosem:

– Ale sądzisz, że książka może mnie dotyczyć?

– No cóż, zdaje się, że będzie pisał o tym, jak poskładać rozbite serce. A ty w jego przypadku byłaś osobą, która dzierżyła młot. – Odsunął się od stolika, jakby w obawie, że znajdzie się w zasięgu rażenia widelcem. – Wiedziałaś, że w Kalifornii określił się zupełnie od nowa? Zdaje się, że jest kimś w rodzaju terapeuty par. – Pokręcił głową ze śmiechem. – To chyba lekkie przegięcie.

Rozdział 7

Jak pan sądzi, czy to możliwe, żeby materac był przeklęty?

Pytanie niczym igła przeszło jego rozbiegane myśli. Jak sflaczały balon Kenneth Deller alias Pan Romans wylądował z powrotem w studiu radiowym. Wzdrygnął się, gdy dostrzegł, że kawa w kubku zdążyła wystygnąć. Przecież ledwie dwie minuty wcześniej zerknął po raz ostatni na zegar ścienny. W trakcie niektórych programów, takich jak ten dzisiejszy, udzielał szablonowych odpowiedzi – że trzeba umieć samego siebie cenić, bo jeśli my się nie docenimy, nikt inny za nas tego nie zrobi – a wskazówki zdawały się cofać jak na filmie puszczanym wstecz. Odchrząknął, wracając myślami do pytania.

– No cóż, to pewnie zależy. Czy mówimy tu o klątwie w klasycznym sensie – o uroku rzuconym przez jakąś nadprzyrodzoną moc, żeby spowodować bolesną karę, czy po prostu ma pani pecha w sypialni?

Kobieta z drugiej strony linii zawahała się, ale tylko na moment. Nie po to dzwoniły do programów radiowych z udziałem słuchaczy, żeby trzeba je było ciągnąć za język.

– Pech, chyba chodzi mi o pecha. Widzi pan, kupiłam

go jakiś rok temu i od tego czasu, jakby to powiedzieć, poszczyściło mi się na nim ledwie raz. I to z byłym mężem. A i to dlatego, że poszliśmy na miasto i upiliśmy się z okazji podpisania papierów rozwodowych. I od tamtej pory żadnych... hm... imprez dla dwojga.

Skąd one brały te eufemizmy? Puknąć, zaliczyć, przelecieć, bzyknąć, posunąć. Z głośnika aż promieniowało zażenowanie. Tam, skąd przyjechał, ludzie byli równie pruderyjni: ciupciać, numerek, barabara. Jedno słowo na określenie miłości, tysiące na seks.

– I obwinia pani za to materac?

– Musiałby pan zobaczyć, jak faceci na niego zerkają. Jakby wiedzieli, że nic przyjemnego się tam nie wydarzyło od bardzo długiego czasu.

Producent audycji, siedzący na zewnątrz dźwiękoszczelnej kabiny, pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Moim zdaniem – ciągnął Kenneth – przypisuje pani mężczyznom zbyt wielką wyobraźnię. Zwykle, kiedy facet jest w sypialni, nie doszukuje się nadnaturalnych zjawisk w umeblowaniu. Dziękuje tylko wszelkim siłom wyższym, które pozwoliły mu tam w ogóle trafić.

– W sumie to trwa dłużej niż rok... ta posucha.

– Naprawdę?

– Już bliżej pięciu.

Ścisnął palcami grzbiet nosa.

– A myślała pani o tym, żeby pozbyć się materaca?

– No cóż, siostra się przeprowadza. Pomyślałam, że może będzie chciała go sobie zabrać, ale przecież nie mogę tej klątwy rzucić na nią. Już i tak dokuczają jej fibromialgia.

To był kulminacyjny moment popołudnia. Reszta telefonów minęła w niezróżnicowanym pędzie – czyjś chłopak uzależniony od pornografii, unikający zobowiązań, nieudacznik, rozrzutnik, wałkoń. Sami mężczyźni dzwonili rzadko; jak ognia bali się, że ktoś znajomy usłyszy ich w radiu, jak proszą o radę w kwestiach miłości.

Chodziło zresztą o coś więcej – mężczyźni rzadko zdawali sobie sprawę, że ich związki są zagrożone, zazwyczaj dopiero wtedy, gdy zdesperowana żona rzucała się na nich jak żmija, budząc ich z letargu. „Nie miałem pojęcia, że coś jest nie tak”, mawiali, kiedy wreszcie zdobywali się na odwagę, by zadzwonić. „Siedemnaście lat byliśmy szczęśliwi. Nigdy nic nie mówiła”. Naprawdę? Żadnych wskazówek? Żadnego milczenia ciągnącego się całymi dniami, żadnych niespodziewanych powodów łez, żadnych sugestii, że może należałoby znaleźć terapeutę dla par? „To nie tak, że nie było wskazówek”, mówił wtedy łagodnie. „Rzecz w tym, że pan ich wolał nie dostrzegać”.

Po godzinie zdjął czarne, wyściełane słuchawki i przeciągnął się. Dolny guzik naciągniętej koszuli rozpiął się, więc sięgnął ręką, żeby go dopiąć. Może i urósł mu brzuch, ale przynajmniej nadal był twardy.

Jego ojciec i wujowie byli postawnymi mężczyznami, o dłoniach jak bochny chleba i brzuchach niczym z cementu. Miękki flak – to była najgorsza obelga w słowniku ojca. Ostatnio słowo to zdawało się określać wykonywany przez Kennetha zawód. Człowiek nie może przedstawiać się wszem wobec jako Pan Romans i oczekiwać, że wezmą go za twardziela. Następnym razem, kiedy odwiedzi Londyn, każe sobie uszyć parę nowych koszul. O ile zniesie upokorzenie w trakcie przymiarek.

Obrócił się razem z krzesłem w stronę okna, za którym rozciągały się poszarzałe przedmieścia. Zanim tu przyjechał, wyobrażał sobie, że Kalifornia okaże się zielona i bujna, że na każdym rogu hibiskusy będą spływać nektarem. Z bólem odkrył w nowym otoczeniu paletę kolorów charakterystyczną dla saloniku jego matki w Manchesterze około 1974 roku: brąz, pomarańcz, czasem plama zjadliwej zieleni.

Nigdy nie przywykł do braku chmur. Dzisiejszego ranka, kiedy wjeżdżał do doliny, wybuchnął śmiechem, słuchając prognozy pogody w radiu: „Dziś będzie ładnie. Jutro również”. Prezenter pogody w Los Angeles. Cóż za idiotyczne zajęcie. Niemal tak idiotyczne, jak doradca w sprawach sercowych.

Miasto bogactwa, słońca i przywileju okazało się chyba najmniej romantycznym miejscem na świecie. Ludzie bali się jedzenia i trzymali z daleka od alkoholu – omijali więc dwie drogi, które zdaniem Kennetha

najpewniej prowadziły do seksualnej satysfakcji. Miasto, w którym widziało się najbardziej rygorystycznie zaokrąglone pośladki, najdokładniej wyrzeźbione bicepsy, w którym ludzie potrafili skoncentrować się na każdym milimetrze obwisłości. Obnażali swój cielesny stan posiadania wyłącznie po to, by porównać się z innymi i sprawdzić, ile jeszcze mają do zrzucenia.

Lubił myśleć, że bez niego to miasto uwiędłoby i zginęło, jego kaplice ślubne i dziecinne pokoje stałyby puste i zapomniane. Czasami wyobrażał sobie, jak próbuje wyjaśnić własnemu ojcu swoje miejsce w tym świecie. Swoją chaotyczną karierę. „Bo widzisz, tato, jestem doradcą w kwestiach miłości, ekspertem od romansów, badaczem najciemniejszych zakątków ludzkich serc”. A potem ten życzliwy, zdziwiony uśmiech ojca. „Ale, chłopcze, przecież z paniami nigdy ci specjalnie nie szło, prawda?”

Dziwna duchota studia radiowego drażniła go. Im szybciej się stąd wyrwie, tym lepiej. Wyłowił z kieszeni telefon i włączył go. Sprawdził pocztę. Siedemnaście nowych maili. Trzymał komórkę na odległość ramienia i mrużył oczy, wpatrując się w malutki wyświetlacz. Czcionka w poprzednim aparacie z pewnością była znacznie większa.

Westchnął, kiedy dostrzegł ostatni mail z Middle Way Books. Jego wydawca pytał, czy byłby uprzejmy dostarczyć maszynopis do końca bieżącego miesiąca. Pośpiesznie zamknął wiadomość i otworzył następną.

Była to krótka notka od Charlesa. Uśmiechnął się jak zawsze pod wpływem tego formalnego tonu: „Czy jutrzejsza kolacja jest aktualna? Mam zrobić rezerwację?”. Była jeszcze wiadomość od pary narzeczonych, którym doradzał, potwierdzająca następne spotkanie.

Krzesło zaskrzypiało, gdy pochylił się, usiłując odczytać następnego maila. Kenneth nie znał tego adresu, a wiadomość nie miała tytułu. Zdawało się, że napisało ją dziecko albo ktoś z hakami zamiast dłoni. Wstrzymał oddech, czytając: „NaPisz t ę książkę, a pożałuJESZ”.

Rozdział 8

Po przeciwnej stronie zasłanego balaskami dziedzińca osiedla George'a Cadbury'ego jakiś pies zawisł, zaciskając szczęki na krawędzi dziecinnej huśtawki. Nawet z tej odległości Frances słyszała jego głęboki warkot. Pomijając drzenie spływającej pianą mordy, wisiał zupełnie nieruchomo, jak połącz szynki w sklepie rzeźniczym.

Jego nastoletni właściciel, z dłońmi wbitymi głęboko w kieszenie kurtki, uniósł stopę i trącił psa w bok; głowa zwierzęcia zakołysała się, wprawiając w ruch resztę jego ciała. Zupełnie jakby ktoś raził go prądem, pomyślała Frances. To był znajomy rytuał. W parku w pobliżu jej londyńskiego mieszkania na wpół przerezute siedzenia huśtawek kołysały się nad łbami muskularnych, smutnych psów w obrożach najeżonych ćwiekami. Trenowano je do walki.

Raz, kiedy jeszcze miała pracę, została oddelegowana, żeby dowiedzieć się, czemu te bojowe psy – jak upierał się nazywać je „Advance” – są tak popularne wśród pozbawionej perspektyw młodzieży. „Znajdź mi takiego w kapturze i z najbrzydszym kundlem”, polecił Stan. Zaczepiła więc grupę wyrostków palących skręty z kilkoma dyszącymi

bestiami u stóp. Wszystko skończyło się nieco inaczej, niż zaplanowała, gdy wiała ulicą w Bermondsey, słysząc echo własnych wrzasków i śmiech chłopaków, podczas gdy monstrum o niepozornym imieniu Okruch gnało jej śladem, wlokąc za sobą nabitą ćwiekami smycz i strugi śliny. „Kochaniutka, on tylko chce buziaczka!” – to była ostatnia rzecz, jaką usłyszała, zanim zdążyła się schronić w bezpiecznym wnętrzu pobliskiego Tesco.

Frances robiła wszystko, o co Stan ją poprosił, drażyła każdy temat, jaki jej przydzielił, i oto dokąd zaprowadziła ją lojalność: na upstrzony psimi gównami i niedopałkami papierosów skrawek trawnika na przedmieściach Birmingham. Kiedyś może byli kumplami, może nawet stali u progu czegoś więcej, ale to było PW – Przed Wylaniem.

Lepiej teraz o tym nie myśleć, upomniała się. Zresztą nie została z pracy wylana, to była „strategiczna rektyfikacja zasobów”, a przynajmniej tak ujął to Stan, kiedy wprowadził ją do swojego gabinetu. Był chociaż na tyle przyzwoity, żeby zrobić przy tym zawstydzoną minę. „Czuję się jak palant”, powiedział, unikając jej wzroku. „Ale nie wolno mi użyć słowa *zwolnienie*. Frances, chodzi o jakieś kwestie prawne. Cholerny idiotyzm. Zawsze sądziłem, że robimy w branży, która opiera się na nazywaniu spraw po imieniu. Chociaż mam wrażenie, że całkiem niedługo w żadnej branży robić już nie będziemy”. Wreszcie na nią popatrzył, ale natychmiast znów uciekł wzrokiem. Frances nie była

w stanie przełknąć śliny. „W każdym razie chodzi nie tyle o... rezygnację z ciebie, co o nieprzedłużenie umowy. I nie tylko z tobą. Do końca dnia będę musiał zawiadomić jeszcze trzynaście osób. Chciałem powiedzieć tobie w pierwszej kolejności, bo wiedziałem, że ta rozmowa będzie najtrudniejsza”. Jego uśmiech był jakby kontrolowany przez umieszczone w obu kącikach ust elektrody, uruchamiane w przypadkowych interwałach. „Dasz sobie radę. Jesteś na to miejsce za dobra. I zobaczymy się jeszcze. Postawię ci drinka i sprawdzę, czy wszystko u ciebie w porządku.”

Bydlęco-bydlęce bydlę!, pomyślała Frances. Ale to jedno zdanie: „Zobaczymy się jeszcze”, uruchomiło w niej odrażające pokłady nadziei. Sprawdzała wiadomości w komórce tak często, że nabawiła się bólu kciuka. Jednak nie pojawiła się żadna wiadomość od niego. Ani jedna.

Zacisnęła palce wokół małego dyktafonu w swojej kieszeni. Dwugodzinna podróż pociągiem poza Londyn, żeby zbadać sprawę niedoli pewnej biednej kobiety na zlecenie pisma „Under the Skin”, to nie droga, którą sobie wyobrażała, kiedy przenosiła się do tego kraju. Usiadła na lodowatej ławeczce na obrzeżach osiedla, nie mogąc się nadziwić, jak łatwo jest ześlizgnąć się po szczeblach drabiny, gdy raz rozluźni się chwyt.

Sue załatwiła jej rozmowę o pracę w „Under the

Skin” w ramach rewanżu za kilka przysług zrobionych kiedyś starej przyjaciółce. W pierwszej chwili Frances wzdragała się – „Under the Skin” było pismem, którym gardziła, widząc je w kioskach – z tymi nagłówkami żerującymi na najtragiczniejszych ludzkich dramatach: *Kto ukradł nogi naszego dziecka?*, *Strach przed rakiem na wysokości 3000 metrów*. Raz, tuż przed Wielkanocą, złamała się i kupiła egzemplarz, zwiedziona obietnicą tematu dnia: *Kanibal zjadł moją babunię z brokułami i sosem serowym*.

Czasy były rozpaczliwe, jak zwykł przypominać jej bankomat, więc przyjęła pierwsze zlecenie. Żadnej zaliczki – uprzedziła redaktorka o imieniu Emma (czy może Gemma?). Najpierw Frances będzie musiała dostarczyć materiał. „Jakoś mnie bierze ta historia”, powiedziała Emma przez telefon. „Ta kobieta o siebie walczy. A ten gość, ten cały Les, ten potwór, próbuje ją zniszczyć. Stłamsić jej ducha. Frances, już widzę ten tytuł: *Seksualny maniak z za krat trzyma mnie na uwięzi.*” Naiwnie zdumionej Frances wyjaśniła po chwili milczenia, że to tylko taka metafora, i dalej klikała, przeglądając maile. „Ta Sheena, ona próbuje prowadzić uczciwe życie, pracuje na nocną zmianę i chodzi do szkoły. Stara się być dobrą matką. Jest samotna. Wystawiona na ciosy. Zawiera korespondencyjną przyjaźń z tym całym Lesem, skazańcem. I zanim się może połapać, on, siedząc w więzieniu, zaczyna na niej pasożytować. Wydzwania do niej, kiedy tylko może.

Mówi jej, w co ma się ubierać i z kim się może widywać. Zastrasza ją. Tutaj jest coś takiego... Tak, posłuchaj tego fragmentu: Chcę opowiedzieć swoją historię, żeby młode dziewczyny, które czytają »Under the Skin«, nie popełniły tego samego błędu, co ja.”

Już następnego dnia Frances udała się w podróż do Birmingham na spotkanie z Sheeną Henry, ofiarą niesławnego seksualnego maniaka, by wycisnąć każdą uncję tragizmu z jej dramatycznej historii.

Zajęcie jak zajęcie, pomyślała, dygocząc na ławce. Niektórzy muszą oskubać sto kurczaków na godzinę. Niektórzy eksmitują ludzi z domów. Niektórzy wsuwają wielkie rury do zbiorników z szambem i patrzą, jak rzeka ekskrementów wsysana jest do szambiarek. A inni piszą dla „Under the Skin”. Żebracy kontra ci, którzy przebierają w ofertach. W ciągu paru ostatnich tygodni zdecydowanie przesunęła się bliżej jednego krańca tej skali.

– Nie jest tu tak ładnie, jak w Londynie, co? – Kobieta podeszła do niej cicho. Cofnęła się, gdy Frances drgnęła. – Przepraszam, kochaniutka. Nie chciałam cię wystraszyć. Frances, prawda? – Wyciągnęła spierzchniętą, zaczerwienioną dłoń i uśmiechnęła się. Pod wpływem tego uśmiechu jej twarz nieco się zapadła. Może to kwestia brakujących zębów? Według teczki, którą Frances miała w torbie, Sheena Henry wieczorami pracowała jako sprzątaczką w Argos, rano chodziła na kurs komputerowy, a resztę dnia spędzała

w elektronicznym zniewoleniu przez wytatuowanego więźnia ze stalowymi implantami zębów. Ale nie, to nie mogła być Sheena; Sheena liczyła sobie czterdzieści jeden lat, zaledwie dziesięć więcej niż Frances. Ta kobieta zaś, mimo optymizmu świeżo ufarbowanych włosów, miała wygląd jabłka, które całą zimę przeleżało za oknem.

– Sheena? – odezwała się słabo Frances.

Kobieta ujęła ją pod ramię i zaczęła prowadzić w kierunku bloku mieszkalnego.

– Chodźmy do środka, zanim całkiem uświerkniemy. – Skinęła głową w stronę chłopca, który teraz rzucał kawałkami pustaków w swojego pupila. – Żałosny główniarz. – Pociągnęła nosem. – Powinien być w szkole, a nie wydurniać się z tym swoim cholernym kundlem.

Już w mieszkaniu, wzmocniona gorącą herbatą, Sheena sypała historiami jak obrócona do góry dnem torebka – Frances wysłuchiwała całej litanii zawiedzionych nadziei, historii dzieci, z których żadnej pociechy, mężczyzn, kręcących się w pobliżu tylko tak długo, aż upaśli się na jej kuchni, by potem zadać się z sąsiadką. Była zadziwiająco pogodna, wdając się w szczegóły swojej rwy kulszowej, operacji zmniejszenia żołądka u córki, wagarów syna. Właśnie ta radość życia na przekór wszystkiemu wyróżniła nagrany przez nią na skrzynkę głosową wiadomość spośród setek rejestrowanych co tydzień w redakcji „Under the

Skin”.

Gdyby ta historia została opublikowana, Sheena mogłaby zgarnąć czterysta funtów, a Frances stanęłaby w drzwiach redakcji tygodnika. Tak więc siedziała teraz po drugiej stronie maleńkiego kuchennego stolika i patrzyła, jak twarz Sheeny odpręża się, w miarę jak kobieta zrzucała ciężary z serca. Zdjęcie ładnej jasnowłosej dziewczyny w szkolnym mundurku wisiało na lodówce, a na kuchennym blacie piętrzył się stos egzemplarzy „Under the Skin”. Frances jadła już czwartego herbatnika Hobnob i była przy trzeciej filiżance herbaty. Nie czuła się ani trochę bliższa dotarcia do sedna historii Sheeny, ale z pewnością zbliżała się do chwili, gdy będzie musiała skorzystać z toalety – była to sytuacja, której starała się unikać w trakcie wywiadów, wydawało jej się to takie nieprofesjonalne.

– Co tak konkretnie pociągało panią u Lesa?

– Moja kumpela, Sandra, spotyka się z jego przyjacielem, Terryem. – Sheena się zawahała. – Czy można to tak nazwać, jeśli w gruncie rzeczy oni nigdy się nie spotkali bez dzielącej ich szklanej szyby? No, tak czy inaczej. Ona mi mówi o tym facecie, Lesie, i przesyła mi ememesa z jego zdjęciem, a ja... –

Powachlowała się. – On się dobrze trzyma. Pomyślałam, że fajnie byłoby mieć faceta, który z tobą jest, a jednocześnie go nie ma, rozumie pani? Nie płacze się cały czas pod nogami, nie sprawia kłopotów.

– Ale on siedział w więzieniu. Naprawdę aż tak bardzo potrzebowała pani mężczyzny? – Frances przeklęła się za te słowa, gdy tylko padły z jej ust. Poczuła, że jej twarz oblewa się gorącym rumieńcem.

Sheena przez chwilę koncentrowała się na wyjęciu bibułki Rizla z paczuszki i zwinięciu w niej tytoniu.

– Nie łudzę się, że pani zrozumie. Jest pani ładniutka. I jeszcze młoda. Może tutaj sprawy wyglądają inaczej niż to, co pani zna. A w ogóle skąd pani jest?

– Z Kalifornii.

– No cóż – westchnęła. – Tu w okolicy żadnego Brada Pitta nie ma. Radzimy sobie, jak umiemy. – Kobieta uniosła imbryk, żeby znów napełnić herbatą filizankę swojego gościa, wyszczerbioną na brzeżku, jakby została nadgryziona. Frances skrzyżowała nogi, ale nie zaprotestowała.

Na dźwięk swojej komórki zerknęła na wyświetlacz. Byłoby kompletną amatorszczyzną sprawdzać wiadomości w trakcie wywiadu, ale kiedy zobaczyła adres mailowy Stanleya, natychmiast chwyciła telefon. Głos Sheeny odpłynął gdzieś daleko, gdy Frances wpatrywała się w krótką wiadomość: „Frances, słyszałaś? Jakimś cudem nominowano nas do nagrody Well Done London! Masz ochotę wskoczyć w kieckę i dołączyć do starych przyjaciół? Gwarantowane wyrzekania i marne żarcie”. Po podpisie był jeszcze dopisek: „Jeśli ktoś zasługuje na to, żeby tam być, to właśnie Ty”.

Co za czelność! Miała siedzieć i patrzeć, jak ludzie, którzy ją odrzucili, świętują swój sukces? Duma Frances walczyła z pragnieniem, żeby znów znaleźć się pomiędzy nimi, stanowić część ich żalosego, cudownego kręgu.

Upuściła komórkę na blat stołu. Sheena urwała w pół zdania i spojrzała na nią czujnie. Frances zmusiła się, by wrócić myślami do Lesa potwora.

– Odwiedzała go pani? I utrzymywała kontakt telefoniczny? Zaczął pani grozić przez telefon?

Palce Sheeny zaczęły szukać zawieszzonego na szyi niewielkiego złotego krzyżyka.

– Zrobił się okropny, naprawdę. Powiedział mi, że jego były kumpel z celi, Terry, ma mnie na oku, że widział mnie w pubie, gdzie zachowywałam się jak zdzira. Co jest nieprawdą. – Wzięła głęboki oddech. –

A potem zrobiło się jeszcze gorzej. Les stwierdził, że zna jakiegoś gościa, którego posuwam, jakiegoś faceta z Argos. Co jest nieprawdą. Ale zadzwonił do mnie któregoś dnia, mówił straszne rzeczy. Że wykończy mnie i moje dzieci, kiedy wyjdzie. – Cieniutka strużka zabarwiona niebieskim eyelinerem zaczęła spływać po jej policzku. – Nie miałam pojęcia, że takie z niego bydlę, inaczej nigdy nie zaczęłabym się z nim zadawać.

– Martwi się pani, co się stanie, kiedy go uwolnią? –

Boże, upał tu jak w piecu, pomyślała Frances i zsunęła kardigan z ramion. Czy wysoka temperatura zwiększa ochotę na siusiu? Naprawdę bardzo potrzebowała

do łazienki.

– Kiedy go uwolnią? Och, nie... – Słyszac jakiś dźwięk przy drzwiach wejściowych, Sheena się obróciła. Korytarzem przemknęła wysoka, ciemna sylwetka, a za nią druga – mała i przysadzista. – Ej, ty! – ryknęła Sheena. – Chodź no tu i przywitaj się z gościem.

Po gwałtownym westchnieniu i odgłosie szurających stóp Frances domyśliła się, że to nastolatek, zanim jeszcze zobaczyła go w progu drzwi kuchennych. Chłopak z dziedzica. Potężny pies przysiadł u jego stóp, różowooki i zziązany.

– Cześć, gościu – rzucił wyrostek.

– Ten tu to Michael, mój najstarszy. – Sheena złapała chłopaka za rękaw kurtki. – Który jednak nie jest jeszcze zbyt duży, żeby go nie przerzuciła przez kolano, jeśli nie zacznie chodzić do szkoły. – Chłopak mruknął i szarpnął się, ale Sheena przytrzymała go mocno. –

A to jest Frances, z tego pisma, o którym ci mówiłam. W Londynie. Napisze artykuł o Lesie i o tym, jaki z niego potwór.

– No cóż, być może – mruknęła Frances. – Tak naprawdę to nie ode mnie zależy...

– I o tym, jak groził nam przemocą. Jak nas przeraził.

Michael parsknął śmiechem, a pies zawtórował mu serią ostrych szczeknięć.

– Jaja sobie ze mnie, kurwa, robisz. Ja się tego palanta nie boję. – Nagle obrócił bladą, wąską twarz w stronę Frances. – Powiedziała ci, za co go wsadzili?

– Ona nie musi tego wiedzieć – wtrąciła szybko jego matka.

– Ten pierdolony potwór, przez którego ma koszmary? – Michael wsunął się do ciasnej kuchenki, pies od razu ruszył za nim. Cholera, pomyślała Frances, teraz będę musiała się przeciskać obok niego, żeby dostać się do toalety.

– Michael, to nieważne...

– Myślisz może, że zapuszkowali go za gwałt? Za to, że zaciukał kogoś nożem? – Sheena uśmiechnęła się przepraszająco i silniej szarpnęła syna za rękaw, na co z głębi psiego gardła wyrwał się ostrzegawczy warkot. Pociągając syna ku sobie, Sheena szepnęła: – Czteryście funciaków.

– No niech ci tam – powiedział, strząsając jej rękę. – Podatku lokalnego też nie płacił. I powinnaś zobaczyć, co zrobił komornikowi, którego na niego nasłali.

Nagle Frances zrobiło się niedobrze – na myśl o sobie, o tym leserującym chłopaku, o tej życzliwej, naiwnej kobiecie.

– Muszę skorzystać z toalety, jeśli nie ma pani nic przeciwko – powiedziała, odsuwając krzesło od stołu.

W tym momencie odezwała się komórka leżąca przy łokciu Sheeny. Pierwsze dźwięki *Hot N Cold* Katy Perry zalały kuchnię. Pies zaczął skakać jak szalony, usiłując porwać telefon, a Michael klął i szarpał go za smycz.

– Jezus Maria... – szepnęła Sheena, wpatrując się w numer na wyświetlaczu. Jej usta utworzyły obwisły,

różowy owal. – To tak, jakby on mógł nas słyszeć.

– Kto dzwoni? – zapytała Frances, powolutku wycofując się z kuchni.

– To on – jęknęła Sheena, podczas gdy telefon śpiewał brzękliwym głosem o pocałunkach na zgodę. Pies skoczył jeszcze raz i wydał z siebie zduszony skowyt, gdy gospodyni zatrzymała go stopą wymierzoną w klatkę piersiową.

– On dzwoni z więzienia? – upewniła się Frances.

Matka i chłopak obrócili się, żeby na nią spojrzeć.

– Właśnie to próbowałam ci powiedzieć, kochana – odezwała się Sheena, sięgając po komórkę. – On jest teraz na wolności. Mieszka na sąsiednim osiedlu.

– Przepraszam na moment. – Przechodząc blisko Michaela, Frances mimowolnie zaciągnęła się zimnym zapachem cydru i dymu papierosowego.

– Toaleta jest tam – powiedział i szarpnął smyczą, bo pies, teraz już zupełnie oszalały, usiłował ruszyć za nią, kłapiąc zębami i warcząc.

Pośpiesznie przeszła korytarzem i zatrzasnęła drzwi tuż przed pyskiem czworonoga, nie martwiąc się, czy nie zrobi durnowatemu stworzeniu krzywdy. Szarpiąc się z gałką drzwi, odkryła, że mały guziczek w środku stawia opór od nieużywania.

– Nie do wiary – mruknęła, usiłując zamknąć zamek. Grzechotliwy dźwięk zabrzmiał dziwnie głośno, choć i tak nieporównywalnie ciszej niż wrzaski Sheeny i ujadanie psa.

– Wystraszyłeś ją na śmierć! – Kobieta darła się prawdopodobnie na złowrogiego Lesa. – Tak, owszem, tak! Biedna dziewczynina aż musiała pobiec do łazienki.

– Nie! – zaprotestowała desperacko Frances, usiłując opuścić dżinsy. – To nie przez niego! – Tuż zanim gołym siedzeniem dotknęła zimnej porcelany, dostrzegła, że deska sedesowa – z przezroczystego plastiku, w którym zatopiono zwój drutu kolczastego – była podniesiona. Szarpnęła ją w dół i wreszcie, z ulgą, usiadła. – Nie wystraszyłam się – poinformowała Rihannę patrzącą na nią z plakatu pokrywającego drzwi. – Ja tylko musiałam siusiu. – Nie mogła znaleźć ręcznika, więc po umyciu rąk kawałkiem popękanego mydła wytarła dłonie o dżinsy. Przez krótką rozpaczliwą chwilę korciło ją, by zadzwonić do rodziców, przełknąć ostatnie czerstwe okruchy dumy i poprosić o bilet lotniczy do domu. Gdyby miała czterysta funtów, sama dałaby je Sheenie, żeby oszczędzić jej tego całego obciachu. Słyszała teraz głos kobiety, niżony do głuchego szlochu, w przerwach pomiędzy łomotami drzwi, na które skakał pies. – Hm, Michael? – zawołała Frances. – Michael, czy możesz zabrać psa? Chciałabym wyjść.

Głęboki oddech. Sięgnęła do gałki, ale ta nie chciała obrócić się w jej dłoni. Może ręka była jeszcze wilgotna? Jeszcze raz potarła dłońmi o dżinsy i spróbowała ponownie. Mały zamek stawiał jednak opór, odmówił drgnięcia choćby o milimetr. Przyklęła,

teraz już zdesperowana, chwyciła gałkę i zaczęła gwałtownie szarpać tam i z powrotem.

– Co ty tam robisz? Chyba nie zamykałaś drzwi? – Brzmiało to podejrzenie, tak jakby chłopak próbował powstrzymać wybuch śmiechu. – Do kurwy nędzy, przecież to od dawna bezużyteczne badziewie!

Właśnie to będą o mnie pewnego dnia mówić, pomyślała i przylgnęła policzkiem do chłodnej powierzchni drzwi, kryjąc twarz pomiędzy błyszczącymi nogami Rihanny. Może nie jest za późno, żeby jeszcze pójść na studia prawnicze.

Rozdział 9

Chłopak przystanął przy stoliku Augusty i dziabnął palcem stos fotografii wymiarów osiem na dziesięć cali. Zostały zrobione tuż po tym, jak obsadzono ją w *Banku krwi*, i ukazywały ją w pełnym stroju wampirzycy chirurga: usta czerwone niczym środek tarczy, stetoskop, obcisły podkoszulek. Zupełnie jakby po tracheotomii i krwawym koktajlu zamierzała skoczyć na siłownię.

– W czym pani bywała? – zapytał. Miał wąskie zielone oczy i ciemne włosy, zapuszczone na tyle, żeby zakryć uszy wielkie jak u dzbanka. Augustę dopadła nagła ochota, by odgarnąć te kosmyki i przykazać mu nosić swój defekt z dumą.

– W czym bywałam? – powtórzyła. – Zazwyczaj w tarapatach. A także w paru serialach, które mogą pamiętać twoi rodzice.

Skinął głową i wziął zdjęcie ze szczytu stosika.

– Ile za podpisanie tego?

– Mój dekolt z autografem zuboży cię o dziesięć funtów, kochanie. Okazja niemal równa zakupowi Luizjany.

Chłopak znów skinął głową i odłożył zdjęcie. Z nerwowym półuśmieszkiem dołączył do kolejki przy

sąsiednim stoliku, która ciągnęła się aż po środek sali balowej. Co najmniej pięćdziesiąt osób czekało w niej cierpliwie na autograf amerykańskiego astronauty, który trzykrotnie okrążył orbitę Ziemi i niemal utonął, nie mogąc wydostać się z kapsuły lądowniczej. Jego podpis kosztował dziesięć razy tyle, co jej.

Augusta westchnęła, rozejrzawszy się po sali, i sięgnęła po torebkę. Zaciśnęła palce na niewielkiej buteleczce, którą kupiła w monopolowym, korzystając z okazji, że Alma poszła do toalety. Ze słodkim trzaskiem metalowa zakrętka ustąpiła pod jej palcami. Ukrywając buteleczkę w dłoni, uniosła ją nad stolikiem i szybko przelała jej zawartość do kawy. Taka idiotycznie mała buteleczka, w rodzaju tych, które dają ludziom w samolotach. Taka, jaką można by wsunąć do bożonarodzeniowej skarpety na prezenty.

Brała pierwszy łyk, kiedy Alma wróciła. Kuśtykała o lasce z wyrazem zdeterminowanej wesołości na przypudrowanej twarzy.

– Coś drgnęło?

Augusta pokręciła głową.

– Było spokojniej niż w majtasach zakonnicy. Ale ten tam, wujek Sam... – Wskazała emerytowanego astronautę, który siedział pod gigantyczną fotografią przedstawiającą go w pełnej krasie kosmicznego hełmu. – Lgną do niego jak muchy, chociaż ledwie wystawił palec u nogi w przestrzeń kosmiczną.

Alma energicznie odstawiła swoją wielką torbę ze

sztucznej skóry.

– Największa światowa aukcja autografów, dupa tam – sarknęła. – Przed chwilą rozmawiałam z Phyllidą, pamiętasz ją?

– Ta wypacykowana stara lafirynda, która grała z tobą w *Doctor Who*?

– To był klasyczny odcinek – zaprotestowała Alma z godnością.

– Grałaś potwora pokrytego mieszanką cukierków z lukrecją.

– To była metafora horroru kryjącego się pod pociągającą fasadą. – Starsza pani pociągnęła nosem. – Nie żebym się spodziewała, że to zrozumiesz. Tak czy inaczej, do Phyllidy jest kolejka dłuższa niż na poczcie. Kryguje się tam, jakby była cholerną Judi Dench, choć prawdę powiedziawszy, nie umie sobie zaklepać nawet reklamy chleba.

– A ile bierze za autograf? – zapytała Augusta wbrew rozsądkowi.

Alma, grzebiąc w torbie, podniosła wzrok z grymasem niezadowolenia.

– Trzydzieści funtów.

– W życiu!

Zapadło milczenie, w którym obie unikały swojego wzroku i próbowały nie przetrwać w myślach arytmetyki tej porażki. Po chwili Alma wyciągnęła swój telefon i wymierzyła go obiektywem aparatu w stronę Augusty, która odruchowo przygładziła włosy.

– Wrzucam nas na Twittera – zarządziła. – Ktoś musi połąknąć przynętę.

Pół godziny później Alma sprzedała osiem autografów, a Augusta dwa. Siedziała ponuro nad prawie pustą filizanką, knując kolejną wycieczkę do monopolowego. Alma nabazgrała na kartce papieru: „Poznaj dynamiczny duet z *Kanałów!*”, i przypięła ją do krawędzi stolika. W czasach swojej świetności *Kanały* były najpopularniejszym z wieczornych seriali, w dużej części zawdzięczając sukces przyjaźni pomiędzy cwana właścicielką pubu, Doris, graną przez Alnę, a durnowatą barmanką Augusty, Kit. Kilku nostalgicznie nastawionych łowców autografów podeszło do nich. Przeważnie jednak biznes odbierała im para węgierskich bliźniąt, które kiedyś omal nie zamordowały Jamesa Bonda pod kopułą namiotu cyrkowego.

Augusta czuła, że zalewa ją znajoma fala żalu. Czy tak miało wyglądać podsumowanie jej życia? Ta pełna zaduchu sala balowa w Leeds, śmierdząca starym dywanem i perfumami z taniej drogerii? Jej jedyną sceną ma być największa światowa aukcja autografów? Powiedziała Amerykance z „Advance”, że czekają na nią dwie ciekawe role, a dziewczyna to wydrukowała. Może nawet w to uwierzyła.

Augusta kolejny raz niechętnie przyznała, że artykuł nie był źle napisany, nie był też tak złośliwy, jak mógłby być, wychodząc spod ręki kogoś bardziej kąśliwego. Ta dziewczyna – Frances, tak miała na imię – chyba jednak

miała trochę klasy.

Z pomocą Almy prześledziła dotychczasowe publikacje Frances. Artykuły dla „Advance” okazały się rzeźkie, czasem niemądre, ale napisane z werwą. Długa historia o rosyjskim szpiegu, który został otruty w londyńskim hotelu, doprowadziła Augustę do niespodziewanych łez. Ale w ciągu ostatniego miesiąca nie było żadnych nowych tekstów, co mogło wskazywać, że dziewczyna rozstała się z gazetą.

Jakaś mroczna myśl zaczęła się formować w umyśle Augusty. Ta dziennikarka mogłaby być bardzo użytecznym narzędziem, zdawało się, że wie co nieco o tych idiotach z Kalifornii, którzy postanowili wydać książkę Deller.

Sam pomysł już ją irytował.

– Słyszałaś, że Deller pisze o mnie książkę? – zapytała znienacka, ale nie doczekała się odpowiedzi. Kiedy spojrzała na Almę, zobaczyła, że przyjaciółka śpi w najlepsze. I pomyśleć, że człowiek poświęca całe życie pogoni za przyjemnościami i uznaniem tylko po to, żeby kończyć je, wlokąc się od drzemki do herbatki. Raczej niewiele to wszystko warte. Augusta szturchnęła Almę łokciem pod żebra, aż starsza pani podskoczyła. – Pytałam, czy wiesz, że Deller pisze o mnie książkę?

Alma przetarła usta białą jak papier dłonią.

– Kenneth Deller... – odezwała się wreszcie. – On nadal do ciebie wzdycha? Można by pomyśleć, że do tej pory od tego wzdychania kompletnie się zapowietrzył. –

Usiadła prosto i ziewnęła. – Zawsze był dla mnie taki miły... – Dostrzegłszy wyraz oczu Augusty, dodała szybko: – Chociaż oczywiście kompletny z niego dupek. Z której strony by na to nie patrzeć.

– Zamierza rozpowiadać na mój temat kłamstwa, Almo. O przeszłości, która istnieje jedynie w jego pokręconej wyobraźni. – Augusta wzięła do ręki filiżankę i wysączyła ostatnie krople. – Ale ja nie pozwolę, żeby do tego doszło. Mam plan.

Alma pokręciła głową, mocno zaciskając wargi.

– Sama nie wiem, kochanie. Słyszałam kiedyś, jak Reggie Kray mówił, że ma pewien plan, dokładnie tym samym tonem. Czasem lepiej jest sobie od... Och, witam!

Jakaś kobieta podeszła do ich stolika, niosąc płócienną torbę na zakupy, wyładowaną książkami i czasopismami. Była w samym środku kanionu wieku średniego, zawieszona gdzieś pomiędzy Augustą i Almą. Jej głowę wieńczył ciemnofioletowy beret, kokieteryjnie przekrzywiony nad jedno oko.

– Moje dwie ulubienice! – Uśmiechając się szeroko, postawiła torbę na stole. – Nawet panie nie wiedzą, jak się ucieszyłam, kiedy przeczytałam, że tu będziecie. *Kanały* bez Kit i Doris nigdy już nie były takie same.

– Przesadza pani – mruknęła Alma.

– Och, pani Partridge, nie ma pani pojęcia, jak ja wyczekiwałam...

– Panno – wtrąciła Alma.

– Słucham?

– Panno, nie pani. Tak samo, jak „panno Havisham”.

– Ha ha, rzeczywiście, znakomity żart! – Zdawało się, że uwaga Almy nieco zbiła kobietę z tropu. Pogrzebała w torbie i po chwili dobyła z niej stary, schowany w plastikową koszulkę egzemplarz „Yorkshire Evening Post”, którego strony przybrały już barwę słomkowej herbaty. Wyciągnęła gazetę z osłonki, ostrożnie ją rozpostarła i podsunęła pod nos Almy jedną ze środkowych szpalt.

Pół kolumny zajmowała recenzja teatralna, a jej środek okupowało sporych rozmiarów zdjęcie: Alma grająca Eleonorę Akwitańską w jakiejś prowincjonalnej produkcji *Lwa w zimie*.

Chudym palcem Alma przeciągnęła po zdjęciu ukazującym jej ściągniętą gniewem twarz pod średniowiecznym kwefem.

– To było koszarne przedstawienie – powiedziała czule. – Facet grający Henryka zalewał się w trupa przed każdym podniesieniem kurtyny i nie mógł sobie przypomnieć ani jednej kwestii. Dopiero później dotarło do nas, że miał początki demencji. Graliśmy do pustych widowni.

– Tak. – Augusta pokiwała głową. – Ale przynajmniej miałaś komplet własnych zębów.

Alma lekko plasnęła ją po dłoni i uniosła długopis, żeby podpisać artykuł. Kobieta złożyła gazetę, schowała z powrotem do koszulki i położyła na stole banknot

dwudziestofuntowy.

– A więc życzy sobie pani pełen pakiet – powiedziała Augusta.

Kobieta się nachyliła, a beret opadł jeszcze niżej na jedno błyszczące oko.

– Mam dla pani coś szczególnego. Trzymam to od lat.
– Augusta poczuła dziwne ukłucie w dołku, gdy kobieta wyciągnęła z torby czasopismo, z tych, w jakich publikuje się niewiarygodnie idealne zdjęcia ślubów i bożonarodzeniowych przyjęć w domach gwiazd. Okładka nie przywołała żadnych wspomnień. Dostrzegła datę w górnym prawym rogu: grudzień 1993. Ich rozmówczyni była coraz bardziej ożywiona. –

Zachowałam je, bo wiem, jakie niespotykane są pani rodzinne zdjęcia... – Augusta miała ochotę wstać i odejść, ale czuła się jak przykuta do krzesła. Próbowwała odsunąć od siebie pismo, ale jego właścicielka zdążyła już je otworzyć na jednej ze stron z oślimi uszami. Nie patrz na to, pomyślała. Nie patrz. Ale oczywiście spojrzała. I zobaczyła siebie na tle świątecznej choinki, z Charliem na kolanach. Pamiętała tę piżamkę Blue Peter, którą Ken kupił dla chłopca. Przysunęła gazetę bliżej, jakby zapach jej malutkiego synka mógł unieść się ze strony magazynu. Ile miał wtedy lat? Policzyła w myślach: cztery. Miał cztery lata. Przyjrzała się zdjęciu, szukając w nim czegoś znajomego, ale zupełnie nie pamiętała chwili, kiedy zrobiono tę fotografię. Zupełnie jakby patrzyła na cudzy

album ze zdjęciami. Alma głośno zaczerpnęła powietrza, a zaraz potem Augusta usłyszała pogodny głos tamtej kobiety: – Prześliczny chłopiec! Co robi teraz?

Rozdział 10

Na ścieżce holowniczej zgromadziła się niewielka grupa punków – uciekinierów z Camden w wysoko sznurowanych martensach i z metalowymi tunelami rozmiarów korka od wanny rozciągającymi płatki ich uszu. Augusta, wyglądając przez okno, nie musiała widzieć swojego odbicia w szybie, żeby mieć pewność, że jej czoło spowiła pajęczyna pogardy.

Konfiguracja punków była codziennie nieco inna, ale jej niezmienny element stanowił pewien zbir o guzowatej głowie, który całymi dniami wyławiał z przepastnych kieszeni bojówek kolejne małe plastikowe torebeczki. Lokalny cwaniaczek. Zbłądzili w tę okolicę ze swojego codziennego otoczenia – straganów i knajpek z nudlami z Camden, za zakrętem kanału. Nieco niżej było King's Cross, dokąd prostytutki i dilerów z dawniej obfitych terenów łownych wyparli sprzedawcy ciabatty i studia pilatesu.

Kupiła to mieszkanie w przypływie wspomaganego chemicznie mistycyzmu. Jest przy kanale, pomyślała, kiedy agent nieruchomości oprowadzał ją po pustych, zalanych słońcem pokojach, a ja przecież gram w *Kanałach*. Garść połkniętych wcześniej tabletek z kodeiną pomogła jej przetrwać poranek i stała się

partnerem w zbrodni: kup to mieszkanie, Kit. Zasługujesz na nie.

No bo Kit faktycznie na nie zasługiwała, biedula. Po serii mężów – jeden podpalił swój skuter tuż pod jej frontowym oknem, drugi nie raczył wspomnieć, że jest poszukiwany za zbrodnie wojenne – nawet najdzielniejsza barmanka w Anglii zaczynała odczuwać znużenie. Niestety niebawem Kit miał spotkać smutny koniec pod regałem magazynów kulinarnych w księgarni WH Smith, gdzie padła ofiarą desperackiego aktu przemocy oraz, co ważniejsze, równie rozpaczliwego pragnienia producentów, by pozbyć się Augusty raz na zawsze. Dwa lata po zakupie mieszkania Kit już nie żyła, a Augusta została z kredytem hipotecznym, niejasną wizją przyszłej pracy i bez środków przeciwbólowych, które mogłyby ułatwić jej wejście w dzień.

Wytężyła wzrok, żeby zobaczyć, co tak absorbuje punkowe towarzystwo, które stłoczyło się teraz nieco ciaśniej. Skręt z marihuaną? Torebka pigułek? Poczwała ukłucie zazdrości, wyobrażając sobie, czym za moment się podziela: latający dywan wspólnie dzielonych wrażeń, izolacja chroniąca przed gwarem tłumu i głosami w ich własnych głowach.

Zimowy wiatr wdarł się przez otwarte okno, niosąc mieszanekę woni kanału, benzyny i marychy. Stara i nowa Anglia.

Augusta wzięła kawę i wróciła do biurka. Odstawiając

kubek, przesunęła palcem po blacie poznaczonym kółkami od bardziej efektownych napojów. Wzięła zdjęcie Charliego stojące obok komputera. Zostało zrobione, kiedy miał jakieś dziewięć lat. Niewiele pamiętała z tych konkretnych szkolnych wakacji poza tym, że Kenneth przywiózł chłopca na spotkanie z nią przy Tower Bridge. Zostawił ich, odchodząc tylko kawałek ścieżką nad Tamizą, jakby bał się stracić chłopca z oczu.

Siedzieli na ławce i obserwowali płynące rzeką statki turystyczne. Augusta szepnęła, że może, jeśli im się poszczęści, przepłynie jakiś żaglowiec i most zostanie podniesiony, i jego dwa wielkie niebieskie ramiona ze skrzypleniem uniosą się powoli w stronę nieba.

Chłopiec zerknął na nią grzecznie, ale nic nie powiedział, a ona po raz tysięczny usiłowała się domyślić, kogo jej przypominał. Karmelowe włosy, oczy niemal w tym samym odcieniu, piegi i śmiesznie mały nosek. Czy nie wszystkie dzieci mają taki mały nosek? To dorosłość tworzy tę gigantyczną purchawkę, ten niekształtny klakson, tę syfilityczną trąbę.

Charlie jadł lody ze schludną statecznością, wbijając wzrok w rzekę. Augusta trzymała dłoń we wnętrzu torebki, zaciśniętą na piersiówce z whisky.

– W szkole uczyliśmy się o rzece – powiedział w końcu. – Wiesz, ile ciał wyciągają z niej w miesiącu?

– Co? – spytała zaskoczona.

– Jest taka specjalna policja rzeczna. Wiesz, ile ciał

wyciągają? – Augusta wzruszyła ramionami. Może lepiej sprawdziłaby się w roli matki, gdyby wcześniej dostrzegła to dziecięce upodobanie do makabry. – Jedno na tydzień. Pięćdziesiąt dwa rocznie. Średnio.

Przesiedzieli tak co najmniej godzinę, ledwie coś mówiąc, a mimo to byli zadowoleni. Przynajmniej ona. Przebywanie z synem przyprawiało ją o jakiś dziwny, elektryzujący dreszcz. Wyobrażała sobie, że przechodnie przyglądają mu się, temu przystojniaczkowi w szkolnym blezerze. Most ani razu się nie podniósł, nie przyplłynęła też żadna łódź policyjna. Kiedy słońce zachodziło, Kenneth wrócił, zaskoczony, że nie ruszyli się z miejsca.

Być może tamto milczenie pomiędzy nimi zapowiadało obecną ciszę. Siedem lat. Jaki syn nie odzywa się do matki przez siedem lat?

Augusta otworzyła laptop i wklepała adres, który znała na pamięć. Strona księgarni została zaprojektowana tak, jakby napisano ją na maszynie – litery były czarne i miały nierówne kontury. Hell Yes Books, Zachodnia Trzecia Ulica, Los Angeles.

Umieściła kursor nad zakładką „Kim jesteśmy”, wstrzymała oddech i kliknęła. Charles Price, kierownik eventów. Cieszyło ją to malutkie ustępstwo, na które szedł, zachowując jej nazwisko. Ściśle rzecz biorąc – jej przybrane nazwisko. Zmrużyła oczy, wpatrując się w jego zdjęcie. Jej chłopiec. Był piękny, ale wydawał się żyłasty, niemal wychudzony. Jeśli przeszedł na dietę

z surowizny, to go zabiję, pomyślała.

Czuła, że rośnie w niej znajome oburzenie. Jak mógł nie odbierać telefonu? To prawda, może i mogła nieco bardziej się postarać, ale była zajęta. Samotna kobieta usiłująca przetrwać w tym świecie. Pod wpływem irytacji wyprostowała się nieco. Chłopak sprzedawał książki w księgarni w Los Angeles. Na pół etatu. Kto z nich miał więcej czasu, żeby podtrzymywać kontakt?

Niektórzy ludzie wolą mosty palić, zamiast je budować. Wyobraziła sobie Kennetha Dellera – ogarnięta płomieniem sylwetka w obcisłych poliestrowych spodniach, spadająca z jakiejś wielkiej wysokości. Zamknęła stronę wydawnictwa i wklepała nowy adres. Jej oczom ukazała się jaskrawa witryna w barwach ostrego oranżu i optymistycznego różu. Augusta aż zmrużyła oczy. „Popadłeś w miłości w rutynę? Twój ukochany to kawał drania? Pan Romans pomoże ci się z tym uporać!” Szczęśliwe pary, klejące się do siebie jak bliźnięta syjamskie, oferowały referencje mające dowieść sprawności, z jaką Pan Romans zajmował się swataniem, ale na całej stronie nie było ani jednego zdjęcia jego samego. Bo wtedy ludzie zobaczyliby, jaki z niego gruby bydlak o kłamliwych oczach krokodyla.

W dziale pod nazwą „Wkrótce” znalazła się zapowiedź z datą następnej audycji radiowej z udziałem Pana Romana. Pod spodem była obietnica – a może groźba? – że następny poradnik na temat radzenia sobie

z zawodem miłosnym wkrótce trafi do sprzedaży. Ból przeszył serce Augusty, kiedy zobaczyła tytuł książki: *Serce bywa jak jajko (może się stłuc, ale nigdy ubić)*. Pod spodem przeczytała: „Zainspirowany bolesnymi doświadczeniami osobistymi oraz latami pracy w charakterze terapeuty związków, autor przyjrzy się sposobom, w jakie kłamstwa i samooszukiwanie się potrafią zniszczyć nawet najsilniejsze więzy”. Żadnych dodatkowych informacji. Cokolwiek ten pierdziel o niej wypisywał, na razie tkwiło to zamknięte w miękkim żółtku jego mózgu.

Zainspirowany bolesnymi doświadczeniami osobistymi! Siedział sobie teraz w Los Angeles i przepisywał od nowa ich przeszłość. Jego kłamstwa staną się jej prawdą. Przesunęła kursor nad zakładkę „Kontakt”. Być może powinna wysłać mu kolejnego maila, skoro do upartego osła nie dotarło ostrzeżenie zawarte w pierwszym. Opadła ciężko na oparcie krzesła, przytłoczona falą gniewu. To nie do pomyślenia.

Z korytarza dobiegł ją odgłos otwieranych drzwi mieszkania sąsiadów. Pierwszy ludzki odgłos, jaki usłyszała przez cały dzień. Mogłaby tu umrzeć, a nikt by się nie zorientował. Jedynie Alma, ale ona sama może umrzeć każdego dnia.

Z nagłym dreszczem Augusta sięgnęła do kosza obok biurka i zaczęła przeglądać jego zawartość. Była tam góra papierów, głównie oficjalnych: ulotka z miejscowej włoskiej knajpki, reklamująca najnowsze

świństwo – pizzę curry. Notatka z administracji, wyjaśniająca zasady segregowania odpadów. I rachunki. Boże, tyle rachunków, wszystkie nadal w zaklejonych kopertach. Coraz bardziej gorączkowo grzebała w zawartości kosza. Skórka jabłka (kiedy kupiła jabłka?). Zdechła mysz, a przynajmniej coś podobnego. Żadnych butelek, te starannie wynosiła do zbiornika na szkło na parterze.

Wreszcie, przy samym dnie, natrafiła palcami na arkusz grubego papieru. Zrobiła na niej wrażenie ta mięsista, gruzełkowata papeteria, kiedy przyszedł list. Nadszedł razem z resztą poczty, a kiedy zobaczyła adres zwrotny w Los Angeles, serce dziko jej załomotało. Ale zerknęła na zawartość i gdy się zorientowała, że to nie od Charliego, wywaliła go razem z resztą śmieci.

Teraz ostrożnie starła odrobinę popiołu z jednego rogu i zaczęła czytać:

„Szanowna Pani,

proszę pozwolić, że się przedstawię. Nazywam się Tyson Benn i jestem dyrektorem do spraw kontaktów z talentami w Fantasmagoria™. Firma ta, jak może Pani wie, jest Największym, Działającym w Oparciu o Fanów, Multimedialnym, Rozrywkowym Konwentem™ w rejonie Los Angeles (pomijając hrabstwo Orange).

Obecnie zajmuję się zorganizowaniem harmonogramu tegorocznego zjazdu i pragnąłbym zaprosić Panią do udziału w naszej dyskusji panelowej

Osobowości typu A. Ewolucja seriali medycznych o wampirach.

Kultowa rola doktor Helen Mount w *Banku krwi* czyni Panią idealną kandydatką do udziału w tym panelu i mamy nadzieję, że rozważy Pani propozycję złożenia wizyty w Los Angeles i spotkania z niektórymi z naszych najbardziej oddanych fanów podczas dwunastej dorocznej Fantasmagorii™. Naturalnie miło nam będzie gościć Panią u siebie i zapewniamy wszelkie przeloty, transport, zakwaterowanie oraz diety, do wykorzystania według Pani uznania.

Proszę koniecznie dać mi znać w pierwszej dogodnej dla Pani chwili, czy będzie Pani zainteresowana naszą propozycją, a wtedy przekażę Pani dalsze szczegóły.

Z ciepłymi pozdrowieniami (grupy O),
Tyson Benn”.

Rozdział 11

Pan Romans opierał się o niski biały murek na szczycie wzgórza Hollywood. Tysiąc stóp niżej światła Los Angeles jarzyły się niczym obwody układu scalonego.

Naprawdę powinienem zdobyć się na delikatniejszą metaforę, pomyślał. A może coś takiego: wieczorem, widziane z góry, miasto wyglądało niczym okładka albumu z największymi hitami grupy rockowo-folkowej. Niczym świetliki upięte w gablocie i powoli umierające. Niczym iskra nadziei zduszona w tysiącach cichych pokojów...

Zdecydowanie będzie musiał się jeszcze przyłożyć.

– Tak tu pięknie – odezwała się stojąca obok młoda kobieta, otoczona ramieniem swojego chłopaka. – W głowie mi się nie mieści, że całe życie tu mieszkam, a nigdy wcześniej nie byłam w obserwatorium. –

Ścisnęła dłoń partnera i uniosła ją do policzka w staroświeckim geście czułości. – Wiedziałeś o tym miejscu, Asad?

– Tak, kretynko – odparł Asad żartobliwie. – Niektórzy z nas unoszą wzrok znad kierownicy, kiedy prowadzą. – Biorąc dziewczynę za ramiona, obrócił ją w stronę krytego kopułą białego budynku po lewej, jaśniejącego na tle fioletowego nieba. – W głowie mi się

nie mieści, że nigdy nie oglądałaś *Buntownika bez powodu*, Tay. Za to już wiem, co obejrzymy w czasie następnego wieczoru filmowego.

– Wszystko będzie lepsze niż *Hostel część 15* czy co tam kazałeś mi ostatnio oglądać – odparła dziewczyna z uśmiechem, po czym przysunęła się bliżej narzeczonego i przytuliła twarz do jego ramienia.

Kenneth Deller poczuł niezwykle dla niego odruch: naprawdę miał nadzieję, że im się uda. Pracował z nimi od dwóch tygodni i konsternacja, która go ogarniała, kiedy ich poznawał, nie zmniejszyła się ani na jotę. Zdecydowali się na jeden z jego średnich pakietów cenowych: Od Przyjaźni po Wieczność, który zwykle przyciągał kochanków niższej kategorii. Taylor i Asad zdawali się tak rozpieszczeni powodzeniem życiowym, jak mało która ze spotykanych przez niego par, dusze mieli równie wolne od skaz, co cerę. Ona studiowała medycynę, on, na tej samej uczelni, farmację. Rzadko wchodzili sobie nawzajem w słowo, a ich spojrzenia i głosy były w równej mierze przepełnione czułością. Już teraz mieli więcej szczęścia w miłości niż Kenneth kiedykolwiek dotąd.

Ale nawet tych dwoje nie do końca uodporniło się na amerykańskie pragnienie przeliczenia pracy nad sobą na konkret. Do pakietu Od Przyjaźni po Wieczność przyciągnęła ich obietnica: „Pięć kroków do długotrwałej miłości, program dopasowany do waszego związku w oparciu o romantyczną historię,

jaką odkryjemy w niektórych z najbardziej kultowych, charakterystycznych obiektów naszego miasta”. Nie cierpiał słowa „kultowe”, ale to była cena, którą należało zapłacić, gdy chciało się znaleźć klientów.

Deller poprowadził ich przez trawnik, po którym spacerowało kilka par.

– Tutaj stoi pomnik rozpaczy postawiony przez pułkownika Griffitha J. Griffitha – powiedział.

– Czy to nie jest po prostu obserwatorium? – zapytał Asad.

– Owszem, a raczej kiedyś było. Ale to także świątynia szaleństwa jednego mężczyzny, jego porażki w próbie zrozumienia niewysłowionej siły miłości.

Zaniepokoił się, że nieco przesłodził ten deser, ale wtedy Taylor odezwała się z rozmarzeniem:

– Niewysłowiona siła miłości. Wiesz, Ken, uwielbiam twój akcent.

Kenneth ukrył uśmiech. Manchesterski zaśpiew w głosie napędził do jego łóżka dziesiątki eleganckich londyńskich dziewczyn, równie skutecznie przerażając ich rodziców. Ale tutaj nie niósł ze sobą subtelnych społecznych rozróżnień. Ken był po prostu Anglikiem, a zatem człowiekiem wyrafinowanym.

Taylor wpatrywała się w oświetlony budynek z trzema pociemniałymi, miedzianymi kopułami, kładącymi się cieniem na tle nieba. Napis nad frontowymi drzwiami głosił: „Obserwatorium Griffitha”.

– Griffith J. Griffith był niezłym draniem, drobnym

cwaniakiem z walijskich nizin – podjął Deller, ruszając w stronę ścieżki, która oddzielała obserwatorium od krawędzi wzniesienia. – Żołnierzem był w takim samym stopniu, co ja. Ale w socjocie Los Angeles piął się w górę, jakby to była drabinka, a po drodze na szczyt on, przyzwoity członek Kościoła episkopalnego, znalazł sobie piękną żonę, katoliczkę.

Obeszli róg obserwatorium i ujrzeni szeroki, biały plac, rozpościerający się na pochyłym wzgórzu niczym tren ślubnej sukni.

– Och... – westchnęła cicho Taylor.

Zapach osmalonego chaparralu napłynął ze zboczy poniżej, przypominając o błyskawicznie rozprzestrzeniających się pożarach z zeszłego miesiąca. Ken przystanął przy niskim, białym murku i kontynuował:

– Przez jakiś czas byli szczęśliwi, ten fałszywy pułkownik i jego żona papistka. Powoli jednak robak paranoi załęgał się w umyśle Griffitha. W końcu zaczął on żywić przekonanie, że jego urocza żona konspirowe razem z papieżem, by ukraść majątek Griffitha i wyprowadzić pieniądze do Rzymu. – Ściszył głos. –

Paranoja, która punkt kulminacyjny osiągnęła w krwawych wydarzeniach roku tysiąc dziewięćset trzeciego.

– Krwawych wydarzeniach? – szepnęła Taylor, a Asad skorzystał z okazji, żeby mocniej przytulić narzeczoną.

– W trakcie wakacji spędzanych z żoną nad morzem

Griffith J. Griffith złapał rewolwer i... – Głos Dellerę zawiesił się, żeby po chwili zagrzmieć w powietrzu: – ...strzelił jej prosto w głowę! – Taylor głośno złapała oddech i przyłgnęła do swojego chłopaka. – Na szczęście przeżyła – uspokoił ją Ken. – Ale kiedy Griffith wyszedł na wolność z San Quentin, był już innym człowiekiem. Pełnym żalu z powodu dawnych czynów, rozpaczliwie pragnącym zadośćuczynienia. Przekonał miasto, żeby wzięli od niego pieniądze, a to – ogarnął ramieniem teren obserwatorium – za nie postawili.

Przerwał i oparł się o murek, całkiem z siebie zadowolony. Kiedy zauważył jednak, że brzuch mu sterczy, stanął prosto.

Taylor i Asad spoglądali na niego, jakby czekali na ciąg dalszy. Wreszcie Taylor zerknęła z ukosa na Asada i powiedziała powoli:

– Chyba rozumiem, po co nas tu przywiozłeś, Ken. Tak, jestem tego pewna. Ostrzegasz nas co do zagrożeń spowodowanych małżeństwem międzywyznaniowym, tak?

Ken pomyślał, że ludzie, którzy studiują nauki ścisłe, mają dość ograniczoną zdolność pojmowania świata.

– Nie, Taylor, niekoniecznie akurat do tego zmierzałem. Jak rozumiem, jest to temat, który Asad i ty już omówiliście, a obie wasze rodziny raczej was w tej kwestii wspierają.

– Jasne, że to nie to, kotku – powiedział Asad

z protekcyjnym uśmiechem. – On nas ostrzega co do kwestii finansowych. Mówi, że powinna być intercyza. To o to chodzi, prawda, Ken? To jest nasza lekcja: powinniśmy podpisać intercyzę. – Po co w ogóle zadawał sobie trud, żeby zabierać ich w te magiczne podróże? To zupełnie jakby czytać wiersze pierwotniakom. Deller bez słowa ruszył z powrotem w stronę drogi, a oni poszli jego śladem. – O to chodziło? – Asad nie ustępował. – Bo mój tata też uważa, że powinniśmy podpisać umowę przedślubną.

– Co takiego? – sapnęła Taylor. – Twój ojciec tak uważa? No to już przechodzi...

Deller stanął pomiędzy nimi i otoczył ich ramieniem. Przystanęli przed białym obeliskiem pomnika Astronomów. Johannes Kepler spoglądał w noc bezlitosnymi kamiennymi oczami.

– Spójrzcie w górę – powiedział. Jak zwykle nie było widać żadnych gwiazd; jakąś cenę trzeba było zapłacić za blask światła miasta w dole. Kilka par wracało powoli do samochodów przez miękki zmrok. –

Próbowałem opowiedzieć wam... o przebaczeniu. O współczuciu.

O tym, że czasem trzeba ugryźć się w język, chciał dodać. O tym, że ten nieizolowany przewód trzeba utrzymać w rękę i nie razić nim stojącej przed nami osoby. Popatrzył w ich jasne, pełne nadziei, czyste twarze i westchnął. Kiedyś sami do tego dojdą.

Jadąc w dół drogą wijącą się z Mount Hollywood przez ciemne doliny parku, Kenneth włączył radio. Zespół Hollies śpiewający o przystankach autobusowych i deszczowych dniach przyjemnie go zaskoczył. Nie był pierwszym chłopakiem, który uciekł spod stalowoszarego nieba Manchesteru do Kalifornii. Lepiej jednak nie myśleć w kategoriach przeczuć, nie kiedy był do tego stopnia zmęczony, że zaczynał widzieć duchy.

Zbliżając się do Los Feliz, wiedział, że powinien zjechać na prawy pas do skrętu, ale zamiast tego, po wstydliwie krótkiej wewnętrznej walce, pojechał dalej prosto, wzdłuż Vermont.

Pochwycił spojrzeniem jakiś ruch w zaparkowanym po drodze samochodzie, dwa cienie przesuwane się i łączące w pojedynczą bryłę. Być może gdzieś tam Taylor i Asad też tworzyli teraz bestię o dwóch wygimnastykowanych na siłowni grzbietach. Chociaż bardziej prawdopodobne było, że popijając bezkofeinową nespreso, ślęczą nad listą prezentów ślubnych z Barneys.

Wklei ich zdjęcia ślubne na swoją stronę internetową, to dobrze zrobi firmie. Może nawet zamieści o nich niewielką wzmiankę w książce – o niepokojach musujących pod nieskazitelną fasadą. Wzdrygnął się na myśl o nieskończonym tekście na swoim komputerze. Jeśli nie złoży go wkrótce, będzie musiał zwrócić

zaliczkę. Maile z redakcji Middle Way Books z dnia na dzień traciły ducha zen.

Odczuł znużenie. Znał tylko jedno lekarstwo na ten marazm. Skręciwszy w prawo, znalazł się na parkingu pod neonowym szyldem House of Pies. Tak naprawdę jego żołądek był już pełen szarlotki, ale pod koniec bardzo długiego dnia logika traciła wszelką władzę.

Wślizgnął się do jednego z obitych skajem boksów i posłał uśmiech podchodzącej kelnerce.

– Poproszę placek z brzoskwiniami, dwie gałki lodów waniliowych i czarną kawę – powiedział, nie zaglądając do menu.

Obserwował pary przy sąsiednich stolikach, jak zwykle, nawet w chwili oddechu od pracy, zafascynowany ich zachowaniem. Młodsze kobiety tuliły w dłoniach kubki z herbatą o wyszukanych aromatach, wpatrując się wygłodniałymi oczami w desery swoich chłopaków i od czasu do czasu robiąc błyskawiczne wypady widelcem w stronę ich talerzy. Pary starsze wiekiem siedziały w zgodnym milczeniu nad jednym, wspólnym kawałkiem ciasta.

To już prawie trzydzieści lat od tamtego popołudnia, gdy on i Augusta siedzieli w Little Chef przy A46, niedaleko Bingley, zalawszy się southern comfort. A może to były brandy i piwo imbirowe? Czytał jej głośno *Nieodżałowaną*, książeczka w miękkiej okładce leżała pomiędzy butelką sosu HP i pełną popielniczką. Żałował, że ta powieść nie była dłuższa. Zaśmiewała się

z satyry Evelyną Waugha na Anglików nieudaczników w Kalifornii. Uwielbiał jej śmiech, jego potoczyste kadencje. Kiedy nim wybuchła, mógł zajrzeć w różową jaskinię jej wnętrza, widział drobne, ostre zęby, ten utalentowany język. Na sam widok kręciło mu się w głowie z głodu.

Czytał Augustie, a ona jadła, przerywając raz po raz, żeby się wyśmiać. Pochylała nad talerzem głowę zwieńczoną kwiecistym kapeluszem z szerokim rondem i wcinała piezzonego ziemniaka z fasolką i kukurydzą – „Wygląda jak wymiociny na poduszce, ale jest całkiem smaczne” – stek wieprzowy, a na koniec jabłecznik z kruszonką. Wspomnienie szczęścia pozostało, smak ledwie już zapamiętany.

W tamtych dniach w ogóle się nie zastanawiał nad jej picciem. Wszyscy, których znał, pili zbyt wiele. Alkohol sprawiał, że Augusta stawała się wyuzdana – sprawiał, że zaczynała go chcieć. Dopiero kiedy pojawił się chłopiec, a ona chowała się w sypialni, pazernie trzymając się tych brzęczących szkłem toreb, albo znikwała na całe dni, zaczął się martwić. Nawet wtedy – i to było coś, do czego usiłował nie przyznawać się przed samym sobą, chociaż była to prawda – nic nie mówił, póki go od siebie nie odpychała.

W myślach utkwiał mu fragment rymowanki z powieści Waugha: „Płakałem, wspominając, jak często ty i ja kpiliśmy z Los Angeles, gdzie teraz trumna twa”. No cóż, tkwił tu jak w trumnie, i to trumnie własnego

wyrobu. To było chłodne posłanie.

– Brzoskwinia, dwie gałki. – Kelnerka postawiła przed nim talerz, ciepły i pachnący latem. Owocami sierpnia. Augustą.

Roześmiał się głośno, rozbawiony idiotyczną machiną swoich podświadomych skojarzeń.

Rozdział 12

Oto nowy szef – powiedział Stanley Pfeffer, wskazując papierosem mężczyznę w wieczorowym garniturze wysiadającego z tylnej części range rovera. – Taki sam jak stary szef.

– Świeżutko z Tbilisi – dodała Sue. – Kasa z ropy naftowej go swędzi, więc zdecydował się kupić naszego małego szmatławca. – Pociągnęła długi łyk czerwonego wina. – Równie dobrze mógłby te ruble po prostu podpalić i oszczędzić sobie zachodu.

– To nie ruble – powiedziała Frances. – Gruzini używają lari.

Stanley spojrział na nią i pokręcił głową ze zdziwieniem.

– Zakamarki twojego umysłu nie przestają mnie zadziwiać, Frances.

To niemądre – czerpać przyjemność z tak niewielkiego komplementu, ale w ostatnich dniach jej spizarka z pochwałami nie była zbyt dobrze zaopatrzona. Frances poczuła, że jej twarz oblewa się purpurą. Stali, niemal stykając się ramionami, i patrzyli, jak Gruzin dołącza do strumienia wystrojonych w smokingi gości, udających się do hotelu na ceremonię nagród Well Done London. W gazecie, którą niedawno

kupił, a w redakcji której jego prawdziwe nazwisko uważano za niewymawialne, przezwano go Oli Garcia.

Wysoka blondynka – w równych częściach kości i diamenty – górowała nad nowym właścicielem „Advance”. Z troską trzymał dłoń tuż nad jej idealnym tyłkiem, wprowadzając ją przez hotelowe drzwi. Frances widziała ostatnio buty, które miała na nogach dziewczyna, w witrynie Selfridges. Nie było przy nich metki z ceną.

– Ładna ta jego córka – odezwała się.

Stanley parsknął śmiechem.

– On nie ma córki.

Zerknęła z ukosa. Stanley był już na wpół zalany, jego szpakowate włosy były dziko potargane na tle morza czerni. Mężczyźni zawsze powinni chodzić w smokingach, pomyślała. Nawet tym o cięższych siedzeniach sztywna elegancja poprawiała geometrię.

Powiodła spojrzeniem po sylwetkach gości: Augusta Price miała dziś wieczorem odbierać jakąś nagrodę. Frances widziała jej nazwisko gdzieś na dole biuletynu prasowego, tam gdzie wymieniano Ocalałych Roku. Nie miała ochoty znów natknąć się na tę kobietę. Przez tydzień zastanawiała się, czy przyjąć zaproszenie Stanleya, i groźba napatoczenia się na Augustę omal nie przeważała szali na korzyść domowych pieleszy. Któregoś poranka Frances zdała sobie jednak sprawę, że od czterech dni nie zamieniła ani jednego słowa z żadną istotą ludzką. W przyływie paniki poderwała się

z łóżka, żeby krótko odpisać Stanleyowi: „Przyjdę”. Samotność okazała się kijem skuteczniejszym niż strach.

Gruzin się obejrzał i spiorunował Stanleya wzrokiem zza szklanych drzwi, a potem zniknął w tłumie.

– On mnie chyba nie lubi – powiedział Stanley. – Był dziś rano w moim biurze i nie odezwał się ani słowem. Tylko chrząkał. Myślałem, że splunie na podłogę.

– Może w Gruzji to oznaka sympatii? – rzuciła Sue, gasząc papierosa. – Jeśli wygramy dziś nagrodę, będziesz kryty, Stan. – Dopijając resztkę wina, spróbowała dyskretnie mrugnąć w stronę Frances, przy czym wykrzywiła pół twarzy. – To do zobaczenia w środku. Jakoś kiedyś.

– Zamów nam coś mocniejszego! – zawołał za nią Stanley.

Milczenie zawisło pomiędzy nimi, gdy obserwowali pomarańczowe od solarium gwiazdy oper mydlanych i strażaków, niezgrabnych w wieczorowych strojach, zbierających się na uroczysty obiad. Ani Frances, ani Stan nie zaproponowali, żeby wejść do środka. Patrzyli, jak trzy czwarte londyńskich dziennikarzy i wszyscy celebryci klasy B idą po dywanie, który niegdyś był czerwony, a teraz miał odcień różowego wina mateus.

Stanley spojrział na Frances i uśmiechnął się. Wstrzymała oddech, dotkliwie świadoma, że sukienka, którą wybrała, kupiona za pół ceny na gwiazdkowych wyprzedazach, prezentuje rozległy pejzaż jej dekoltu. Stanley też to dostrzegł. Oboje w tej samej chwili

odwrócili wzrok.

– Scena naszego największego triumfu – powiedział wreszcie. – Ten idiotyczny hotel.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Naszego największego triumfu? O mało mnie nie zabiło.

Sięgnął do kieszeni po drugiego papierosa. Frances wiedziała, że to dla niego rzadki luksus. A może luksusem jest, że stoi tu i ze mną rozmawia?, pomyślała.

Pstryknięciem otworzył zapalniczkę, zaciągnął się i wydmuchał dym w niebo.

– Nie wygłupiaj się. To była rewelacyjna historia. Wykonałaś przy niej kawał fantastycznej roboty.

Ten szpieg. Ten biedny, martwy szpieg...

Rok wcześniej pewien rosyjski szpieg wypił w hotelowym barze koktajl podrasowany polonem-210. Następnego dnia Stanley wydelegował ją do baru, uzbrojoną w licznik Geigera-Müllera, żeby napisała artykuł o rakotwórczych zagrożeniach czyhających na londyńskich rekinów biznesu, oligarchów, książąt z rejonu Zatoki Perskiej oraz ich niczego niepodejrzewające opłacane towarzyszeki.

Tego dnia, gdy artykuł ukazał się w „Advance”, szpieg zmarł – samotnie, w cierpieniu, z dala od przyjaciół – na zamkniętym oddziale szpitalnym. Frances musiała mocno się napominać, by nie znajdować paraleli we wszystkim, co pisze.

Przez miesiąc każdego ranka budziła się i badała

pod pachami, szukając powiększonych węzłów chłonnych, dopatrując się krwi w moczu. Stanley przydybał ją pochyloną nad monitorem, gdy wpisywała w okno wyszukiwarki Google hasło „symptomy zatrucia promieniowaniem”. Godzinę później, kiedy wróciła z lunchu, na jej biurku stała buteleczka z witaminą C, a obok niej kartka: „Tylko potem nie mów, że nigdy Ci nic nie kupiłem”.

Mijała ich hałaśliwa grupa imprezowiczów, więc Stanley przysunął się bliżej i odezwał wprost do jej ucha:

– Frances, niepokoiłem się o ciebie. Pewnie uważasz, że cię ignoruję, ale zacząłem dzwonić tu i tam. Rozglądać się za czymś dostępnym. To zbrodnia, żebyś nie pisała.

Pomyślała o wszystkich tych chwilach, które spędzili w pubie albo w jego gabinecie, wymyślając tematy: „A może byś wzięła białą laskę, zeszła na stację metra i sprawdziła, jak niewidomi sobie tam radzą?”, Boże, jakże jej brakowało tego uczucia: dreszczu rywalizacji, przyjemności, jaką Stanley czerpał z jej pomysłów. Tak naprawdę bardzo rzadko narażał przy tym jej życie.

– Tęsknisz za mną? – spytała. – Czy tęsknisz za obecnością dobrowolnego niewolnika?

Popatrzył na nią i wydmuchał obłok dymu nad jej głową.

– To tym byłaś? Moją niewolnicą? Szkoda, że nie miałem czasu nacieszyć się tym nieco konkretniej. – Ich

spojrzenia spotkały się i przez moment Frances czuła, że spadł jej z serca jakiś kłopotliwy, niewygodny ciężar. Układ, który wiązał im ręce, zniknął, a ona była po prostu kobietą stojącą obok mężczyzny, którego towarzystwo sprawiało jej przyjemność. – Frances... – odezwał się znowu, ale urwał. Zdawało się, że szuka w myślach jakiejś przytomnej treści. Zauważyła, że goląc się, ominął fragmencik szczeciny pod brodą, ciemnoszary na tle bledszej cery. Mogłabym przysunąć się teraz i go pocałować, pomyślała beztrzesko, a on by mnie nie powstrzymał... – Frances – zaczął jeszcze raz. – Chciałem coś powiedzieć. O tym dniu, kiedy odeszłaś. – Wstrzymała oddech w oczekiwaniu, a on przysunął się jeszcze bliżej. – Zostawiłaś po sobie niezły bajzel.

Ale mogłabym też dźgnąć go pilniczkiem, który mam w torebce. Jedno pchnięcie, w samą źrenicę.

Nadal pochylał się nad nią wyczekująco, zupełnie jakby przed chwilą nie chlusnął jej w twarz szklanką zimnej wody.

– Ja... chyba muszę się czegoś napić, Stanley. – Kręcąc głową, Frances odeszła, zostawiając go z otwartymi dłońmi, jakby czekał na coś, co mógłby nimi chwycić.

Zamaszystym krokiem wkroczyła na salę balową i porwała kieliszek wina z tacy kelnera z takim pośpiechem, że ta zakołysała mu się w dłoniach. Spojrzał na nią niechętnie, ale udawała, że tego nie widzi. Przy barze dostrzegła coś niepokojącego:

niewysoką postać chwiejącą się na niedorzecznych obcasach, wciśniętą w czarną sukienkę z głębokim dekoltem i zwieńczoną obfitością rudych włosów.

Jej pierwszym, a właściwie jedynym odruchem była ucieczka. Augusta jednak zdążyła ją dostrzec i ruszyła w jej stronę, rozpychając tłum na boki niczym mściwy, na wpół ubrany Mojżesz.

– Przykro mi – wypaliła Frances, gdy tylko kobieta znalazła się przy niej.

– Jak większości ludzi od czasu do czasu – odparła Augusta. – Koniec końców, to bez najmniejszego znaczenia.

Przyglądała się Frances chłodnym wzrokiem, jakby oczekiwała dokładnie takiej rozmowy. Co dziwne, spośród wszystkich obecnych na imprezie wydawała się najtrzeźwiejsza.

– Przepraszam za tamten artykuł. Nie wypadł tak dobrze, jak chciałam.

– Tytuł brzmiał: *Sprane bajeczki gwiazdy opery mydlanej* – przypomniała Augusta.

Frances zaśmiała się nieco histerycznym, przypominającym meczenie śmiechem.

– Tak, no cóż, to pomysł redakcji. Ale pani zdjęcie było niezłe, prawda?

– Tak, zwłaszcza podpis: „Zabijając aktorkę słynną z uzależnienia od narkotyków, serial zyskał lepsze notowania”.

– W niuanse też się nie bawią, to fakt.

– I jeszcze ta nieładna gramatyka. Może zechciałybyś im o tym powiedzieć?

Frances się uśmiechnęła, ale był to uśmiech, po którym zwykle pojawiają się łzy.

– Chciałabym, ale już tam nie pracuję. Zwolnili mnie.

– Bo nazwałaś mnie starą wiedźmą?

– Nie nazwałam. I nie, nie dlatego. – Frances była wyraźnie zmieszana. – Czy mogę kupić pani drinka? Jako gałązkę oliwną.

Augusta przecisnęła się obok niej przy barze, spychając łokciem na bok podstarzałego prezentera teleturniejów.

– Tak się składa, że nie piję – powiedziała.

Frances nie udało się ukryć szoku, gdy spytała:

– Już nigdy?

Augusta odrzuciła głowę w tył i wybuchnęła śmiechem. Barman stanął jak wryty, strzelając oczami w jej dekolt.

– Podobno lepiej nigdy nie mówić nigdy. Ale dziś wybieram niepicie. Na domiar złego jutro będę musiała iść na pogrzeb. Kac na pogrzebie tylko ci przypomina, jak blisko grobu stoisz. – Sięgnęła do miseczki z orzechami nerkowca stojącej na barze. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to nudne. Być trzeźwą wśród tych cymbałów.

– Być pijaną wśród cymbałów też jest kiepsko – stwierdziła Frances i zebrała się na odwagę: – Proszę pani, naprawdę mi przykro ze względu na tamten

artykuł. – Wyjęła z torebki wizytówkę. Wykreśliła już z niej „London Advance” i dopisała obok numeru swojej komórki: „niezależny dziennikarz”. – Poszłam na swoje.

– Bo kazali ci pójść na zieloną trawkę?

Frances poczuła, że dolna warga niebezpiecznie jej drży.

– Pewnie można by to tak ująć.

Augusta patrzyła na nią spod mocno wytuszowanych rzęs. Skinieniem ręki wezwała barmana i poprosiła o kieliszek wina. Podsunęła go Frances jednym palcem, zakończonym polakierowanym na fioletowo paznokciem.

– Masz – powiedziała. – To lekarstwo na rozczarowania.

Unosząc kieliszek, Frances poczuła ciepły dotyk w miejscu, gdzie szyja łączy się z ramieniem. Klnąc w duchu, obejrzała się za siebie. Stanley wyciągał w jej stronę kieliszek wina. Miał podpuchnięte oczy.

– Już mam drinka, dziękuję – powiedziała.

Pochylił się i szepnął jej do ucha:

– Tak, ale powinnaś mieć zawsze jeden w zapasie, na nieprzewidziane sytuacje. – Sięgnął nad jej ramieniem, wyciągając dłoń w stronę Augusty. – Stanley Pfeffer – przedstawił się. – Rozumiem, że czekają dziś panią fanfary. Gratuluję.

– Tak – odparła Augusta. – Nagroda Jeszcze Żyję za przetrwanie wbrew zakładom bukmacherów. Już

dawno myśleli, że znajdą mnie na dnie basenu.

Śmiech Stanleya rozbrzmiał wśród gości. Frances zauważyła, że nowy właściciel „Advance” zerka na nich z drugiego krańca baru, ściągając brwi w grymasie gniewu. Pociągnęła Stanleya za rękaw.

– Lepiej zajmijmy miejsca. – Posłała Auguście najśrodszy uśmiech, na jaki było ją stać.

Znaleźli swój stolik gdzieś z tyłu i Stanley odsunął dla Frances krzesło. Nowy właściciel „Advance” prezydował przy znacznie lepszym stole, bliżej frontu sali. Obserwował swoich pracowników spojrzeniem ostrym jak oścień na ryby.

Godzinę później, pomiędzy nagrodą wręczoną dwóm strażakom za uratowanie dziecka z zadymionej piwnicy i drugą, dla psa, który wykrył zrakowaciałego guza u swojego właściciela, Augusta otrzymała wyróżnienie. Wyszła na scenę, podziękowała Keithowi Richardsowi za to, że w porównaniu z nim sama wygląda nieźle, i pomachawszy dłonią, odeszła.

Stan odsunął od siebie deser i ciężko nachylił się ku Frances.

– Nie bez powodu do ciebie nie dzwoniłem. Wszystko, co powiem, wypada nie tak. Teraz na przykład usiłowałem ci powiedzieć, że to, co zostało po twoim odejściu, uświadomiło mi... Czego mi brakuje, jak sądzę. – Odsuwając się od stołu, znów skinął na kelnera. Jego ramię, pod coraz mocniej zamglonym wzrokiem Frances, zdawało się odległe

o jakąś miłą.

– Jeszcze jedna butelka, Stan? – spytała Sue. – Słuchaj, ja nie narzekam, ale widziałeś to memo w zeszłym tygodniu o cięciu kosztów. Nie powinniśmy na koszt firmy brać nawet muffinów i kawy, co dopiero mówić o skrzynkach pinot.

– A kto by się przejmował? – zaprotestował niewyraźnie Stan. – No kto? Może więcej nie spotkamy się w takim gronie. – Uniósł kieliszek w stronę Gruzina, a Frances nagle pojęła, jak to jest siedzieć samotnie w okopie strzeleckim namierzonym przez wrogów.

– Na czym to stanęliśmy? – Stanley znów zwrócił się do Frances. Spróbował położyć ramię na oparciu jej krzesła, ale chybił. – A, tak... Przyszłość.

Frances zdążyła wylać z siebie strumień żalu, podczas gdy Stan uważnie jej słuchał. Nie ukrywała niczego, nawet upokorzenia w związku z nieudanym zleceniem dla „Under the Skin”.

– Myślałam nawet o powrocie do domu – szepnęła. – Chciałam zadzwonić do rodziców i poprosić ich, żeby przysłali mi bilet. Przyznać się do porażki. Co jest gorsze? Wracać do domu jako nieudacznik czy zostać tu, gdzie nikogo nie obchodzi, czy żyję, czy umarłam jak ten biedny rosyjski szpieg?

Stan nachylił się do niej i gestem zasugerował, żeby zrobiła to samo. Kiedy dzieliły ich zaledwie cale, szepnęła:

– Umiesz dochować sekretu? Tak sobie myślałem, czy

tak właśnie nie zrobisz. Po tym, jak musiałem cię zwolnić.

Odsunęła się od niego gwałtownie.

– Co takiego? – zapytała zabójczym tonem.

Stan się zawahał, jakby próbował wyczuć, w którym miejscu tej ścieżki podłożone są miny.

– Na litość boską, Frances. Myślałem, że robię ci przysługę.

– Przysługę?

– Że będziesz mogła pojechać do domu. I nie będziesz musiała więcej pracować dla mnie. – Podniósł głos prawie do krzyku. – No bo kto przy zdrowych zmysłach wyjeżdża z Kalifornii, żeby pracować w jakiejś gównianej norze?

– Nazywasz moją gazetę gównianą norą? – Nowy właściciel „Advance” stał obok krzesła Stanleya z uśmiechem oficera śledczego na twarzy. Frances zadrżała. Obok Gruzina w niedbalej pozie stała jego jasnowłosa towarzyszka; wyraźnie znudzona, wygładzała dół swojej białej sukienki.

– O, Nikolaz... Nie, oczywiście, że nie – powiedział Stan. – Nigdy nie określiłbym „Advance” gównianą norą. – Przetarł czoło serwetką. – W niektóre dni nazwałbym je może wucetem, ale tylko z najwyższą czułością.

Gruzin uśmiechnął się, oszczędnie używając mięśni mimicznych. Frances zachodziła w głowę, czy faktycznie był kiedyś w KGB, a jeśli tak, to ilu więźniów

zanieczyściło sobie bieliznę na widok tego uśmiechu.

– Bardzo zabawne, panie Pfeffer. Tak po angielsku zabawne, jak mniemam. – Lekko skłonił głowę. – Do zobaczenia w redakcji.

Rozdział 13

Pastor powoli wracał do kościoła, mijając grupkę żałobników. Jego komża stanowiła plamę bieli wśród ławicy czarnej wełny. Nad pagórkiem świeżo usypanej ziemi stała Alma. Głowę miała pochyloną, choć ciężko było stwierdzić, czy w modlitwie, czy w efekcie osteoporozy.

Uniosła drżącą dłoń i delikatnie otarła oczy.

– Żegnaj, Barry – szepnęła. – Ty cholerna stara pizdo.

– Panno P.! – syknęła zwałista postać, podtrzymująca jej łokieć. – Nie wolno mówić „pizda” na dziedzińcu kościoła.

– A czemu, kochanie? Bo to uświęcone miejsce? – Alma wskazała pustą butelkę przytuloną do kamiennej podstawy jednego z nagrobków. – Zatrząsienie butelek po winie gruszkowym sugeruje coś przeciwnego.

Deb, opiekunka Almy, pracowała w Domu Opieki dla Emerytowanych Artystów Scenicznych imienia Ellen Terry wystarczająco długo, żeby wiedzieć, kiedy nie psuć komuś puenty. Pokręciła głową.

– To po prostu nie w porządku, prawda? Może jego duch nadal tu jest.

– No cóż, jeśli Barry gdzieś tu jeszcze się unosi, to usiłuje znaleźć jakiś sposób, żeby przelecieć analnie

pastora. Ten facet był jurny jak kozioł w maju. – Alma zadygotała i owinęła się płaszczem. Augusta wyciągnęła rękę, żeby dopiąć jego górne guziki, ale starsza pani odpędziła ją jak natrętną muchę. Zakręciła się na pięcie wokół swojej laski i drobnymi kroczkami zaczęła odchodzić od grobu. – To nie tak, że ja Barry’ego nie lubiłam – powiedziała. – Pewnej bardzo zimnej lutowej nocy złapałam pociąg do Bristolu, żeby obejrzyć go w roli Malvolio w Old Vic. Był wspaniały – i oczywiście nie pozwalał nikomu o tym zapomnieć. A już szczególnie... – zatrzymała się i zerknęła na Deb – ...nie pozwalał ci zapomnieć, jakim ciachem był w młodości. Czy wiesz, że wyznał mi, że był kiedyś nadzieniem w kanapce pomiędzy Dannym Kayem a Laurence’em Oliverem? – Znów ruszyła z miejsca. – Nie znoszę przechwałek.

Augusta przez moment stała i obserwowała rozciągającą się poniżej spokojną scenerię. Kościół anglikański wiedział, jak budować bramy do pośmiertnego życia: mech połyskiwał zielenią na nagrobkach, gałęzie kasztanowców spletały się ponad nimi niczym dłonie pokutnika. Kościół z bladego piaskowca z Bath, wytartego latami do gładkości, wyglądał bardziej jak pensjonat ze śniadaniem niż mroczne świątynie wzajemnych oskarżeń, które w dzieciństwie odwiedzała co niedzielę.

Jej matka nie była nawet katoliczką, a jednak całą trójką chodzili co tydzień na mszę. Jeśli był to tydzień

szczególnej niesforności – a większość taka była – Augusta wlokła się noga za nogą, gdy zbliżali się do gotyckich drzwi, w myślach wyliczając wszystkie fałszywe grzechy, do których mogłaby się przyznać. Jeśli za bardzo się wierciła w czasie mszy, ojciec wskazywał palcem niskie, sklepione drzwi w pobliżu ołtarza i szeptał: „To drugie miejsce...”. Powiedział jej kiedyś, że do drugiego miejsca idzie się po śmierci, a wszyscy krewni, którzy cię nienawidzili, gromadzą się tam i dręczą cię całą wieczność.

Kilkunastu bardzo wiekowych przyjaciół Barry’ego stało w niewielkim kółku, mężczyźni siłą woli utrzymywali plecy prosto, kobietom jasny puder gromadził się w bruzdach na policzkach.

– Alma Partridge! – zawołał przygarbiony starzec w klubowym krawacie. – Ileż to już czasu, moja droga? – Grupka chwiejnie trzymających się na nogach staruszków otoczyła ją ściśle.

Augusta poczęstowała Deb papierosem; sama też zapaliła.

– Dawno nie była taka ożywiona.

Deb skinęła głową.

– Pogrzeby to taki Facebook dla staruszków.

W taksówce w drodze powrotnej Deb dzieliła się z nimi komentarzami na temat obecnych wydarzeń w *Kanałach*, zakładając, że dwie były gwiazdy serialu spragnione są wieści o wirusach, poronieniach i rozwodach, które pustoszą utraconą przez nie scenę.

– Chad, pamiętacie, ten, co zabił Kit...

– Nijak nie udało mi się zapomnieć – mruknęła Augusta.

– No więc on teraz zadaje się z Iqbalem z frytkarni. Mama Iqbala niezbyt się z tego cieszy, wyobrażacie sobie, skoro jest gejem i muzulem...

– Muzułmaninem.

– No właśnie. Więc jego brat sprzął go na kwaśne jabłko...

Augusta poczuła na ramieniu nieznacznym ciężar Almy, usłyszała cichy, urywany oddech śpiącej przyjaciółki. Przyłożyła palec do ust i Deb, z nachmurzoną miną, umilkła.

Gdy znalazły się z powrotem w Domu Opieki dla Emerytowanych Artystów Scenicznym imienia Ellen Terry, Deb pomogła Almie zdjąć ciężki futrzany płaszcz. Przypominało to zdejmowanie zbroi z małego dziecka. W pokoju robiło się mroczno, chociaż był zaledwie środek popołudnia. Z okna pokoju Almy na drugim piętrze Augusta widziała zasapanych biegaczy na błoniach. A gdybym tak zaczęła biegać?, pomyślała. Zdarzały się już bardziej absurdalne rzeczy. Może mogłabym pobiec aż do Kalifornii, a potem rozerwać mu to cholerne gardło i zapchać dziurę kartkami z tej jego książki?

Powinna była jechać do Hollywood, kiedy miała po temu szansę, gdy przypominała jeszcze owoc dojrzający do zerwania. Było, minęło. Teraz Kalifornia kojarzyła

jej się wyłącznie ze śmiercią i pomarańczami. To miejsce skradło jej syna. Nagle przypomniała sobie dawno zapomniany dzień, kiedy siedziała z Dellerem w kawiarni przy autostradzie, a on czytał jej fragment *Nieodżałowanej*. Sama idea Los Angeles wydawała im się wtedy całkowicie obca, upadek i porażka tym bardziej. „Płakałem, wspominając, jak często ty i ja kpiliśmy z Los Angeles, gdzie teraz trumna twa”.

Augusta z uśmiechem powtarzała w duchu te słowa. Złapała się na tym i zdusiła iskrę wspomnienia, zanim zdążyło zagorzeć. Za jej plecami Alma westchnęła, moszcząc się w wytartym fotelu i zapalając papierosa, wbrew zasadom obowiązującym w domu opieki. Za każdym razem, kiedy któraś z pielęgniarek ją karciła, tłumaczyła się demencją.

Ściana za jej plecami pokryta była fotografiami w ramkach: Alma wyższa, Alma z ciemnymi włosami, Alma w peruce i scenicznym makijażu jako Medea, jako Nora, jako Rozalinda. Jako dziewczica składana w ofierze w filmie Christophera Lee biegła w stronę kamery ze szlochaniem, a krew płynęła z jej gardła na rozdarty kołnierz cienkiego jak pajęczyna peniuaru. Nie było na tych ścianach ani jednego osobistego zdjęcia – żadnego psa, dziecka, kochanka.

Deb przeprosiła i wyszła zajrzeć do kilku innych podopiecznych, czy może „klientów”, jak wolała ich nazywać. Augusta wzięła głęboki oddech i zaczęła coś mówić, ale jej uwagę przyciągnęło coś, co działo się

w dole na błoniach: w niemal całkowitym zmroku jakaś kobieta klęczała obok swojego dziecka i zakładała mu na stopy plastikowe torby, obwiązując je wokół kostek. Co to za nowa zagadka współczesnego rodzicielstwa? Kiedy kobieta się podniosła, jej synek pobiegł radośnie alejką, wskoczył obunóż do kałuży i zaczął tupać niczym obłąkany elf. Augusta wyobraziła sobie rozpryski wody spod rozszalałych dziecinnych stóp, dostrzegła, że jego matce drżą ramiona.

Zastanawiała się, czy do opiekowania się innymi potrzebna jest jakaś specjalna umiejętność, jakiś gen, bez którego się urodziła, tak samo jak nigdy nie radziła sobie z matematyką. Być może ten brak nie był znowu taki zły. Pozwalał jej dostrzec, co będzie dobre dla innych, kiedy oni sami tego nie widzieli. Na przykład taka Frances. Raz rzuciła okiem na biedną dziewczynę podczas ceremonii wręczania nagród i już wiedziała, czego jej potrzeba. Odrobiny przygody. Jakiegoś poczucia życiowego celu. Frances wydawała się pełna wyczekiwania, z tymi szeroko otwartymi oczami, jak królik, którego łatwo jest zwabić w pułapkę. Nie pułapkę, poprawiła się Augusta. Jej się marzy bezpieczna przystań.

– ...i czy ja ci mówiłam o tych staruszkach z końca korytarza, które się skumały? Laura i Corinne. Należały do pewnego zespołu teatralnego w Edynburgu i znały się od lat, ale dopiero w dziewiątej dekadzie życia postanowiły pójść ścieżką Safony. Pewnie trudno się

dziwić, skoro miejscowi starsi panowie raczej im już nie dogodzą. Moja droga, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Augusta oderwała się od okna.

– Miałam zamiar poprosić cię o radę.

Alma wychyliła się z fotela, szerzej otwierając błękitne oczy.

– Chyba nie wróciłaś do opium?

– Nie, kochanie, opium nie ma tu nic do rzeczy.

– Chodzi zatem o pracę? Obawiam się, że tam teraz jest pustynia dla takich kobiet jak my. Chociaż oczywiście nadal jesteś równie urocza, jak kiedyś, moja miła.

Augusta uniosła brew.

– Wiesz, mam w domu lustro. Tak czy inaczej, bywało gorzej. Pojawia się dość drobnych zleceń, żeby wystarczyło mi na fajki. – Nie ma nic okropniejszego niż opowieści z okopów lęków wieku średniego. –

Robię coś sensownego dla Channel 4 – skłamała gładko. – Jestem tam żoną pewnego radcy królewskiego, który w tajemnicy prowadzi ze swojej altany ogrodowej szajkę albańskich handlarzy żywym towarem.

Alma pociągnęła nosem.

– Nie całkiem *Miasteczko Middlemarch*, nie uważasz? No ale cóż, trzeba się jakoś utrzymać na powierzchni.

Augusta zaczęła się wiercić. Dlaczego w domach starych ludzi jest tak gorąco? Powachlowała się nieaktualnym już egzemplarzem „Sceny”.

– Chyba chciałam cię zapytać o przeszłość – powiedziała po chwili. – O rodzinę, rozumiesz. Takie sprawy.

– O mój Boże... – Alma zgasiła papierosa na spodeczku. – Nie jestem pewna, czy powinno się pytać mnie o kwestie rodzinne. Lepszej rady mogłaby ci udzielić zwykła kotka.

– Właśnie dlatego chciałabym o tym pomówić z tobą. – Augusta wstała i położyła dłonie na chłodnej okiennej szybie. Prawie już nie widziała postaci na błoniach, a matka i dziecko zdążyli zniknąć. – Kazanie może mi palnąć ktokolwiek inny. Jakiś przesłodzony bełkot o znaczeniu utrzymywania bliskich związków z ludźmi. Ty, kochanie – odwróciła się i położyła dłoń na ramieniu Almy – masz rześki posmak octu.

– Potraktuję to jako komplement. No dobrze, jestem gotowa do czyszczenia.

Augusta znów obróciła się w stronę okna.

– Zastanawiam się, czy nie zrobić sobie wycieczki do Kalifornii.

– Aha.

– Wiesz, czemu powinnam tam jechać?

– Oczywiście, że wiem.

– No to, na litość boską, pomóż mi! To dobry pomysł czy nie?

Alma przyglądała się jej przez chwilę.

– Zaryzykuję gnomiczne brzmienie, moja droga, i powiem, że moim zdaniem dowiesz się tego, kiedy się

tam znajdziesz. A pewnie nawet i wtedy nie.

Albo wręcz nigdy, pomyślała Augusta.

– No dobrze – powiedziała i nachyliła się, by ująć w dłoń twarz starej przyjaciółki. – Przemyślę to sobie. Jeśli będę jechała, skrobnę ci listownie parę słów.

– Listownie? – rzuciła Alma, odpychając ją od siebie.

– Moja droga, ja mam konto na Skypie.

Rozdział 14

Po przeciwnej stronie ulicy dwóch pijaków usiłowało udusić się nawzajem w drzwiach do Twelve Pins. Kiedyś taka scena napełniłaby Frances przerażeniem – teraz obserwowała ją znad kuchennego stołu, zupełnie otepiała. Mogła wezwać policję, ale na karcie komórki zostało jej zaledwie kilka funtów. BT odcięło telefon stacjonarny tydzień wcześniej.

W mieszkaniu panował ziąb. Za każdym razem, kiedy Frances podchodziła do termostatu, wyobrażała sobie stosik radośnie płonących, funtowych banknotów. Na stole stał otwarty laptop, z wyświetloną listą rachunków, które zdaniem banku powinna uregulować przy pierwszej możliwej okazji. Frances wciąż od nowa sumowała tę kolumnę liczb i za każdym razem wychodziła jej kwota, która zaprzeczała prawom arytmetyki.

Noce były coraz dłuższe, ściemniało się już około czwartej po południu, a wraz ze zmierzchem pojawiała się niedola. Nie mogła sobie przypomnieć, jak czuje się człowiek, kiedy jest mu ciepło. Czterdzieści lat wcześniej jej ojciec uciekł z Coventry do kalifornijskiego słońca i nigdy tego nie żałował. W chwilach takich jak obecne przeklinała decyzję, która

kazała jej odbyć podróż w przeciwną stronę.

Lepiej nie myśleć o ojcu, uwięzionym w tym wielkim domu z widokiem na Pacyfik. Wyjrzała przez okno. Jeden z pijaków osunął się na ziemię, poddawszy się po wyjątkowo wrednym ciosie z bańki, wymierzonym przez kolegę. Frances wróciła do swoich cyferek, gdy nagle...

Ping.

Odgłos był tak niespotykany, że w pierwszej chwili nie mogła się połapać: dzwonek do drzwi? Czujnik dymu? A potem sobie przypomniała: z takim sygnałem spływają na jej telefon maile, z dzwonkiem, który kiedyś doprowadzał ją do szału swoją częstotliwością.

Sięgnęła po komórkę i zastygła, wstrzymując oddech. Jeszcze raz przeczytała wiadomość. A potem wybuchnęła śmiechem, który zdawał się jedyną właściwą reakcją na ofertę pracy składaną mailem przez szaloną alkoholiczkę. Byłą alkoholiczkę, upomniała samą siebie. Uszczypliwość przecież nie leżała w jej naturze.

Wiadomość od Augusty Price brzmiała: „Chodzi mi po głowie pewna przygoda i uważam, że jesteś kobietą idealnie się do tego zadania nadającą. Czy zechciałabyś się ze mną spotkać i przedyskutować Plan Zwycięskiego Uderzenia?”.

Frances usłyszała policję przyjeżdżającą, żeby uspokoić walczących pod Twelve Pins. Siedziała w półmroku i rozmyślała. To prawda, nie miała już nic

do stracenia. Straciła godność, straciła pracę, straciła perspektywę romantycznej przygody, o ile w ogóle kiedyś istniała taka perspektywa. Stanley zamilkł po fiasku imprezy wręczania nagród. Sue wysłała jej esemesa, że zniknął z redakcji w niewiadomych okolicznościach. Gruziński właściciel kazał odmalować jego gabinet.

Dysponując mnóstwem wolnego czasu, Frances zaczęła czytać o Augustcie. W swoim artykule dla „Advance” odnotowała różnice pomiędzy historycznymi źródłami a zapiskami Augusty, ale nie zdawała sobie sprawy, jak duży był ten rozziw. Znalazła różne wywiady, których Augusta udzielała na przestrzeni lat. Fakty z jej życia przedstawiały się, mieszały albo... znikały. O Charlesie rzadko wspominała jako o dziecku, ale jako o dorosłym mężczyźnie nie wspominała o nim nigdy. To było zupełnie tak, jak obserwować rysunek wykonany kredą powoli znikający z mokrego chodnika. Deller wymieniany był jeszcze rzadziej. Dlaczego Augusta tak bardzo starała się wymazać przeszłość i dopilnować, by nikt nie wzbogacił jej o nowe szczegóły? Ciekawość Frances, uśpiona w ostatnich miesiącach, zaczęła się rozbudzać.

W pokoju zrobiło się ciemno, ale znała to niewielkie wnętrze na tyle dobrze, że nie potrzebowała oświetlenia. Mieszkanie zdawało jej się przygnębiające, już kiedy się tu wprowadziła, niewiele większe niż sypialnia, jaką zajmowała w dzieciństwie, a w łazience lampa migłała

i wydawała trzaski, ile razy pociągnęła za sznurek włącznika. Teraz jednak, kiedy miała je utracić, nagle nabrało pewnego romantycznego, sfatygowanego szyku. Wstała, żeby włączyć lampkę na biurku – starą lampę z francuskim witrażowym kloszem, prezent od rodziców. Postąpiła tam przez chwilę, a potem podeszła do regału, gdzie przesunęła palcami po tytułach, aż trafiła na grzbiet książki z nadrukiem barwy szczególnie bijącej po oczach zieleni. Zdjęła książkę, aż sztywną od karteczek samoprzylepnych, które zabazgrała, wybierając się na wywiad do Augusty. Myśli porozrzucane niczym kuleczki w pinballu, odbijające się rykoszetem od rozmaitych możliwości. Usiadła przy biurku, poprawiła lampę i otworzyła książkę.

„Szaman z Notting Hill

Kiedy tylko usłyszeliśmy, że w obiegu pojawił się nowy narkotyk, wszyscy chcieliśmy go spróbować. Proszę zrozumieć, to były bardziej liberalne czasy. Człowiek wracał do domu autobusem o czwartej nad ranem i zdarzało mu się znaleźć obok budowlańca z Essex, w bluzie pirata, z eyelinerem spływającym po twarzy, obcałowującego się z jakimś innym facetem. Wszystko było w tamtych czasach jakby bardziej płynne.

Odniosłam pewien niewielki sukces w telewizji, miałam za sobą parę obiecujących ról filmowych, a mój agent chciał, żebym spróbowała sił w Los Angeles. W tym wielkim, różowym zamku na niebie.

Niemniej będąc typem buntowniczym – proszę mnie nazywać *idiotką*, jeśli państwo wolą – postanowiłam spędzić tę wiosnę w Londynie, poddając się wpływowi pewnej radykalnej grupy aktorów, radykalnie sprzeciwiających się kąpielom oraz, jak się później okazało, płaceniu rachunków.

Lubili stylizować się na aktywistów stylu performance, przejmując opuszczone budynki, by znęcać się nad widownią spływającymi krwią i smarkami przedstawieniami Edwarda Bonda i Samuela Becketta. Jedli i pili Brechta oraz Boala: „wyzwolenie poprzez teatr”. Tak naprawdę wyzwalali tylko swoje wacki. Cztery aktorki obecne w trupie miały za zadanie inspirować kreatywność na szereg sposobów, przy czym żaden z tych sposobów nie wymagał noszenia garderoby. Powinnyśmy były odczuwać wdzięczność za możliwość ponoszenia takich ofiar; za kulisami czekało wiele innych dziewcząt.

Byłam niepewna własnych talentów, skażona hańbą telewizyjnego sukcesu. Ogarniało mnie zatem perwersyjne szczęście, kiedy mówiono mi, że wszystko, czego dokonałam do tej pory, było gównem warte. To taka ulga, zamknąć twarz i dla odmiany kierować się cudzymi kiepskimi decyzjami.

Czy już wspominałam, że mieli świetne dragi? To mogło stanowić atrakcyjną stronę sytuacji. Nadal byłam amatorką – odrobina amfy, odrobina haszu, parę kresek koki na początek wieczoru i valium na jego

zakończenie. Ale ci faceci nie bawili się w detal. Każdy z nich był Edmundem Hillarym rozwijania możliwości umysłu. Byli ludźmi pogranicza, pierwszymi na szczycie, zawsze poszukującymi nowych i lepszych sposobów przedarcia się przez bariery ograniczające wyobraźnię.

W taki oto sposób pewnego ciepłego majowego wieczoru znalazłam się w zapuszczonym mieszkaniu w Notting Hill z jakąś pomarszczoną kreaturą, która określała samego siebie mianem szamana, pijąc wywar, który smakował jak kocie szczyny i miał rzekomo raz na zawsze otworzyć mi umysł. Dopiero po tym, jak wypłam pierwszy stęchły łyk, przyszło mi do głowy, że pewnie lepiej bym wyszła na szczelnym zamknięciu tegoż umysłu przeciw wszelkim przeciągom.

Ale zacznijmy od początku. Liderem naszej trupy był Danny – jako kolektyw anarchistów, odrzucaliśmy hierarchie, niemniej Danny zawsze mógł wybierać i role, i kobiety. Był kiedyś w Peru, gdzie kręcił małą rólkę do jednego z filmów Wenera Herzoga, i doszły go słuchy o potężnych halucynogenach używanych przez Indian Keczua w rytuałach ayahuaski. Tłumaczyło się to na *pnące duchów* czy *pnące życia*, a może *pnące śmierci*, Danny nie był do końca pewien.

W jakiś sposób Danny zdołał wkręcić się na ceremonię ayahuaski – wykorzystując swój piękny głos albo ponętny tyłek, albo jedno i drugie – i wrócił do Londynu jako człowiek odmieniony. W trakcie

odlotu zyskał dostęp do wszelkiej wiedzy świata. Całymi tygodniami smęcił o tym, że musimy wziąć ten narkotyk wspólnie, poszybować razem przez kosmos. Największy światowy nudziarz ayahuaski. Żeby się wreszcie zamknął, zgodziliśmy się. Rzecz charakterystyczna dla ćpunów: zawsze szukają jeszcze lepszego odlotu. To czemu nie napar uwarzony na jakimś amazońskim zielsku?

To był nasz pierwszy problem. To coś rośnie w Amazonii i jedyny gość, który umiał zabawkę stosować, też mieszkał w Amazonii, gdzie u krańca jakiejś niemożliwej do przebycia ścieżki w dżungli śnił swoje wizje jaguara. Danny upierał się, że musimy przeprowadzić odlot jak należy, a to oznaczało, że potrzebujemy szamana na swojego nawigatora. Całą energię poświęcił na sprowadzenie do Londynu tego pnącza i tego faceta – przedsięwzięcie wysoce nielegalne i najeżone trudnościami. Mizerne zasoby trupy poszły w całości na ten cel. Oznaczało to koniec naszych nadziei na wersję *Przy drzwiach zamkniętych* w ultrafiolecie, która miała być wystawiona w opuszczonym gmachu poczty w Pimlico. Świat jakoś przetrwał tę stratę.

Wreszcie Danny zdołał pociągnąć za odpowiednią ilość sznurków i przekupić bagażowego z Heathrow oraz jakiegoś kuzyna, który pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Data została ustalona. Najważniejsza była sceneria – chatka w dżungli byłaby

idealna, ale nie znaleźliśmy nikogo, kto mieszkałby poza zasięgiem autostrady M25. Zadowoliliśmy się więc drugim w kolejności najlepszym rozwiązaniem, czyli mieszkaniem na Notting Hill.

Trzeba pamiętać, że w tamtym okresie to była dżungla, zupełnie obcy kraj, ziemia niczyja. Dziś kupuje się tam jajka z rodowodem sięgającym czasów Noego, ale wtedy był to plac zabaw kryminalistów. Miejsce, gdzie zdobywało się dragi i zaraz potem wiało.

Pomimo entuzjazmu Danny'ego dla ayahuaski – a może ze względu na ten entuzjazm – ja sama miałam obawy. Halucynogeny nigdy nie stanowiły mojej ulubionej drogi ucieczki; nie lubię jeździć pojazdem pozbawionym hamulców.

Zwróciłam się o mądrą radę do mojej drogiej przyjaciółki, Almy Partridge, którą spotkali już Państwo na tych stronicach.

– Moja droga – powiedziała mi – jeśli marzy ci się podróż poza własne ciało, czemu nie wsiąść na prom do Calais i nie kupić tam butelki absyntu? Jestem pewna, że to bardziej higieniczne.

Ale ja byłam młoda i nierozważna (z jednej z tych cech wyrosłam) i zlekceważyłam jej zastrzeżenia. Alma przekonała mnie, że powinna przynajmniej poczekać na mnie w pobliżu tego mieszkania, w razie gdyby cokolwiek poszło nie tak. I czekała, wiele godzin siedząc w jakiejś zakazanej kafejce na Ladbroke Grove, podczas gdy wokół niej toczyły się wszelkiego typu

transakcje związane z chemikaliami lub ciałem. Wierniejszej przyjaciółki nikt nigdy nie miał.

W wyznaczony wieczór zebraliśmy się w tym mieszkaniu, wypożyczonym nam przez przyjaciela Danny'ego, który chyba siedział w więzieniu albo w Aberdeen. Ośmioro z nas zaplanowało odlot; oprócz mnie tylko jedna kobieta, Bea, ładniutka i nieco pustawa aktoreczka, która specjalizowała się w dziewicach w opałach i jeszcze bardziej ochoczo niż ja szła panom w rozebrany sukurs.

Weszliśmy do tego mieszkania – wysokie stropy, pajęczyny i posadzka w całości pokryta elegancką mozaiką czarno-białych płytek. Koszmar ćpuna na tripie, takie płytki. Z niewyjaśnionych przyczyn pod ścianami stały rzędy misek, a w środku leżał stos czegoś, co wyglądało jak pieluchy z tetry, choć przecież nie mogło nimi być. Zebraliśmy się wkoło tego stosu, wytrzeszczając oczy.

Nie będę Was okłamywała, drodzy Czytelnicy, tamto popołudnie zostało spędzone w pubie i zanim dotarliśmy do Notting Hill, byliśmy już nieźle wstawieni. A jednak widok takiej sterty dziecinnych srajszmat jest w stanie rozwiązać nawet najgęstszą mgłę.

Staliśmy z rozdziawionymi gębami, a Danny zagaił:

– Chyba zapomniałem o czymś wspomnieć. Ayahuasca to taki trochę środek wymiotny. Możliwe też, że przeczyszczający.

A potem, jak generał prowadzący szarżę z pierwszej

linii, ściągnął spodnie – pod którymi oczywiście nie nosił żadnej bielizny – wziął pieluchę i owinął nią sobie biodra, jakby był Jezusem strojącym się w te swoje powijaki.

Wtedy zawróciłam do wyjścia. Chciałam, by moja samoświadomość i moje majtki pozostały w swoim naturalnym, niezakłóconym stanie. Ale gdy już zbierałam się do odejścia, drzwi otworzyły się i stanął w nich szaman.

Nie jestem pewna, czego się spodziewałam, ale na pewno nie tego malutkiego, pomarszczonego staruszka z zażwawionymi oczami, które ogarnęły spokojnym spojrzeniem najpierw mnie, całkowicie ubraną, a potem Danny’ego – ze spodniami zaplątanymi wokół kostek i pieluchą smętnie zwisającą pomiędzy owłosionymi udami. Szaman (nigdy nie poznałam jego imienia) miał na sobie oślepiająco białe adidasy i skórzaną kurtkę reklamującą światową trasę Billy’ego Joela z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku. O wiele większe wrażenie sprawił na mnie przystojny, ciemnowłosy chłopak u jego boku, który szepnął coś do starca po hiszpańsku. To był syn szamana, jak się wkrótce dowiedzieliśmy, mający pomóc ojcu w przeprowadzeniu rytuału oraz poprzedzającej go transakcji finansowej.

Szaman podszedł do okna i wyjrzał przez nie, a jego syn wziął Danny’ego na bok celem przeprowadzenia targów, tym razem przechodząc na angielski:

– Ojcu potrzebna jest butelka rumu, żeby wspomóc pojawienie się ducha przewodniego. Oraz pięćset funtów, jako dar dla naszej fundacji lasów deszczowych. I chciałby dostać bilety na mecz na West Ham.

Danny kiwał głową. Znad paska džinsów wystawała mu pielucha, więc raczej nie miał dobrej pozycji do negocjacji.

Zanim rytuał się rozpoczął, przycupnęłam obok tego uroczego chłopaka. Absolwent uniwersytetu w Leeds, jak się okazało, używał niezwykłego imienia – Lenin. Kiedy wyraziłam swoje złe przeczucia w związku z rytuałem ayahuaski, uspokoił mnie, kładąc mi dłoń na kolanie.

– Nic ci nie będzie – szepnął. – Uwolnisz się i opróżnisz.

– Właśnie to mnie niepokoi – odparłam, ale chyba nie podzielił moich obaw. Chciał za to podzielić ze mną coś innego; jego dłoń przesunęła się na północ od mojego kolana.

W kuchni, w poobtłukiwanym czajniku, szaman warzył napar. Słyszałam, że podśpiewywał pod nosem, to był hipnotyzujący dźwięk. Zobaczyłam, że pozostali krzywią się, pijąc ciecz, a kiedy przyszła kolej na mnie, zatkałam sobie nos i zaczęłam walczyć z odruchem zwrotnym.

Potem szczegóły się zacierają, chociaż same wizje – nie. Pamiętam, że Danny puścił na sprzęcie stereo jakąś okropną andyjską muzykę – pewnie El Cóndor Pasa –

a Lenin przewrócił oczami. Pamiętam też szamana, bez koszuli, klęczącego przede mną, i jego głos zawodzący w mroku.

Nie wiem, ile czasu minęło, koncentrowałam się na uspokajającej obecności Lenina. A potem usłyszałam, jak ktoś – czy też wielu ktosiów, brzmiało to jak legion – wyłamuje się z kręgu i odpełza na bok, jęcząc wśród mdłości. Danny poczłapał na korytarz, gdzie zaczął wpatrywać się w jedną z czarnych płytek w słabym odbłasku swojego papierosa.

A potem w tej głuchoj ciszy huknęła:

– Jak ja mam znaleźć pięć pensów w tym heksagonie?

Do tego czasu sama jednak byłam już ponad wszystkim, znalazłam się poza ciałem, poza tym pomieszczeniem. Byłam gdzieś na zewnątrz, na pięknym, pokrytym śniegiem wzgórzu, gdzie drzewa udrapowane były lodem, każdy jego okruch lśnił w świetle księżyca. Po moich obu stronach ze śniegu uformowały się wielkie lodowe konie, które po chwili ruszyły galopem w dół wzgórza. Ich grzywy powiewały, kopyta zostawiały w powietrzu szlaki iskier. Te iskry pojawiały się falami, formowały się, skakały i znikały, jak wielki przybój srebrzystego światła. Jakąś niewielką częścią umysłu nadal byłam świadoma tamtego pokoju i odgłosów cierpienia, ale zdawało się, że dochodzą z jakiejś odległej galaktyki.

Wyciągnęłam rękę i złapałam srebrzysty ogon jednego z koni. Był jedwabisty i ciepły. Koń pociągnął

mnie i popłynęłam ze szczytu góry, potem frunęliśmy przez tunel pulsującego koloru, a twarze wszystkich, których znałam, uśmiechały się do mnie – naprawdę promieniowały miłością – spomiędzy dłoni jarzących się błękitem, purpurą i zielenią.

Powoli wirując, opadłam i znalazłam się w ciepłym, ciemnym wnętrzu, w jakimś pokoju z poprzedniego stulecia, oświetlonym ogniem z paleniska. Patrzyłam na inną siebie w tym pokoju, piękniejszą wersję siebie, o włosach mniej potarganych, o łagodniejszych oczach, stojącą przed sztalugami. Bo rysowałam jak Rafael: szybko, pewnym ruchem, idealnie formując proporcje postaci i ożywionych twarzy. Muszę wspomnieć, że nigdy nie potrafiłam namalować choćby patyczaka, a tu oto byłam geniuszem i produkowałam szkice, które wyglądały, jakby należało im się miejsce w Galerii Uffizi. I jakimś sposobem wiedziałam, że Augusta z tego pokoju potrafiłaby z równą łatwością tańczyć albo śpiewać, albo grać na fortepianie, mówić po grecku albo po łacinie, pojąć fizykę kwantową, złapać rekina gołymi rękami.

Ludzie, którzy nigdy nie zażywali narkotyków, myślą o nich jak o czymś powodującym regres, o czymś, co odciąga nas od samych siebie, od naszych przyjaciół, obowiązków i marzeń. Uważają, że branie narkotyków w jakiś głęboki sposób pomniejsza tego, kto je bierze. Tymczasem prawda jest wprost przeciwna. Jeśli korzystać z nich umiejętnie – założywszy, że nie

kradniesz pieniędzy przeznaczonych na szkolne mleko syna, żeby kupić amfę, ani nie wracasz do domu pokryta wymiocinami, które mogą, ale nie muszą, być ludzkiego pochodzenia – narkotyki oferują dar ekspansji. Akordeon twojego życia w najbardziej rozciągniętej wersji. Tamtej nocy w Notting Hill czułam, że wędruję po znajomym domostwie własnego umysłu, odkrywając w nim pokoje, z których istnienia nie zdawałam sobie sprawy.

Siedziałam w tym mieszkaniu i śniłam o najlepszych wcieleniach samej siebie, ale rano zniknęły. Ocknęłam się pierwsza, rozwierając powieki, które były jak posklejane plasteliną. Leżeliśmy na łóżku – ilu nas tam było, sama nie wiem – kończyny, dłonie i stopy poprzeplatane jak w gnieździe szcurów. Lenin bez koszuli leżał obok mnie, a ja, naga od pasa w dół, obok jakiejś kobiety, której na pewno tu nie było, kiedy po raz ostatni odwiedziłam ten astralny poziom. Nad łóżkiem unosiły się opary rumu i wczorajszej marihuany. Głowę też miałam pełną oparów, choć sam jej środek przeszywał ostry ból. Mimo tego bólu i wrzasku, który rozległ się, kiedy nastąpiłam komuś na dłoń, idąc do wyjścia z sypialni, czułam się... No cóż, jak nowa. A wychodząc z mieszkania, dostrzegłam, że w nocy ktoś nabazgrał na drzwiach przesłanie: »Najlepiej jest nie wiedzieć«.

Poszłam odszukać Almę. Kafejkę przepelniał szemrany tłum. Nie miałam pojęcia, jak zdołała tam

wytrwać całą noc, ale siedziała przy stoliku, przy którym ją zostawiłam. Popijała kawę w towarzystwie dwóch korsykańskich gangsterów, z którymi zaprzyjaźniła się w trakcie wieczoru. Dołączyłam do nich i razem patrzyliśmy, jak słońce wstaje nad miastem”.

Rozdział 15

Oczywiście nie odtworzyłam tej historii w stu procentach wiernie – przyznała Augusta. – Miała może nieco mniej duchowy wymiar, niż to opisałam... –

Urwała, a na jej twarzy odmalował się wyraz przerażenia. Frances obejrzała się za siebie, żeby sprawdzić, co za potworność zwróciła jej uwagę. –

Do tego już doszło? – Głos Augusty wzbił się ponad szum baru stacji kolejowej St. Pancras. Spojrzenie utkwiła w narożnym stoliku; jakaś młoda kobieta o lśniących ciemnych włosach wyjmowała niemowlę z wózka, żeby posadzić je sobie na kolanach. – Już wszędzie zabiera się ze sobą niemowlęta?

– Kiedyś napisałam artykuł o kobiecie, która przez nieuwagę zostawiła dziecko w kasynie w Brighton – powiedziała Frances.

Augusta rzuciła jej spojrzenie, którego nie złagodziły dwie lampki szampana.

– Chcesz mieć dzieci, Frances? – zapytała znienacka.

– Ja? Nie. Boże, nie! – Chociaż tak naprawdę, może w dziesięciu procentach jednak tak, pomyślała Frances. Ale to nieodpowiedni moment na testowanie ich świeżo zawartego przymierza.

– Hm. Może powinnam ci opowiedzieć o jeszcze

jednym drobnym zdarzeniu, którego przez zaniedbanie nie opisałam w swojej książce. – Augusta uniosła w stronę barmana pusty kieliszek i dwa palce drugiej dłoni. – Pod koniec tego wieczoru ayahuaski, a w każdym razie jakoś tak w ciągu następnego tygodnia... – Zmarszczyła brwi. – A na pewno w ciągu dwóch następnych. To nie tak, że prowadziłam ścisły kalendarz. – Postawiła kołnierz płaszcza w taki sposób, że otaczał jej twarz niczym elżbietańska kreza. – Poza tym pozwoliłam biednej Almie siedzieć w tej obrzydliwej kafejce. Po prostu się tam nie pokazałam. Ale korsykańscy gangsterzy są prawdziwi. Zakochali się w Almie, kiedy odkryli, że zagrała kiedyś żonę gliniarza w *The Sweeney*. Zaproponowali jej, że pójdą i wyciągną mnie z tego mieszkania, nawet jeśli będę wrzeszczeć i kopać. Wyjaśnili, że brakuje mi w życiu mężczyzny, który by mi mówił, co mam robić. – Barman podszedł i postawił przed nimi świeże kieliszki. Augusta przechyliła pierwszy jednym haustem. – Nie zdawali sobie sprawy, że miałam ich już zbyt wielu.

Może właśnie tak człowiek się czuje po halucynogenach, pomyślała Frances. Siedziała na stacji kolejowej i piła szampana w towarzystwie kobiety, która jeszcze niedawno chętnie by ją zamordowała, a teraz proponowała jej współpracę. Świat obracał się zdecydowanie zbyt szybko.

Splaszczony elektroniczny głos zapowiedział, po francusku i angielsku, że Eurostar do Brukseli

o dwunastej pięćdziesiąt siedem niedługo odjedzie z peronu numer jeden. Kolejny głos, męski i szorstki, przypomniał pasażerom, żeby ani na chwilę nie spuszczały bagażu z oka i zgłaszali obsłudze wszelkie podejrzanе działania. Kilka stóp od miejsca, gdzie siedziały, pociąg wydał z siebie przyciszony syk.

Augusta sięgnęła do torebki i wyjęła z niej mały biały listek tabletek. Pomalowanym na ciemny odcień paznokciem wycisnęła dwie pigułki. Widząc spojrzenie Frances, przechyliła głowę.

– To tylko kodeina. Och, na litość boską, kupuje się je w drogeriach Bootsa.

– Wolno je mieszać... no wiesz, z alkoholem?

– To szampan. – Tym razem Augusta odrzuciła głowę w tył wyćwiczonym gestem. – Żaden alkohol. – Zamknęła oczy i zwróciła twarz w stronę słabego, zimowego światła sączącego się przez szklane sklepienie nad ich głowami. Frances nie mogła oderwać od niej wzroku: blada twarz, skóra leciuteńko obwisająca na kościach, zamaszysty rysunek brwi i rzęs, delikatna siateczka zmarszczek w kącikach oczu. Niektóre twarze, niektóre pozy mewają w sobie coś niesłychanie hipnotyzującego... – Nudzisz się, Frances? – odezwała się Augusta, nie otwierając oczu.

Frances drgnęła.

– Czy co?

– Czy się nudzisz, kochanie? Brakuje ci w życiu szwungu?

Słabe światło padające od strony kopuły nie dawało żadnego ciepła. Frances była przemarznięta na kość.

– Augusto, mieszkam w mieszkaniu o gabarytach pudełka na buty i nawet na nie mnie już nie stać. Straciłam ukochaną pracę. Moja jedyna rozrywka to obserwowanie, jak po przeciwnej stronie ulicy biją się pijacy. – Wzięła łyk szampana, smakując go powoli. – W tym momencie szwung to pojęcie równie mi bliskie co światło z odległej planety.

Augusta się roześmiała.

– Więc zastanowisz się nad moją propozycją?

Frances obserwowała pasażerów wsiadających na pokład Eurostar. Wybierali się do Brukseli, a jednak wydawali się szczęśliwi.

– Chcesz, żebym napisała szkic twojej nowej książki na temat pokonywania przeciwności losu.

– Tak. Chociaż zabraniam ci używać tego określenia.

– A potem mam napisać samą książkę?

Augusta wbiła w nią mordercze spojrzenie.

– Będziesz mi asystować przy przywoływaniu muzy.

– Świetnie, z muzami radzę sobie znakomicie. – Szampan dodawał Frances śmiałości. – Czy zostanę, no wiesz, jakoś wynagrodzona?

– Moja droga... – Augusta się nachyliła, a Frances poczuła, że te pulsujące brązowe ślepie ją hipnotyzują. – Zostaniesz szczerze wynagrodzona. Jest jeszcze jedna rzecz.

– Mm?

– Zaczniemy od Kalifornii.

Frances poczuła, jak grunt osuwa się spod jej stóp; ze zdumieniem skonstatowała, że to pociąg odjeżdża.

– Co takiego?

– Przyjęłam krótkie i wolne od kosztów własnych zlecenie w Żłotym Stanie. Na twojej rodzinnej ziemi i w zagłębiu outletów. Te ostatnie szczególnie mnie interesują. – Augusta rozczapierzyła dłoń, żeby przyjrzeć się paznokciom, leniwy gest, doskonale znany Frances z telewizji. – Wyobrażam sobie, że będziemy mogły zażyć wszelkich rozrywek dozwolonych prawem. Oczywiście mogłabyś być moją przewodniczką po sztuce snucia narracji. Ostatnim razem było to dość wyczerpujące.

Zerknęła na Frances z ukosa, wzrokiem, jakim kot obserwuje mysia dziurę. – Czy wspominałam, że hotel będzie za darmo? I że dostaniemy diety?

Frances pomyślała, że w towarzystwie Augusty zawsze czuła się jak jakieś żałosne zwierzę: królik magika, pies przewodnik, juczny muł. Kaczka na odstrzał.

Kalifornia. Nie była w domu od dwóch lat. Pomyślała o matce, samotnej przy boku ojca w tym wielkim jak ocean domu, doglądającej montażu rampy i windy dla wózka inwalidzkiego, i ogarnęło ją poczucie winy.

Kalifornia. Miejsce nowych początków. Wyobraziła sobie swoje nazwisko na okładce książki, a co najmniej gdzieś przy końcu, w podziękowaniach. Przebywanie

przez kilka dni w towarzystwie Augusty będzie nie do wytrzymania, ale może też okazać się pouczające. Potrzebowała sobie przypomnieć, jak żyć. Ledwie przecież przekroczyła trzydziestkę – była zbyt młoda, żeby się położyć i czekać na śmierć.

– Wchodzę w to.

Zdążyły się stuknąć kieliszkami, kiedy grupka młodych mężczyzn w obcisłych garniturach zajęła pobliski stolik, wnosząc ze sobą charakterystyczną bez troskę lunchu na koszt firmy. Jeden z nich, wysoki i ryży, uniósł dłoń i zawołał na kelnerkę francuszczyzną rodem z męskiej szkoły z internatem. Jego koledzy zarechotali. Kelnerka zeszywniała, przewróciła oczami i powoli podeszła.

Augusta spod przymkniętych powiek obserwowała ich stolik.

– Jak sądzisz, w jakim są wieku?

Frances zerknęła na nich.

– Nie wiem. Dość dorośli, żeby wiedzieć, że nie wypada zachowywać się niegrzecznie wobec ludzi zarabiających jedną dziesiątą tego, co oni.

– Dokładnie. Obawiam się, że dorastając, pozostawali pod jakimś bardzo złym wpływem. – Wydawało się, że coś jeszcze powie, ale zamilkła i zsunęła się z barowego stołka. – Idę do kibelka, kochanie. Zamów nam jeszcze jedną kolejkę, ale w żadnym wypadku nie oddalaj się od baru. Tam dalej grasują sukinsyny.

Frances i barman śledzili wzrokiem odchodzącą

postać, chwiejącą się lekko, jakby przechadzała się po pokładzie statku. Jeśli teraz wyjadę z Londynu, pomyślała Frances, zostawię tu wszystko, co zbudowałam. Porzucę szansę, żeby znaleźć pracę w ukochanym zawodzie, i człowieka, w którym siękocham. Potrząsnęła głową, jakby mogła w ten sposób pozbyć się natrętnych myśli. Czy można kochać kogoś, kogo nigdy się nie pocałowało?

Był taki wieczór w pubie, kiedy Stanley, zaskoczony, że Frances nigdy nie była w Paryżu, wśród okruchów chipsów na stole narysował jego mapę. „Tam jest kościół świętego Sulpicjusza, musisz go zobaczyć”, powiedział, przyciskając jej palec wskazujący do centralnego punktu okruchowej górki. „Pokażę ci go”. – Zdmuchnął drobinki z czubka palca Frances, zaczerwienił się i niepewnym krokiem ruszył do baru.

Teraz już nigdy nie zobaczę Paryża, pomyślała. Ale może nie potrzebuję Paryża ani Londynu. Może po prostu potrzebuję domu.

Augusta wsunęła się z powrotem na stołek.

– Nie bez powodu chciałam z tobą pomówić o fragmencie książki, w którym pojawia się szaman... – Jej oburzony wzrok spoczął na wciąż pustym kieliszku. Uniosła dłoń w stronę barmana i nie patrząc na Frances, powiedziała do niej: – Kochanie, jeśli mamy podróżować razem, będziesz musiała wyzbyć się tej amatorszczyzny.

– To znaczy mam sprawniej zamawiać drinki?

Augusta się zaśmiała.

– To jest rodzaj sztuki. Kiedy masz jeden kieliszek w dłoni, drugi powinien już czekać na barze. Kenneth miał do tego dryg. No cóż, każdy musi mieć jakiś talent.

– Kenneth? – mruknęła Frances. Wypiła już trzy kieliszki szampana na pusty żołądek. Próbowwała nie zastanawiać się nad tym, kto za nie zapłaci.

– Spróbuj za mną nadażać. Kenneth był tam tamtej nocy. Nocy ayahuaski. Możliwe też, że przez parę kolejnych, tego nie jestem pewna. Tych parę dni... No cóż, w moim życiu to był moment definiujący. Niestety przy okazji te dni jakoś kompletnie zatarły się w mojej pamięci.

– Kenneth? – powtórzyła Frances głupawo. Spojrzenie Augusty uświadomiło jej, że w najbliższej przyszłości może usłyszeć nieco ostrzych słów.

– Kenneth Deller – wycodziła powoli jej towarzyszka.
– Mówiłam ci o nim, kiedy spotkałyśmy się po raz pierwszy. Jest reporterem, a przynajmniej był nim, kiedy się poznaliśmy. Ale co ważniejsze dla tej historii, był też jak rzep. Rzep na psim ogonie mojego życia.

– Och... – westchnęła Frances, jakby we mgle pojawiła się klarowniejsza luka. – Nie chciałaś o nim pisać w swojej książce.

– No cóż. Istotnie. – Augusta wyjęła z torebki paczkę papierosów i srebrną zapalniczkę w kształcie małego pistoletu. Zaczęła kręcić nią kółka na blacie.

– Chcesz mi powiedzieć – Frances zniżyła głos – że

on był tam tej nocy, kiedy został poczęty twój syn? Że jest jego ojcem?

– Nigdy niczego takiego nie powiedziałam. – Augusta gwałtownie obróciła się w jej stronę. – Dlaczego tak sądzisz? Co takiego słyszałaś?

– Co ja...? – Frances pokręciła głową. Czy to wszystko miałyby więcej sensu, gdyby była trzeźwiejsza? – Augusto, nie rozumiem. O czym my tu rozmawiamy?

Dwie młode i rozgadane kobiety podeszły do baru i usiadły obok nich, pod stopami ustawiając torby z zakupami. Augusta skinęła na Frances, a gdy ta nachyliła się bliżej, powiedziała:

– To prawda, że nie wspomniałam o nim w książce, ale jak się okazuje, on teraz pisze własną. Bardzo bym chciała wiedzieć, co w niej wypisuje o mnie. Jakie kłamstwa. – Z bliska jej ciemne tęczówki zawierały z tuzin odcieni – brązu, bursztynu i fioletu. Nic dziwnego, że mężczyźni tonęli w tych oczach, pomyślała Frances. Kobra w koszyku zaklinacza węży. Mucha w pajęczej sieci. Augusta wyjęła papierosa z paczki i niepewną dłonią nacisnęła spust pistolecika. Z lufy wystrzelił mały płomyk. – Widzisz, jemu się wydaje, że mnie zna. Że rozumie pewne rzeczy, które nastąpiły. – Wydmuchnęła smugę dymu. – Ale nie rozumie...

Frances pomyślała, że znów ziemia kołysze się pod nią, ale to tylko kolejny pociąg Eurostar zatrzymał

się z hałasem obok nich. Barman pośpieszył w ich stronę, w panice wymachując rękami.

– Augusto – odezwała się Frances, najspokojniej jak mogła. – Czy my jedziemy do Kalifornii po to, żebym pomogła ci napisać szkic nowej książki...

– Oczywiście, że tak, kochanie.

– ...czy może jedziemy tam, bo chcesz, żebyśmy zaczęły szpiegować tego, jak mu tam, Kennetha?

W tym samym momencie barman zawołał:

– Proszę to zgasić! Proszę pani, tu nie wolno palić!

Augusta zaciągnęła się mocno po raz ostatni, wrzuciła papierosa do kieliszka i patrzyła, jak gaśnie z sykiem.

– Od siedmiu lat nie zamieniłam ani słowa z synem.

Owca na rzeź.

Rozdział 16

Kiedy ludzie pytali, czemu nie wyjedzie z Los Angeles, odpowiadał: gdzie indziej można obejrzyć film na cmentarzu pełnym gwiazd filmowych? Na murze mauzoleum Abbey of the Psalms był rok 1944, a dwaj mężczyźni zakochali się w duchu.

Film nosił tytuł *Laura*, a ducha grała Gene Tierney i oczywiście wcale nie była martwa. Kiedy pojawiła się niczym rzeźba wykonana ze światła, widownia na trawniku cmentarza Hollywood Forever drgnęła. Czy istniała kiedyś piękniejsza kobieta? Nawet Kenneth, który *Laurę* widział kilkanaście razy, odetchnął i nieco głębiej oparł głowę na splecionych rękach.

Charlesa film nie poruszył. Siedział, przygarbiony, podpierając podbródek dłońmi, i obserwował, jak Laura omotuje swoją ofiarę. Pokręcił głową, kiedy finalny monolog zabrzmiał ponad milczącym tłumem: „Miłość jest silniejsza niż życie. Sięga poza ciemny cień śmierci...”.

– Co za brednie – powiedział na tyle głośno, że młode kobiety na sąsiednim kocu spojrzały na niego z gniewem, nagle zawstydzone własnymi łzami.

Zerkały na niego gniewnie też dwadzieścia minut później, kiedy film się skończył. Charles chował resztki

kolacji do kosza piknikowego, przecierając każdy widelec, zanim umieścił go w odpowiedniej przegródce. Kenneth wlał do plastikowego kubka resztkę białego rioja. Było nieco ciepławe, ale nadal dało się je pić.

– Następny będzie przy krypcie Valentino, jeśli masz ochotę się wybrać – powiedział Charles.

Ludzie wokół nich składali koce, starsze pary małżeńskie sprzeczały się dobrodusznie o to, gdzie zostawiły samochód, młodzi mężczyźni rozcierali ramiona swoich dziewczyn.

Kenneth zeszkrobał resztkę sera Reblochon z woskowanego papieru i rozsmarował na krakersie. Nie smakował tak dobrze, jak biskwity firmy Carr. Rzeczy, których nam brakuje poza domem... Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale nie dobył z nich słowa.

– Ken – odezwał się Charles. – Mucha ci zaraz wpadnie. Cały wieczór dziwnie się zachowujesz.

Starszy mężczyzna rozprostował jedną nogę, a potem drugą. Kolana trzaskały mu jak gałęzie w ognisku.

– Możemy mieć gościa – powiedział wreszcie. – Augusta przyjeżdża do Los Angeles. Jakiś konwent fanów. Wczoraj widziałem Google Alert.

Charles nie podnosił wzroku znad kosza piknikowego.

– A więc nadal śledzisz ją w sieci.

Ken zmarszczył brwi.

– Nie śledzę. Interesuję się z odpowiedniego dystansu.

– Kontaktowała się z tobą?

Śmiech Kennetha zagroził guzikowi jego spodni.

– Trudno to nazwać kontaktem. O ile pamiętam, ostatnie, co od niej usłyszałem, to „ty zdrażliwa pizdo”. Był jeszcze ten moment, kiedy usiłowała odciąć mi palec.

– No cóż. Zawsze była nieco sentymentalna. – W uśmiechu Charlie pokazywał nieco wilcze kły. Skąd on ma te zęby?, zastanowił się Ken po raz tysięczny. Nikt inny w mojej rodzinie takich nie ma. Za to uszy to już typowy dopust Dellerów, biedny chłopak.

– Zastanawiałem się, czy ona nie zajrzy do twojej księgarni – powiedział. – No wiesz, zerknąć na swoje wspomnienia. – Ostatnie słowo ujął palcami w cudzysłów, ale zastygł z dłońmi w połowie gestu, kiedy dotarło do niego, jak idiotycznie musi to wyglądać.

– Ta książka to sterta łajna – powiedział chłopak ostrym tonem. Stojący w pobliżu pracownik ochrony popatrzył na nich uważnie. – Ona sama to sterta łajna. W głowie mi się nie mieści, że to do ciebie nie dociera. Bo przecież nadal znajdujesz dla niej usprawiedliwienia, prawda?

Być może tylko to potrafię, pomyślał Kenneth. Odchylił głowę. W górze nie było gwiazd, tylko ta mleczna katarakta, od której niebo się jarzyło. Zupełnie inaczej niż w czasie czarnych londyńskich nocy, kiedy zmrok zaczynał zapadać niemal zaraz po tym, jak człowiek skończył lunch.

Przypomni ł sobie, jak jechał samochodem, uwi ziony pomi dzy zasypanymi  niegiem  ywopłotami, a Augusta, irytuj co milcz ca, siedziała obok niego. Jechał zbyt szybko, szybciej ni  powinien, bo byli sp zniejsi, jak zwykle. U miech dyrektora szkoły chłodniał o kilka stopni za ka dym razem, kiedy sp zniali si  na koncert, w kt rym wyst pował Charlie. Po pierwszej wizycie, kiedy wpisał słowo „opiekun” na szkolnym formularzu odwiedzin, ju  nigdy nie padło pytanie o charakter jego zwi zku z August  i Charliem. Inni chłopczy na pewno dokuczali małemu z tego powodu: Co sprawia,  e Charlie to bezpański pies? Ma suk  za matk  i zielonego pojęcia, kim jest ojciec.

Kiedy weszli do auli, zdyszani po szybkim marszu wzdłu  boiska do rugby i biblioteki oraz zalatuj cej kapust  jadalni, szkolna orkiestra siedziała ju  na swoich miejscach. Chłopczy wiercili si , chichotali i szurali krzesłami. Wszyscy poza Charliem, kt ry przeszukiwał wzrokiem tłum. Kiedy ich zobaczył, wyraźnie si  odpr żył i przył żył tr bk  do ust.

Augusta ignorowała spojrzenia innych rodziców, ale Kenneth wiedział,  e jest napi ta niczym struna skrzypiec,  e uwa nie nasłuchuje ka dego westchnienia i szeptu. Zawsze stanowili obiekt zainteresowań, bo nikt nie umiał do końca rozgry ć natury ich relacji – najmniej potrafił to sam Kenneth.

Jej milczenie w trakcie jazdy było złą wr żb . Obserwował j , gdy rozejrzała si  po zgromadzonych

i zatrzymała wzrok na chłopcu z klasy Charliego, siedzącym kilka rzędów przed nimi, z nogami wyciągniętymi w poprzek przejścia. Miał zbuntowaną minę kandydata na młodocianego przestępcę. Chłopiec obejrzał się i pochwyciwszy spojrzenie Augusty, uśmiechnął się znacząco. Potem dostrzegł Kennetha i przygarbił się, przestraszony.

Nerwowość Augusty udzielała się Kennethowi. Położył dłoń na jej ramieniu uspokajającym gestem i powiedział: „Charlie chyba usiłuje się przywitać”.

Augusta oderwała wzrok od małego oprycha, żeby uśmiechnąć się i pomachać ręką do syna. Buzia Charliego pojaśniała od szerokiego uśmiechu. Kiedy światła przygasły, Kenneth szepnął do Augusty, żeby zamienili się miejscami. W ten sposób, siedząc za potężnym bankierem z rzędu przed nimi, byłaby ukryta przed niespokojnym spojrzeniem Charliego, gdyby zdarzyło jej się zdrzemnąć. A także poza zasięgiem wzroku tego małego punka o świecących oczach.

Po dwóch kolędach zaczął marzyć, żeby przysnęła. Zamiast tego wierciła się, pokasływała i wzdychała głośno za każdym razem, kiedy dyrektor przemawiał między utworami, rozwodząc się o ekumenicznej naturze świąt – radosnej chwili, podkreślonej braterstwem wszystkich uczniów, czy to Hindusów, czy Żydów, czy Muzułmanów, czy wyznających „wierzenia alternatywne”. Augusta nie zdołała ukryć śmiechu

za rozpostartą dłonią.

Kiedy wybrzmiała ostatnia nuta przed przerwą – nierówny początek przerodził się w całkowicie zadowolające wykonanie *Tej świętej nocy* – Augusta poderwała się na nogi, zanim Kenneth zdążył ją powstrzymać. Sięgnął ręką, by złapać ją za rękaw, ale w dłoni został mu tylko jej płaszcz, sucha i pusta poczwarka. Czasami mam ochotę cię zabić, pomyślał, patrząc, jak podchodzi nieśpiesznie do tamtego gburowatego chłopaka, stuka go w ramię i wskazuje ręką w stronę wyjścia.

Charlie zszedł ze sceny z trąbką w ręku. Podszedł do Kena, bezskutecznie rozglądając się po sali.

„Cześć, mały”, powiedział Kenneth, bezceremonialnie i serdecznie. Wokół nich chłopcy tonęli w wyperfumowanych objęciach matek, wśród żartobliwych gratulacji ojców. „Twoja mama wyszła chyba do kibelka”.

Charlie się nie odezwał, ale jego mina mówiła jedno: Przestań pieprzyć.

Po kwadransie Augusta wróciła. Patrzyli, jak maszeruje z werwą środkowym przejściem, kładąc po drodze dłoń na ramionach tych nielicznych rodziców, których znała, machając do innych. Potarła czubek nosa, zaczerwieniony i podrażniony, bynajmniej nie od kataru, co nie umknęło uwadze Kennetha. Rozradowanie na jej twarzy było równie znajome, jak poprzedzające je głębokie milczenie – i równie niepokojące. Z jasnymi

oczyma i ustami świeżo pociągniętymi szminką podeszła do Charliego i wzięła go w ramiona. Zdążył ją przerosnąć o pół głowy. W pierwszej chwili zeszywniał w jej uścisku, a potem, jakby mu ktoś poprzecinał sznurki, oparł się o nią, kładąc głowę na jej ramieniu.

„Mamy tu młodego geniusza”, odezwała się Augusta, nieco niewyraźnie. „Nie mogłam uwierzyć, że to ty. Ukrywałeś swoje talenty, mały! Mój malutki Miles Davis”.

„Nie chcę być Milesem Davisem”, mruknął chłopiec.

„Nie, no oczywiście, że nie, kochanie. Spójrz tylko, jak ten gość skończył. No, ale jeśli chciałbyś zacząć grać na innym instrumencie, póki twój mózg jest jeszcze elastyczny, mógłbyś zostać Steviem Wonderem...” – Światła przygasały, a ona nadal paplała.

Łagodnie, a przynajmniej bez widocznego użycia siły, Kenneth pociągnął ją na krzesło. Odsunęła się od niego i wzięła do ręki płaszcz. „Nie wytrzymam bez dymka. Wymknę się na chwileczkę”. Położyła dłoń na policzku syna. Na scenie skrzypkowie stroili instrumenty. „Nie martw się, kochany. Wrócę posłuchać, jak fałszujesz *Cichą noc*.”

Z tymi słowami odeszła. Mężczyzna i chłopak odprowadzili ją wzrokiem, nie wiedząc, co powiedzieć.

Prywatna szkoła dla chłopców w Sussex wcale nie leży tak daleko od cmentarza w Hollywood, pomyślał Kenneth, patrząc, jak ochroniarz przykuca i świeci latarką pod idealnie przystrzyżonym bukszpanowym

żywoplotem. Trawniki koszone z milimetrową precyzją. Rodziny przymuszane do corocznych odwiedzin. Profesjonalnie ponurzy pracownicy zatrudniani do prowadzenia instytucji.

Charles w jakiś sposób zdołał to wszystko przetrwać, szczupły i pełen wdzięku. I rezerwy, zupełnie inaczej niż Kenneth. Zupełnie inaczej niż oni oboje.

– Kiedy ostatni raz byłeś na randce, dzieciaku? – zapytał. – Jesteś rzadkim towarem. Hetero, w miarę atrakcyjny i nie palisz cracku.

Chłopak pokręcił głową.

– Ken, a to mnie zażyłeś.

Zażyłeś. Bywał czasem strasznie amerykański.

– Nie, no pytam serio.

– Daj spokój. Powiedz lepiej, kiedy ty ostatni raz byłeś na randce?

– Wiesz, że nie chodzę na randki. – Kenneth wyszarpał kosz piknikowy z rąk chłopaka. Na dnie znalazł trzy ostatnie winogrona, które od razu zjadł. „Marnotrawstwo to grzech, który zapomnieli ująć w Biblii”, lubiła mawiać jego matka. – To ryzyko zawodowe – podjął, oddając Charliemu kosz. – Ilu znasz kucharzy, którzy lubią gotować w domu? Lekarzy, którzy operują bliskich na stoliku kawowym?

Chłopak nawet nie próbował ukrywać szyderstwa w swoim głosie:

– Doprawdy, Ken? Dlatego właśnie z nikim się nie umawiasz?

Kenneth miał ochotę położyć mu dłoń na ramieniu, tak jak zrobiłby to wiele lat temu, po kolejnej niedotrzymanej obietnicy, po kolejnych świątecznych feriach spędzonych samotnie w mieszkaniu. Kocham cię za dziesięciu ludzi, pomyślał. Szkoda, że nie mam dwudziestu ramion, aby cię objąć. Ale to nie wystarczy.

– Obawiam się, że nas skrzywdziła – powiedział, starając się przybrać lekki ton.

Chłopak wreszcie się obrócił, by na niego spojrzeć. Pewnie to reflektory porozmieszczane wśród krzewów sprawiły, że jego oczy błyszczały tak mocno.

– Nie jesteśmy skrzywdzeni – powiedział. – Mamy siebie.

Rozdział 17

Na Heathrow dojechały trzy godziny przed odlotem, a jednak Augusta zdążyła w tym czasie zawiadomić Frances, że tylko jedna z nich będzie podróżowała klasą biznes, oraz zawrzeć przyjaźń z pewnym japońskim eksporterem tuńczyków przy barze z kawiozem. Wypiła szybko, jeden po drugim, trzy kieliszki szampana i zostawiła faceta od tuńczyków z autografem, którego nie rozpoznawał, oraz rachunkiem na ponad sto funtów.

– Nasz lot – szepnęła Frances, ciągnąc ją za rękaw. – Już wywoływali nasz lot. Chodźmy.

Augusta odcisnęła nadmiar szminki na chusteczce i zsunęła się ze stołka.

– Jeszcze nie dotarliśmy na miejsce, a ty już dowodzisz, że jesteś aniołem skuteczności. – Objęła ramiona Frances. – Czy zdążyłam ci powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że wspólnie wyruszamy na tę małą przygodę? – Frances poczuła, że jej twarz zalewa ciepły rumieniec. Znow była przydatna, potrzebna do czegoś. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo brakowało jej podobnego uczucia. Odebrała jako oznakę zaufania fakt, że Augusta dała jej do niesienia swoją torbę, sama ruszając w stronę bramek. – Jest jeszcze tylko jedna sprawa – powiedziała Augusta, gdy stanęły na końcu

kolejki do odprawy. Gdzieś z przodu, pasażerów pierwszej klasy zapraszano do korzystania z udogodnień Systemu Szybkiego Boardingu. O wiele dłuższa kolejka, wijąca się jak poirytowany wąż, tworzyła się przy sąsiedniej bramce. Pasażerowie o ponurych minach ściskali w jednej dłoni buty, a w drugiej środki higieny osobistej. – Taki niewielki problem – dodała i chwytając dłoń Frances, wcisnęła w nią małą plastikową fiolkę. Nie było na niej naklejki. Pod zabezpieczoną przed dziećmi nakrętką grzechotało kilkanaście romboidalnych, białych tabletek. Frances patrzyła na pojemnik jak sparaliżowana, dopóki nie wyczuła za plecami palącego oddechu niecierpliwości następnej osoby w kolejce. – Idź dalej, jakby nigdy nic – poleciła Augusta szeptem. – Po prostu włóż je do swojej torby. Ty nie będziesz miała problemu, żeby z nimi przejść. A mnie lubią przeszukiwać. Obawiam się, że ciągnie ich do moich cycków, chociaż mogą to być też resztki wpływu pewnej... No cóż, w dawnych czasach próbowałam nagiąć jedną czy dwie zasady.

Ściskając nadgarstek Frances jak w imadle, Augusta pchnęła ją naprzód.

– Co to za tabletki? – Frances wreszcie odzyskała głos.

– Nic nielegalnego, moja miła. Nic z tych rzeczy. Ja tylko... nie miałam na nie recepty. To po prostu... środki stabilizujące nastrój. – Para stojąca przed nimi przesunęła się do przodu i Augusta pociągnęła Frances

ich śladem. – Widzisz, jak latam, to trochę się denerwuję. To dlatego potrzebowałam drinka. Jeśli będą turbulencje albo usiądzie obok mnie ktoś nieodpowiedni... Mogę potrzebować czegoś natury medycznej.

– Nie! – Frances zaprotestowała głośniejszym głosem, niż zamierzała, i strażnik ochrony przydzielający pasażerom plastikowe torebki uważnie zerknął w ich stronę. – Nie, nie zrobię tego. – Ale Augusta już zdążyła zawrócić w stronę kolejki Szybkiego Boardingu, która w przyśpieszonym tempie zniknęła za bramką odprawy. Frances zdążyła ją złapać za łokieć i zatrzymać. – Augusto – syknęła – oni mnie nie przepuszczą. Ludzie zawsze wiedzą, kiedy kłamię.

Na te słowa Augusta obróciła się i obrzuciła ją krytycznym spojrzeniem od stóp do głów.

– Bardziej nieszkodliwie nie mogłabyś wyglądać. Przecież ty przypominasz jakiś cholerny święty opłatek – powiedziała, a potem postawiła swoją torbę na transporterze, zsunęła bransoletki z nadgarstków i przeszła, z dłońmi uniesionymi nad głową, przez bramkę wykrywacza metali.

W szklanej tafli rozdzielającej dwie grupy pasażerów Frances pochwyciła swoje odbicie: sweter barwy owsianki, spódnica barwy herbatnika, rajstopy w odcieniu pieczarki. Matka zawsze powtarzała, że bez to najlepszy sposób, by nie ubrudzić się w podróży.

Niecierpliwe szuranie stóp za plecami powiedziało

Frances, że musi się ruszyć albo zacznie ściągać na siebie uwagę. Jak najdyskretniej się dało, wsunęła dłoń do torebki, wrzuciła pigułki do bocznej kieszonki i zasunęła ją. Pęcherz groził jej samowolnym opróżnieniem. Miała wrażenie, że przestała oddychać. Strażnik z plastikowymi torbami nadal na nią patrzył. O mój Boże, pomyślała, oni są szkoleni do rozpoznawania szmuglerów narkotyków, a to przecież właśnie robię. Szmugluję narkotyki. A jeśli tam są psy? Czy psy potrafią wyczuć pigułki? O Boże, pójdę do więzienia. W Anglii. Wsadzą mnie do Wormwood Scrubs.

Przesuwała się zgodnie z leniwym rytmem kolejki. Położyła torebkę na plastikowej tacy i o mało nie wrzasnęła, kiedy strażniczka wymierzyła palec wskazujący w jej torbę na komputer.

– Przepraszam? – szepnęła Frances.

– Laptop, kochaniutka – powiedziała kobieta. Wyglądała tak, jakby wykonywała swój zawód od czasów, gdy po niebie z rykiem przelatywały samoloty Luftwaffe. – Proszę położyć laptop.

Frances czuła, jak pomiędzy łopatkami cieknie jej strużka potu. Patrzyła, jak jej torba przesuwana się w stronę czarnej jaskini, gdzie miała zostać prześwietlona. Nagle zatrzymała się i z elektronicznym brzęczykiem cofnęła razem z taśmociągami, a potem znów zanurzyła się w odmęty czarnej jamy.

Spocone uda Frances lepiły się do siebie. Ocknęła się

z bezruchu dopiero wtedy, kiedy jakieś dziecko dźgnęło ją w plecy stopą lalki Barbie. Po drugiej stronie detektora metali stał strażnik i wzywał ją niecierpliwym gestem. Przeszła i nic się nie stało. Poczowała, że nogi uginają się pod nią z ulgi. Może jednak wszystko dobrze się skończy.

– Czy to pani torebka, kochaniutka? – Weteranka z czasów drugiej wojny światowej zerknęła na nią znad oprawek okularów.

Łapała już grubsze ryby niż ja, pomyślała Frances. Setki przestępców wysłała za kratki.

– Tak, moja – szepnęła.

– Mmm. Mogę ją otworzyć?

Chwilowa brawura znów ustąpiła pola panice. Frances próbowała jakoś ogarnąć galopujące myśli: Nigdy ich wcześniej nie widziałam. To nie moje. Skąd one się tu wzięły? Mantra narkotykowego kuriera.

Wiedźma pogrzebała przez chwilę w torbie i powiedziała:

– O, proszę. Właśnie to widziałam. – Frances uchwyciła się krawędzi stołu, świadoma, że ludzie wokół niej gapią się, zapinając buty i paski spodni. Zamknęła oczy. – Tak, to. Czy to należy do pani?

Gdy uniosła powieki, zobaczyła, że przeurocza starsza pani, z pytającym wyrazem na dobroduszej, poznaczonej wiekiem twarzy, trzyma w dłoni parę nożyczek do manicure. – Zdaje sobie pani sprawę, że to niedozwolony artykuł, prawda?

Kiedy Frances wreszcie osunęła się na siedzenie w samolocie, jej serce odgrywało *Lot trzmiela*. Z przymkniętymi oczyma spoconymi dłońmi ścisnęła paski torby. Po jednej stronie mężczyzna rozmiarów lodówki metodycznie rozprawiał się z paczką precelków, wbijając nieruchome spojrzenie w fotel przed sobą. Po drugiej maleńka starsza pani ubrana w sari trzymała na kolanach egzemplarz pisma „Hello!”. Podniosła wzrok znad artykułu o nowym programie utraty wagi księżnej Yorku i uśmiechnęła się z wielkim spokojem, a Frances poczuła, że część zdenerwowania ją opuszcza.

I tak w jej organizmie pozostawało jeszcze dość adrenaliny, żeby utłuc konia. Oddychaj, pomyślała, oddychaj. Jesteś już w samolocie. Za chwilę wzbijesz się w powietrze, potem dwa przesolone posiłki, parę kiepskich filmów i będziesz w domu. Dom. Na samą myśl puls znów zaczął jej dudnić w uszach.

– Za minutkę rozpoczniemy kołowanie na pas startowy – odezwał się pilot przez interkom. Poinformował też pasażerów, że w powietrzu spędzą dziesięć godzin.

Korytarzykiem pomiędzy rzędami foteli przeszła stewardesa, z twarzą zamienioną w maskę kabuki za pomocą cienia do powiek i szminki.

– Musi pani schować tę torbę pod siedzeniem przed sobą albo do szafki nad głową – poleciła.

Wolałabym cisnąć nią w Augustę, pomyślała Frances.

Wyjęła butelkę wody, muskając palcami zapiętą boczną kieszonkę, w której schowała fiolkę z tabletkami. Kiedy już będziemy w powietrzu, spuszczę je w toalecie.

Pochylając się, próbowała wepchnąć torbę pod siedzenie przed sobą. Niewyraźnie dotarło do niej chrząknięcie faceta gabarytów lodówki z miejsca obok, kiedy ramieniem trąciła go w kolano. Kusiło ją, żeby już zostać tu, na dole, wśród zapaszku skarpetek i dziwnego klekotania dobywającego się z wnętrza maszyny. To pragnienie wzmoгло się, kiedy usłyszała nad sobą głos:

– Kochanie, zdaje się, że masz coś mojego. – Augusta stała w przejściu, w satynowej bluzce z rozpiętymi górnymi guzikami.

Człowiek lodówka, uniósłszy rękę do ust, zagapił się na nią. Przechylając się nad nim, Augusta zawisła ledwie o cale od jego twarzy, plasując w polu jego widzenia fragment dekoltu, w którym czarna koronka łączyła się z kremową skórą.

Mężczyzna poruszył ustami.

– Kit Gallagher, nie?

Twarz Augusty z wyrazu furii przeszła w natychmiastowe zadowolenie.

– Kiedyś, owszem, obawiam się. Ale odeszła już do tego wielkiego niebiańskiego browaru. – Uniosła brew, zerknęła na Frances. – Moje rzeczy. Byłabyś tak dobra i odszukała je dla mnie?

Stewardesa, która szła przejściem i domykała górne

szafki, właśnie dotarła do nich.

– Powinna pani wracać na swoje miejsce.

Augusta wyprostowała się i zdobyła na swój najlepszy uśmiech.

– Chcę tylko wziąć coś od siedzącej tu przyjaciółki.

– Będzie pani musiała to zrobić, kiedy już znajdziemy się w powietrzu.

– To naprawdę potrwa jedną chwileczką.

– Proszę pani – odezwała się stewardesa, tracąc resztki zawodowej cierpliwości. – Za moment startujemy. Musi pani zająć swoje miejsce.

Zafascynowana Frances patrzyła, jak dwie pewne swojej władzy kobiety ścierają się wzrokiem. Nawet starsza pani w sari zamieniła sfabrykowane dramaty „Hello!” na perspektywę realnej pyskówki.

Augusta wreszcie wzięła głęboki oddech.

– Naturalnie, nie chciałabym nikomu sprawiać kłopotu.

Z pożegnalnym uśmiechem rzuconym sąsiadowi Frances, który z wrażenia upuścił kilka precelków na spodnie, zawróciła do kabiny pierwszej klasy.

Frances ocknęła się ze snu, gdy coś ciężkiego uderzyło ją w kostkę. Samolot przechylał się w prawo i jej torba wysunęła się spod przedniego siedzenia. Z cichym jękiem wyprostowała się i zauważyła, że

niektórzy pasażerowie również się budzą, bo samolot zaczął brykać i wierzgać. Póki co tylko ci bardziej nerwowi. Ludzie bojący się latania – a sama się do nich zaliczała – wyczuwali nawzajem swój strach. Niespokojne spojrzenia oczu okrągłych jak spodki spotykały się ponad oparciami siedzeń.

Łup. Samolot nagle podskoczył jak furgonetka zbyt szybko pokonująca wzniesienie.

– Ojej! – zawołał ktoś z przednich rzędów.

Po jednej stronie Frances starsza pani w sari schludnie spała, siedząc prościutko, wielkolud po drugiej nie odrywał wzroku od ekranu, na którym Jennifer Aniston poprawiała bikini.

Tym razem samolotem szarpnęło w tył, a potem nagle opadł z wyciem silników. Frances zamknęła oczy. Latanie jest wbrew naturze, pomyślała. Na ekranie wyświetlającym film z Jennifer Aniston nagle mignął napis „Uwaga!” i w kabinie odezwał się głos pilota:

– Witam państwa. Tu kapitan Hawkins z za sterów. Mamy przed sobą odcinek brzydkiej pogody, więc zwróciłem się o pozwolenie na lekkie zwiększenie pułapu. Niedługo powinno się wyrównać. Będę państwa informował na bieżąco.

Kiedy skończył, samolotem zatoczyło z boku na bok, jakby wpadł w poślizg na lodzie. Stewardesa, która ścieła się z Augustą, przeszła między fotelami i obdarzyła Frances pokrzepiającym uśmiechem.

Frances odpięła pas i wyciągnęła torbę spod

siedzenia. Wstając, o mało nie upadła na faceta lodówkę, bo samolot zatańczył. W toalecie przycisnęła policzek do zimnej ściany. Zbierało jej się na wymioty, ale to by się wiązało ze zbliżeniem twarzy do deski klozetowej, która połyskiwała wilgocią w przyćmionym świetle, a w dodatku do jednego z zawiasów przyczepił się kawałek mokrego papieru toaletowego. Samolotem znów zarzuciło i Frances poleciała na drzwi. Jej gardło ścisnął jęk paniki.

Podskoczyła, słysząc przez interkom głos stewardesy:

– Kapitan włączył znak zapięcia pasów, więc prosimy wszystkich o powrót na swoje miejsca.

Nie było czasu do namysłu. Sięgnęła do torby i wyjęła fiolkę od Augusty: tuzin białych pigułek o zaokrąglonych krawędziach, wielkości dwóch połączonych ziarenek ryżu. Na sytuacje awaryjne, powiedziała Augusta. No cóż, spadanie prosto w objęcia śmierci na zbocza Gór Skalistych to sytuacja zdecydowanie, kurwa, skrajnie awaryjna!

A co, jeśli wezmę jedną i okaże się, że mam alergię?, pomyślała Frances. Sapnęła i spojrzała na swoją białą twarz odbijającą się w lustrze. A jeśli wezmę jedną i się uzależnię? Zostanę lekomanką! Będę musiała iść na odwyk, a tata z mamą się dowiedzą, bo będą musieli za niego zapłacić...

Samolot ostro skręcił w prawo. Frances otworzyła wieczko fiołki i wysypała pigułki na dłoń. Ile? Dziesięć wrzuciła z powrotem do buteleczki, a dwie połknęła bez

popicia. Teraz już za późno. Trudno. Kiedy chowała buteleczkę z powrotem do torby, stewardesa zastukała do drzwi toalety:

– Proszę o powrót na miejsce.

Frances zabrała torbę i otworzyła drzwi. Wołała już umrzeć z powodu reakcji alergicznej niż w dymiącym wraku, gdzie tylko droga ortodontyczna zawartość szczęki będzie ją odróżniała od sąsiednich zwłok.

Po obu stronach przejścia pasażerowie dopinali swoje pasy, szeptali uspokajające słowa do dzieci, wylewali do kubeczków resztki wina z miniaturowych butelek. Kilkoro z nich nadal spało albo pracowało na laptopach, czemu Frances nie mogła się nadziwić.

Była już prawie przy swoim miejscu, kiedy przez ryk i postękiwanie silników samolotu przebił się odgłos odsuwanej zasłonki dzielącej jej przedział od pierwszej klasy. W przejściu stanęła Augusta. Na policzkach miała dwie wyraźne plamy rumieńca. Stewardesa za nią miała minę farmera, który postanowił zagonić do zagrody zbiegłego byka.

– Jasna cholera... – szepnęła Frances i przelazła przez człowieka lodówkę, godząc go łokciami i piętami w różne miękkie części ciała. Zdążyła zapiąć pasy, gdy Augusta chwiejnym krokiem ruszyła przez przejście. Na przodzie bluzki miała plamę od wina, niemal dokładnie w kształcie Afryki.

– Frances! – warknęła. – Słuchaj mnie, Frances! Poproszę moje rzeczy!

Stewardesa stała tuż za nią.

– Proszę pani, proszę natychmiast zająć miejsce.

– Ja tylko potrzebuję odebrać coś od przyjaciółki – powiedziała Augusta, uważnie dobierając słowa. – Skoro musi pani wiedzieć, chodzi o lekarstwo. Na pewną dolegliwość. Która mi doskwiera.

– Bardzo panią proszę. Dla pani własnego bezpieczeństwa.

– Przyszłabym po swoje rzeczy wcześniej, ale chyba przysnęłam.

Samolotem zarzuciło i Augusta z piskiem złapała się ramienia stewardesy.

– Zabieram panią z powrotem na miejsce – oświadczyła stanowczo stewardesa i zaczęła ciągnąć niesforną pasażerkę w stronę przedniej kabiny.

Coraz więcej ludzi zaczęło wyciągać szyje, szeptać między sobą i sięgać po telefony z kamerą.

Sąsiad Frances niespodziewanie szturchnął ją łokciem.

– A więc przyjaźni się pani z Kit Gallagher? Jak pani myśli, co się stanie, jeśli wdadzą się w bójkę ze stewardesą? Może pozdzierają z siebie ciuchy?

Augusta strąciła dłoń stewardesy, a przy okazji zrzuciła jakiemuś panu z głowy okulary do czytania. –

Wróć na swoje miejsce – zapowiedziała – kiedy już będę miała to, czego potrzebuję.

– Proszę pani – powiedziała stewardesa głosem wytrenowanym w trakcie szkoleń z radzenia sobie

z trudnymi pasażerami. – Powtórzę to jeszcze tylko raz. Stanowi pani zagrożenie dla siebie i bezpieczeństwa tego lotu. Proszę wrócić na miejsce.

Koleżanki z załogi zaczęły schodzić się na pomoc, otaczając Augustę wianuszkami niczym psy pasterskie. Jedna z nich dzierżyła w dłoni garść plastikowych opasek do unieruchamiania.

Augusta wyciągnęła rękę, by złożyć autograf na ramieniu jakiegoś mężczyzny, chociaż sądząc z jego przerażonej miny, wcale o to nie prosił. Samolotem zarzuciło ponownie, a ona osunęła się ze śmiechem na kolana tego człowieka.

– Na litość boską, kochany! – Frances usłyszała jej pisk. – Jest pan całkiem niezłe wytapicerowany.

– Dość tego. – Stewardesa sięgnęła do ramienia Augusty.

– Zabieraj łapska, ty wściekła suko! – Głos Augusty był nieco zduszony, bo głowę miała wtuloną w brzuch mężczyzny, za to butami o ostrych czubkach kopała we wszystko, czego mogła dosięgnąć. – Znam swoje prawa! Jestem obywatelką brytyjską! Chcecie po prostu pomacać moje... – Słowa ucichły, gdy kolejne stewardesy zacisnęły wokół niej ochronny krąg. – Weź te ręce... Zaskarżę... Trzeźwa jak świnia, mówię wam, trzeźwa jak świnia!

– Panno Bleeker? Proszę pani?

Frances z wielkim trudem otworzyła oczy. Przed nią,

zaplótnszy ramiona na wydatnym torsie, stał funkcjonariusz policji. Czy to ten sam, który eskortował ją obok wszystkich pasażerów gapiących się z otwartymi ustami? Spoglądała na niego poprzez zasłonę mgły, nic w tej chwili nie wydawało się jasne.

– Tak – udało jej się wykrztusić. Czy najadła się masła orzechowego? Ledwie mogła przepchnąć słowa przez lepiałe się wargi. Zakaszła i wyprostowała się na plastikowym krzeselku. – Tak, panie władzo.

W szczelinie pomiędzy jego klatką a napakowanym bicipsem tkwiła złota plakietka. „Funkcjonariusz policji”, głosiła purpurowymi literami ponad słowami: „Służby lotniskowe”. Na mundurze, nad odznaką, miał wyhaftowane słowo „LAX”. Jaki znów LAX? Pamiętała mocny chwyt jego ręki. Och! Chmury w jej umyśle na moment rozstały się i przypomniała sobie, gdzie się znajduje. W domu.

– Chciałem to pani zwrócić. – Funkcjonariusz wręczył jej torbę, którą przez całe to zamieszanie zostawiła w samolocie.

Frances wyciągnęła rękę, ale w jej mózgu coś nie stykało i torby nie było tam, gdzie miała być. Przez moment chwyciła palcami powietrze, aż policjant westchnął i postawił torbę na jej kolanach. Od ściany za jego głową odklejał się napis: „Prosimy wspomagać policję międzynarodowego lotniska w Los Angeles w jej działaniach. Brak uprzejmości i obrażanie funkcjonariuszy nie będą tolerowane”.

Zachichotała. Śmiech zdawał się dobiegać z bardzo daleka.

– Dziękuję panu – odezwała się ostrożnie. – Czy mogę sobie kiść? Znaczy... iść? Z moją przyjaciółką?

– Mój kolega nadal przepytuje pani znajomą. – Funkcjonariusz spojrzał na nią i zmarszczył brwi. Frances była przekonana, że jeszcze jakiś czas temu pogroziłby jej palcem albo i gorzej. – Zakłócanie lotu to poważne wykroczenie, zwłaszcza obecnie. To przestępstwo federalne.

– Absolutnie, oczywiście, jak najbardziej – potwierdziła i dodała słabo: – Rozumiem powagę sytuacji, panie władzo. Jestem Amerykanką. Brytyjczycy nie do końca pojmują nasze zasady.

Przyglądał jej się przez chwilę, a ona usiłowała rozetrzeć pozbawioną czucia twarz.

– Będę panią informował na bieżąco. A póki co, tam jest fontanna z wodą pitną.

Odczekała chwilę, nie do końca ufając własnym stopom. I słusznie, bo kiedy już się podniosła, jedna noga ugięła się pod nią i Frances klapnęła z powrotem na siedzenie z mało wdzięcznym łomotem. Gdy krzesło zaskrzypiało o linoleum, dwaj agenci, pochyleni nad jakimś wydrukiem, obejrzel się i popatrzyli na nią.

Frances znów zamknęła oczy, poddając się przemożnej potrzebie snu. Było coś niezwykłego w tym zapadaniu się w mrok, jakaś halucynacyjna właściwość, której nigdy wcześniej nie zaznała. Na samym skraju

świadomości zbierali się ludzie, którzy zawsze chcieli dla niej jak najlepiej: ojciec, matka, Stanley. Dziwne, ale Augusta też tam była i spoglądała na nią z troską.

Gdy na chwilę wybudziła się ze snu, zaczęła szukać torebki. Ześlizgnęła się z jej kolan na sąsiednie krzesło i tkwiła klinem pomiędzy nią a jakimś starszym panem w wiśniowym garniturze i rozpiętej koszuli, ukazującej gęstwinę siwych włosów na torsie. Obrócił się i zarzucając ramię na oparcie jej krzesła, zagaił:

– Jak leci?

Frances udało się powoli rozewrzeć powieki. Policjanci zniknęli z głębi holu. Nieco zaniepokojona, zdała sobie sprawę, że ten starszy człowiek w wiśniowym garniturze stoi przed nią.

– Chciałabyś iść ze mną na kawę, moja droga?

Czy ktoś nasypał jej piasku pod powieki, kiedy spała? Ile czasu minęło? Hol nadal pełen był słonecznego światła, wpadającego przez pokryte siatką okna.

– Nie trzeba, dziękuję – powiedziała nieco zachrypniętym głosem. – Chyba nie powinniśmy opuszczać tego... posterunku, czy jak to się nazywa.

Mężczyzna wzruszył ramionami i odszedł korytarzem. Frances rozejrzała się wokół. Nadal żadnego śladu Augusty ani tych dwóch policjantów, którzy wyprowadzili ją z samolotu. Chociaż tak naprawdę było jej wszystko jedno; otulał ją cudowny nastrój spokoju. Jakiś cichy głos w głębi umysłu

przekonywał, że powinna być wściekła na Augustę, ale dobiegał z daleka, jakby z innego pokoju.

Obok przeszła policjantka, eskortując gburowatego faceta w czapce bejsbolowej.

– Proszę pana, to nielegalne wjeżdżać na lotnisko z naładowaną bronią w samochodzie. – Mijając Frances, uniosła głos. – Ja to rozumiem, ale prawo nie czyni wyjątków dla prezentów urodzinowych.

– Bardzo proszę, młoda damo. – Pan w wiśniowym garniturze wrócił i pochylił się uprzejmie. – Wydawało mi się, że to się pani przyda.

Podał jej kubek wody, ciepłej i nieco mętnej. Frances poczuła znajome ukłucie pod powiekami. Kiedy wreszcie przestanie źle oceniać ludzi i płakać zawsze, ilekroć jej się to zdarzy?

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się do niego. – Bardzo pan miły.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł starszy pan z półukłonem. – Może zechce pani dać mi swój numer telefonu?

Frances westchnęła.

– Raczej nie.

Znów zamknęła oczy, ale już po chwili usłyszała drzwi otwierające się na końcu korytarza. W progu stanęła Augusta. Jej włosy tworzyły dziką chmurę, a plama po winie na lewej piersi przypominała krwawiącą ranę.

Frances oczekiwała Augusty pokorniejszej,

wyciszonej zmęczeniem, alkoholem i otarciem się o konflikt z amerykańskimi służbami bezpieczeństwa. Tymczasem jej towarzyszka promieniowała satysfakcją, jakby dopiero co przeczytała recenzje swojego ostatniego przedstawienia i wszystkie okazały się pochlebne. Za jej plecami jeden z funkcjonariuszy przecierał mocno podkrążone oczy.

Augusta podeszła do niej w asyście dwóch gliniarzy.

– Jak miło, że czekałaś. – Jakbym miała wybór, pomyślała Frances. – Gdy już wyjaśniłam agentowi Cruzowi – wskazała młodszego z dwóch policjantów – całe to nieporozumienie związane z moimi lekami, panowie okazali się niezwykle wyrozumiali.

– Twoimi lekami... – powtórzyła Frances.

– Moimi lekami na epilepsję. – Augusta pokiwała głową. – Byłam taka wytrącona z równowagi, kiedy wydało mi się, że zostawiłam je w domu. Być może wypłam przez to kieliszek wina więcej, niż powinnam. Dla uspokojenia nerwów.

– Oczywiście.

– A kiedy wyjaśniłam agentowi Cruzowi, że przyjechałam tu spotkać się z fanami mojego serialu... No cóż, okazuje się, że oglądał *Bank krwi*. W Internecie. – Obróciła się do młodszego z funkcjonariuszy i położyła mu dłoń na ramieniu. – Będę pamiętać, żeby podesłać panu komplet odcinków.

Widząc nachmurzoną minę swojego partnera, agent Cruz odchrząknął. Starszy agent spiorunował Augustę

wzrokiem znad okularów w półoprawkach.

– Panno Price, jest pani wolna, ale udzielamy pani ostrzeżenia. – Augusta potulnie pokiwała głową, a mężczyzna nachmurzył się jeszcze bardziej. – Tym razem. Wszystkie zakłócenia spokoju w federalnej przestrzeni powietrznej traktujemy bardzo, bardzo poważnie, niezależnie od tego, czy tworzą one zagrożenie dla bezpieczeństwa, czy nie. Linia lotnicza nadal będzie miała prawo zgłosić przeciwko pani formalne zarzuty w związku z pani szkalującymi uwagami na ich temat. – Augusta wbiła oczy w podłogę. – No dobrze. Mamy pani dane. Będziemy w kontakcie w razie dalszych postanowień.

Kiedy odeszli, Augusta przewróciła oczami i osunęła się ciężko na krzesło obok Frances.

– Dobry Boże, już rozumiem, czemu stąd wyjechałaś. Ci ludzie są tacy... nadgorliwi.

– Może to dlatego, że są urzędnikami państwowymi. – Frances miała wrażenie, że jej głos dobiega z głębokiej studni.

Augusta odchyliła się na krześle i rzuciła jej długie uważne spojrzenie.

– Ile wzięłaś?

– Dwie – odparła Frances. Nie miała siły na wymyślanie kłamstw.

Z gardła Augusty dobyło się ni to kaszlnięcie, ni to śmiech. Starszy pan w wiśniowym garniturze, nie wiedzieć czemu, dołączył do niej piskliwym rechotem.

– Cztery miligramy ativanu, a ty nadal jesteś przytomna! – Przewiesiła sobie przez ramię torbę Frances. – Może jednak to przeznaczenie nas ze sobą zetknęło.

Rozdział 18

Zasłona w kwiaty, którą rozwieszono w poprzek mieszkania, żeby rozdzielała walczących ze sobą przeciwników, była tak sprana, że stała się niemal przezroczysta. Jej widok przeniósł Dellerę czterdzieści lat wstecz, do kuchni babki, gdzie mokra lniana bielizna pościelowa schła udrapowana na stojaku w rogu, sztywna niczym karton.

Starsza kobieta siedząca po jednej stronie zasłony była jednak zupełnie innym człowiekiem niż jego babunia, która stanowiła uosobienie stoicyzmu, ponuro zaciskając wargi w obliczu zarówno radości, jak i smutku. Tak, babka Kena potrafiła w milczeniu cierpieć dla Wielkiej Brytanii. Myra Rosen, siedząca teraz na wprost niego, z oczami błyszczącymi pod ciężkimi powiekami podkreślonymi niebieskim cieniem, chyba nigdy nie przemilczała żadnej urazy.

– No więc go spytałam, skoro zamierzasz korzystać z łazienki wtedy, kiedy nie przypada twoja pora według harmonogramu – a ja rozumiem przecież, że takie rzeczy się zdarzają, nie jestem potworem – to, pytam go, czy mógłbyś chociaż w jakiś sposób mnie uprzedzić? Żebym może przeszła do sypialni i nie musiała patrzeć, jak łazi po mojej podłodze. – Pochyliła się nad stołem,

odsuwając na bok talerz ciasteczek z wiśniami, i dodała szeptem: – To ta jego prostytutka, wie pan, jak to bywa ze starszymi panami, wacek pierwszy zaczyna im szwankować...

– Słyszę cię! Uszy mi jeszcze, dzięki Bogu, działają!
– ryk niezadowolonia dobiegał zza zasłony.

Kenneth słyszał, że pan Rosen powłóczy stopami w kuchni, wydając operowy chór pojękiwań i westchnień w takt narracji żony.

Żony, z którą jest w separacji, poprawił się w myślach. Ale co to za separacja, skoro nadal dzielą mieszkanie, nawet jeśli nie żyją już ze sobą?

Do ściany przymocowana była korkowa tablica ogłoszeniowa. Na niej, w dziesięciminutowych odcinkach, precyzyjnie wyszczególnione były pory, w jakich Myrze wolno przebywać po męzowej stronie zasłony, żeby korzystać z kuchni, oraz kiedy jemu wolno przejść na jej terytorium, żeby ulżyć przepełnionemu pęcherzowi.

– No cóż – powiedział Kenneth z fałszywą beztroską – wygląda to trochę jak *Ich noce*.

Myra Rosen odsunęła się w tył tak gwałtownie, że jej złote kolczyki zadzwoniły perliście. – Sugeruje pan, że ten tam to Clark Gable? – Palcem dziabnęła w stronę zasłony.

W odpowiedzi dobiegł ich warkot:

– A facet w warzywniaku myli cię z Claudette Colbert?

– Może i kiedyś wyglądałam jak Claudette Colbert – powiedziała Myra, przeglądając się w wypolerowanym blacie stołu. – Póki pan wampir nie wyssał ze mnie resztek młodości.

– To dobry punkt wyjścia – szybko wtrącił Kenneth. – Proszę mi opowiedzieć od początku, jak to się zaczęło.

Nie powinien zerkać na zegarek, ale był świadomy upływającego czasu i tysiąca spraw, które zaprzętały jego umysł: Augusta w tym samym mieście, Charles udający, że to nic nie znaczy, i ostatni mail od wydawcy z pytaniem, jak ma się książka, utrzymany już w otwarcie agresywnym tonie.

– To było wtedy, kiedy usłyszałam pana w radiu – odparła Myra. – Rozmawiał pan z jakąś panią, której mąż to bezużyteczny wałkoń. – (Gorzki śmiech zza zasłony). – Pana rada dała mi do myślenia, więc poprosiłam sąsiadkę, żeby odszukała pana w cyberprzestrzeni.

– Nie to miałem na myśli – powiedział cierpliwie Kenneth. – Chodziło mi o państwa początki jako pary. Pani i pana Rosena.

– Och – westchnęła. – Naprawdę, to było tak dawno. – Jej spojrzenie straciło ostrość, jakby zatraciło się we wspomnieniach. Ken zauważył, że na ścianach nie ma żadnych rodzinnych fotografii, chyba że uznać za rodzinę Paula Robesona i Cesara Chaveza. – Moja kuzynka i ja wybrałyśmy się na spotkanie SPR na Long Beach...

– Chodzi jej o Socjalistyczną Partię Robotniczą – zawołał Martin Rosen.

– Wiem! – odkrzyknął Kenneth. – Jestem z Manchesteru!

– Tak czy inaczej – kontynuowała pani Rosen – zobaczyłam, jak spierał się z Benem Faberem w przeciwległym końcu sali. Stukał go palcem w pierś, o tak. – Nachyliła się, żeby stuknąć Kena szkarłatnym szponem. – Moja kuzynka była zdania, że Marty jest za niski, ale mnie się spodobało, w jaki sposób darł się na Fabera w związku z Węgrami. Więc to był chyba pięćdziesiąty szósty...

– To było później! – wrzasnął pan Rosen zza zasłony.

– To ja opowiadam! – odwrzasnęła kobieta i znów zwróciła się do Kena: – No więc porozmawiałam z nim, kiedy podszedł, chociaż wyraźnie był trockistą. Tym większa ze mnie idiotka.

– I kto to mówi! – Jakiś garnek huknął o kuchenkę. – Ty nigdy nawet nie wierzyłaś w rewolucję.

Podczas gdy oni sprzeczali się, która frakcja zdradziła proletariat pięćdziesiąt lat temu, Kenneth zerknął na zegarek. Potem rozejrzał się po mieszkaniu; czasami w nagromadzonych z biegiem lat gratach znajdowały się wskazówki co do korzeni małżeńskich nieporozumień. A czasami było tylko pełno śmieci.

– No dobrze, wystarczy, proszę państwa! – odezwał się, przekrzykując małżonków. – Ja tak w sumie nie jestem terapeutą. Ale uważam, że obojgu państwu

przydałaby się terapia. Naturalnie musielibyście wyjść z domu i udać się na nią razem.

– Za nic.

– Nigdy w życiu.

Od czego zacząć? Sięgnął po ciasteczko z wiśnią, już drugie podczas tej wizyty. Naprawdę nie powinien, ale były zaskakująco smaczne – a przeżuwanie zawsze pomagało mu myśleć. Strzepnął zabłakane okruszki z koszuli i podjął:

– Zwykle parom, które się do mnie zgłaszają, zadają pytanie, co chciałyby osiągnąć w czasie, który spędzimy razem.

Po drugiej stronie zasłony zapadła cisza. Pani Rosen popatrzyła na Kena, jakby plótł bzdury. Rozłożyła ręce w geście bezradności.

– Chcemy tego samego, co oferuje pan innym parom. Co twierdzi pan, że umie.

– Czyli...?

Teraz spoglądała na niego tak, jakby naprawdę zwariował.

– Na nowo rozpalić ogień namiętności, naturalnie.

Kenneth o mało nie zakrztusił się ciasteczkiem. Szybko wziął łyk kawy. Kredka wokół ciemnych oczu pani Rosen zaczynała się rozmazywać i z ciężkim sercem zrozumiał, że kobieta płacze. O ile jednak płacz nie deprymował Kena, to nie bardzo wiedział, jak podejść do sporów narosłych wokół podobnie zadawnionych urazów.

– Pani Rosen... – Nachylił się i ujął jej ciepłą, pomarszczoną dłoń, czując wagę licznych pierścionków. Potem zdobył się na ton przeznaczony do uspokajania roztrzęsionych panien młodych, tak cichy, żeby dobiegł tylko jej uszu: – Mogę być szczery? – Pokiwała głową, wargi jej drżały. Po drugiej stronie zasłony panowało wyczekujące milczenie. – W sercu waszego małżeństwa istnieją pewne... kwestie.

– Kwestie? – szepnęła.

– Tak, pani Rosen, pewne kwestie. Moim zdaniem potrzebują państwo pomocy poważniejszej niż ta, którą sam mogę zaoferować. Być może sposób na pchnięcie spraw do przodu – naprawdę był już w dziewięćdziesięciu procentach Amerykaninem – leży gdzieś w sferze profesjonalnej.

Pani Rosen się cofnęła, jej oczy spoglądały podejrzliwie.

– To pan nie jest profesjonalistą?

– Ja... – Zastanowił się przez moment. – Ja jestem kimś w rodzaju paramedyka, a nie kardiochirurgiem. Natomiast państwu może być potrzebna sala operacyjna.

Kobieta odchyliła się na oparcie krzesła i spojrzała w stronę zasłony rozdzielającej pomieszczenie.

– Chcę pana o coś spytać – zniżyła głos do szeptu. – Był pan zakochany?

Zawsze o to pytali. Czy był żonaty? Jak długo? Dlaczego nie? Wisiało nad nim piętno starokawalerstwa.

– Każdy był kiedyś zakochany, pani Rosen.

– Ale czy kochał pan tu – łupnęła się pięścią w klatkę piersiową, drugą ręką ściskając go za nadgarstek – tak, że aż bolało? Nawet jeśli wiedział pan, że nie powinien? I że tylko jedno z was jeszcze kocha... – Strumyczek łez zamienił się w rwącą rzekę.

– Co ty tam wygadujesz, Myra? – zawołał pan Rosen zza zasłony. – Dręczysz tego biednego człowieka?

Ale żadne z nich mu nie odpowiedziało. Siedzieli w milczeniu, patrząc sobie w oczy. W zapłakanej twarzy Myry Rosen Kenneth zobaczył swoje odbicie.

U stóp wzgórza pod apartamentowcem, w którym mieszkali państwo Rosen, znalazł jakąś ławkę przy krawężniku i opadł na nią ciężko. Reklama społeczna umieszczona na oparciu uświadamiała, że przypadki syfilisu mnożą się w zawrotnym tempie. Ktoś zamalował krocze jej bohatera – mężczyzny o ponurej twarzy – zielonym sprejem. Kto pozuje do reklamy syfilisu?, zastanawiał się Ken. Człowiek naprawdę musiał nie mieć co do garnka włożyć. To ten sam rodzaj desperacji, który popycha ludzi do porzucania w miarę udanej kariery w mediach po to, żeby zaczynać wszystko od nowa w jakimś absurdalnym zawodzie, z dala od domu.

Zrzucił z ramion marynarkę; koszula lepiała mu się do spoczonej klatki piersiowej. Nawet u progu zimy

słońce nie przestawało palić. W centrum niewielkich sklepików po drugiej stronie bulwaru la Cienaga, między Arby a 7-Eleven wcisnęła się mała siłownia. „Nie płacisz, póki nie stracisz”, zachęcał jaskrawożółty szyld na drzwiach. „Twoja strata, nasz zysk”. W żołądku mu zaburczało i Kenneth podźwignął się na nogi, by zejść ze wzgórza w stronę swojego samochodu.

Może po powrocie do domu zafunduje sobie nagrodę w postaci paru minut na YouTube. Tylko paru, nie więcej: oglądane zbyt często, filmiki stawały się banalne, traciły zdolność poruszania serca. Jeśli się uda, ograniczy się do poczytania na temat Augusty. Google Alert – ustawiony, by śledzić jej poczynania – sprawiał, że czuł się jak stary, brudny zboczeniec. Ale wstyd był słabszy od pragnienia. Szedł akurat do studia radiowego i bezmyślnie przeglądał maile, kiedy alert poinformował go, że Augusta przyjedzie do LA, żeby wystąpić na konwencji Fantasmagorii™. Musiał usiąść na minutę. Patrzył w ekran komórki z radością i niedowierzaniem.

Pewnego wieczoru, po paru godzinach nudnego przeszukiwania sieci, zapuszczając się coraz dalej i dalej w głąb internetowych bebeczków, niczym Tezeusz do wnętrza labiryntu, trafił na klip. Kliknąwszy w link, nagle znalazł się twarzą w twarz z młodą Augustą na rudo-brązowym planie talk-show *BBC West Country Now*. Wstrzymał oddech. Pamiętał każdy kwiatek na tej krótkiej tunicy, każdy nieprzyzwoity, gardłowy wybuch

śmiechu, zupełnie jakby tam był. Bo przecież kiedyś tam był.

W tamtych dniach dumę udawało mu się jakoś stłamsić. Kiedy zadzwoniła po całych tygodniach milczenia, żeby poprosić o podwiezienie do Bristolu, nie wypowiedział na głos pierwszej myśli, która przyszła mu do głowy: „A odwal się. Gdzieś ty niby była? Niektórzy z nas muszą pracować, ty leniwa krowo”. Zamiast tego zapytał, skąd ma ją odebrać.

W tamtych dniach, zanim urodziła Charlesa, usposobienie miewała w miarę pogodne, póki wiedziała, że na pewno czeka ją jakaś przyjemność. Po drodze zatrzymali się na Notting Hill i Ken wyskoczył na chwilę z samochodu, żeby odebrać dla niej małą paczuszkę od naburmuszonego typa w warzywniaku na Lancaster Road. Siedziała z jedną nogą zadartą do góry, przy otwartym oknie. Powiew wiatru unosił jej króciutką, roztańczoną sukienkę w taki sposób, że parę razy omal nie zjechał do rowu.

Jedną dłonią nurkowała w niewielkiej papierowej torebce, a drugą od czasu do czasu mierzwiła mu włosy – ale nie dość często, nigdy nie dość często. Mimo to, pomyślał, może, może... W pewnej chwili sięgnęła i przytknęła do jego warg coś gładkiego i okrągłego, a on otworzył usta, nie dbając o to, co za chwilę będzie krążyć w jego organizmie, póki mógł czuć, że dotykają go jej palce.

Znaleźli studio BBC na peryferiach Bristolu.

Zaciągnęła go pod drzwi, ściskając za rękę swoją spoconą dłonią. Producent, dziwadło na zesłaniu z Londynu, z ciałem poprzekłuwany agrafkami, przywitał Augustę niemal z uwielbieniem; niedawno zagrała jedną z głównych ról w *Wiśniowym sadzie* na osiedlu domów komunalnych w Brixton. Przedstawienie padło po dwóch tygodniach, ale przedtem wszystkie szmatławce w kraju zdążyły donieść, jak bardzo jest niemoralne.

– Proszę za mną, panno Price – mizdrzył się producent. – Pan nie. Wyłącznie zaproszeni goście. Pan może poczekać w holu. – Ostrzegawczo uniósł dłoń, tę białą piąstkę, tak tycią na tle szerokiego torsu Kena, który przez chwilę zastanawiał się, czy go za tę łapinę nie złapać i nie odgiąć mu palców, póki nie usłyszy trzasku. Krew szumiała mu w głowie, w całym ciele. Co ona mu dała w tym samochodzie?

– Kochanie – powiedziała Augusta, stając między nimi i obejmując Kennetha w talii. – To mój nawigator. Nie ruszam się bez niego. *E pluribus unum*. Poza tym jest z branży. Pracuje dla BBC. – Kiedy producent nadal zerkał na Kennetha gniewnie, dodała władczo: – W Londynie.

– No dobrze. – Obrócił się i pogroził Kenowi palcem. – Ale proszę nie rozmawiać z innymi gośćmi.

– Postaram się powstrzymać – odparł Deller.

Mężczyzna ruszył zwawym krokiem gmatwaniną korytarzy oblepionych plakatami parowców, aż

przystanął przed zielonymi drzwiami. Otworzył je i przytrzymał.

– Jest pani naszym ostatnim gościem, panno Price – powiedział, uśmiechając się promiennie. – To był mój pomysł. To tak jak lunch w dzień Bożego Narodzenia – najlepsze zachowuje się na koniec.

– Jesteś zbyt uprzejmy, kochanie – odparła Augusta. – Jeszcze tylko jedna rzecz. To była długa podróż. Jest tu gdzieś kibelek?

– Och! – Producent wskazał ręką w głąb korytarza. – Tam jest damska toaleta. Wróć po panią za jakieś dwadzieścia minut.

Kiedy poszedł, przywitali się z pozostałymi gośćmi programu, usadowionymi na pokrytej supełkowaną tkaniną pomarańczowej sofie: miejscowym mistrzem gry w rugby, któremu brakowało chyba większości jednego ucha i dolnej połowy drugiego, oraz starusieńkim, pomarszczonym rolnikiem z Kornwalii, który wyhodował ziemniaka podobnego do Teda Heatha.

– Doborowe towarzystwo – szepnęła Augusta, kiedy rugbysta podniósł się, żeby ustąpić jej miejsca na sofie, przynieść drinka, a może służyć czymś jeszcze. –

Dziękuję, kochany, nie trzeba – powiedziała. – Obawiam się, że coś mi wpadło do oka, na drodze z Londynu było mnóstwo kurzu. Ken, pomógłbyś mi usunąć ten potworny paproch, zanim przestraszę porządnych obywateli miasta Bristol?

Pomachała dłonią rugbyście i wiekowemu Kornwalijczykowi, drugą ręką ciągnąc już Kennetha w głąb korytarza.

– Augusto, co... – Nie zdążył dokończyć, bo pchnęła go na ścianę i przyciągnęła do siebie jego twarz. Poczł, że wspina się na palce, żeby go dosięgnąć. Ten gest zawsze mocno na niego działał, jakby przynajmniej w ten sposób nad nią górował, miał nad nią jakąś władzę; to była ta jedyna chwila, kiedy się dla niego wysilała. Przytulił ją mocno, jedną dłonią chwytając za pośladki. U krańca korytarza trzasnęły jakieś drzwi i musiał ją odepchnąć, chociaż kosztowało go to niemal życie. – Augusto... – szepnął. – Ten gówniarz przyjdzie cię szukać góra za kilka minut.

– Wystarczy nam kilka minut... – Przysuwając się bliżej, znów wspięła się na palce i leciutko ugryzła go w dolną wargę. Kenneth był pewien, że rugbysta i staruszek dosłyszeli przez ścianę jego jęk. Augusta zaczepiła palcem o szlufkę jego paska i zaczęła go ciągnąć. Cofając się powoli, palcem drugiej ręki przyzywała go niczym zła wiedźma z bajki. Plecami pchnęła drzwi łazienki i wciągnęła go do środka. Rozejrzył się nerwowo. Czy to przestępstwo zasługujące na pluton egzekucyjny – dać się przyłapać w damskiej toalecie budynku BBC Bristol? Ale Augusta znów do niego przywarła, wsuwając ciepłe dłonie pod jego koszulę. – Drzwi... – szepnęła. – Zamknij drzwi. – Oczywiście zrobił, co chciała. A potem sięgnął po nią,

wsunął dłonie pod jej ramiona i zanurzył twarz w jej włosy.

– Czekaj – wydyszała. Oderwała się od niego i postawiła torebkę na półce obok lustra. Stał tam plastikowy wazon pełen plastikowych irysów. Zrzuciła je do kosza na śmieci, otworzyła torebkę i wyjęła z niej małe zawiniątko. Jeśli wcześniej była szczęśliwa, to teraz wprost promieniała.

– Augusto... – zaczął, lecz nawet dla niego jego głos brzmiał mało przekonująco.

– Karta kredytowa – szepnęła, kiedy wysypała kokainę na blat.

– Augusto.

– Karta kredytowa.

Powinien był powiedzieć jej: nie jestem twoim szoferem, nie jestem twoim kumplem od kieliszka, twoim narkotykowym mułem, twoim przydupasem. Nie jestem żadnym z nich. A ty nie pozwolisz mi być tym, kim chciałbym być w twoim życiu. Ale potrafił teraz myśleć tylko o tym, że zaraz ją przeleci. Posłusznie sięgnął więc do portfela i podał jej kartę kredytową, z niemal zatartym już numerem.

Wydzielenie czterech kresk zajęło jej mniej niż minutę. Zrolowała banknot dziesięciofuntowy, który podał jej równie posłusznie, wciągnęła głęboko do nosa dwie kreski i odrzuciła głowę. Patrzył na linię jej gardła, gdy przełykała, na jej piersi, unoszące się pod tą idiotycznie kusą kwiecistą sukienką, i ostatkiem sił

powstrzymywał pragnienie. Zamiast tego wziął podsunięty mu banknot i pochylił się nad blatem.

Uderzyła go lodowata eksplozja, mroząc gardło, zęby, mózg. Wszystko, czego potrzebował, znajdowało się w tej damskiej toalecie w BBC Bristol. Spojrzał na Augustę, a ona patrzyła na niego z wilczym głodem. Pomyślał, że nie wytrwa nawet trzydziestu sekund.

A potem zaczęła go całować. Kiedy rozpinała mu spodnie, spróbował obrócić się i jednocześnie podsadzić ją na umywalkę. Prawie się przy tym przewrócili, szaleńczo rozchichotani.

– Tęskniłam za tobą – szepnęła gdzieś w zagłębienie jego obojczyka.

– Cholerna kłamczucha – odparł, odgarniając jej włosy z twarzy gestem bardziej szorstkim, niż zamierzał. – Pieprzona mała kłamczucha.

A potem było mu już wszystko jedno. Przytrzymał jej dłonie ponad głową, mocno przyciśnięte do tafli lustra, a ona gorączkowo poruszała się pod nim, gdy nagle usłyszeli pukanie do drzwi.

– Panno Price? Jest pani tam? Wchodzimy na antenę za pięć minut.

Rozdział 19

Frances siedziała przy stoliku obok basenu na dachu hotelu, obserwując grupki pretensjonalnych nastolatków moszczących się na czerwonych aksamitnych leżankach. Fakt, że byli od niej o połowę młodszy i już odnieśli dwa razy większy sukces, wywoływał bolesne ukłucie.

Okolica basenu została zaprojektowana tak, by przypominać palarnię opium; każda z leżanek wyposażona była w poczerniałą, ale nieużywaną fajkę. Nikt nie pływał, choć poranne słońce prażyło coraz bardziej odczuwalnie. Zdążyła zapomnieć, jak dokuczliwe potrafi być słoneczne światło.

– Poproszę omlet z białek, kiełbasę z tempehu i szklanę soku z pomelo – powiedziała do kelnerki, ciesząc się, że nie zapomniała rodzimego języka.

Nawet nie spojrzała na ceny. Niech ci z Fantasmagorii™ zapłacą trzydzieści dolarów za jej nawrócenie na zdrowy tryb życia. Frances poczuła, że ogarnia ją chwilowy spokój: śniadanie, które nie zawiera alkoholu ani niczego smażonego. Wróciła do domu.

Tylko dlaczego czuła się jak oszustka? Jedna z dziewczyn na opiumowym łóżku zachichotała i Frances spojrzała na nią znad okularów słonecznych.

Poznała ją. Młoda gwiazda disnejowskiego sitcomu. Nieźle się wykoleiła. Po udanym pobycie w klinice w Miami wróciła do swojego rodzinnego miasteczka w Idaho. Tam metodycznie przeproszała wszystkich kolegów ze szkoły, którzy kiedykolwiek padli ofiarą jej okrucieństwa. *Trasa przeprosin* stała się popularnym reality show na Healing Network. Frances też lekko uzależniła się od tego programu, oglądała go na swoim komputerze późnymi wieczorami. Ani jedna popularna dziewczyna ze szkoły nigdy jej za nic nie przeprosiła.

Wróciła do swojego laptopa, ustawiając ekran tak, by nie padał na niego słoneczny blask. Miała otwarte trzy zakładki: szkic nowej książki Augusty, swoje konto na Facebooku i stronę zatytułowaną „Jak się zorientować, że ktoś ci bliski znów bierze narkotyki”. Na tej ostatniej jaskrawym różem wypisane były ostrzeżenia: Punkt 3: Nieodpowiedzialne lub bezmyślne zachowanie. Punkt 7: Pożyczanie lub kradzież pieniędzy. Punkt 8: Obsesja na punkcie swojej osoby aż do wykluczenia wszystkich innych.

Westchnęła i zamknęła stronę.

Z wahaniem otworzyła na Facebooku profil Stanleya. Czowała się tak, jakby go szpiegowała, jakby czaiła się gdzieś w drzwiach po przeciwnej stronie redakcji „Advance”. Zmienił swoje zdjęcie profilowe – zamiast nachmurzonej fotki, którą pstryknął sobie pewnego popołudnia w Snappy Snaps, patrzył na nią pręgowany kot. Nie tylko to się zmieniło. Pod hasłem „Praca”,

gdzie kiedyś widniało stanowisko redaktora, teraz był tekst: „Czekam na propozycje”.

A więc jego też wywalili. Poczują, że ogarnia ją przygnębienie. W jakimś sensie to było jeszcze gorsze niż jej własne zwolnienie. Na całą ich przygodę opadła kurtyna. Może mogłaby wrócić do pracy w „Bakersfield Californian”. Wyobraziła sobie czekającą ją świetlaną perspektywę posiedzeń rady miasta oraz raportów na temat wyników sprzedaży traktorów.

– Dziękuję – mruknęła do kelnerki, która postawiła przed nią śniadanie. Wyglądało to bardziej na rzeźbę z jedzenia niż na posiłek. Szturchnęła omlet widelcem. Ponad jej głową helikopter mełł powietrze – policja czy telewizja informacyjna, trudno było się zorientować. To kolejna cecha Los Angeles, o której zapomniała: w powietrzu jest niemal takie samo zagęszczenie ruchu jak na ulicach.

Ponownie wyświetliła swój profil na Facebooku. Nie uaktualniała statusu od tygodni. Po chwili namysłu napisała, tagując Stanleya: „Jestem w domu, gdziekolwiek by to nie było”. Wiadomość w butelce.

Rozdział 20

Chciałabym, żeby ktoś wyłączył to cholerne słońce chociaż na jeden dzień. – Augusta siedziała skulona na siedzeniu pasażera w wypożyczonym samochodzie. Miała prześwitujący pomarańczowy kaftan i wczorajszy makijaż. W dłoniach ścisnęła butelkę z wodą. – Wszyscy w tym mieście mają jakiś dziwny kolor – narzekała. –

W odcieniach orzecha albo mandarynki. Tylko ja jestem w odcieniu, jaki wymyślił Bóg. – Frances walczyła z uśmiechem. Słońce rzeczywiście niemiłosiernie prażyło ulicę Burbank. Siłownia, sklepik z taco, sklep „wszystko za dolara”, siłownia, sklepik z taco. Na tym odcinku był jeden biurowiec i właśnie przed nim zaparkowały. Po raz pierwszy od dwóch dni coś ją rozśmieszyło. Przy kontuarze wypożyczalni samochodów skrzyżowała palce na szczęście, podając obsłudze swoją kartę kredytową. – To dlatego moja kariera w Ameryce nigdy nie nabrała rozpędu – stwierdziła Augusta i pociągnęła łyk wody z butelki. – Nie zgadzałam się opalać.

– Aha.

– Czy ty wiesz, że kiedyś zaproponowano mi całkiem smaczną rolę w *Dynastii*? Miałam zagrać siostrę Joan. Sporo młodszą siostrę. Trochę to naciągało

wiarygodność serialu, ale tak właśnie było.

Frances zmarszczyła brwi.

– Nie przypominam sobie, żeby Joan Collins w *Dynastii* miała siostrę.

Augusta upiła kolejny łyk. Po chwili odezwała się:

– Może to nie była *Dynastia*. Może chodziło o *Statek miłości*. – Frances zagryzła wargę, a Augusta spojrzała na nią gniewnie. – Chodziło o dwa odcinki specjalne. Na Boże Narodzenie. Miało to dodać splendoru tym morskim opowieściom. Ale przydarzył mi się pewien niefortunny incydent ze stewardem na pokładzie basenowym i moją rolę obsadzono ponownie. – Znowu łyk wody. – Od tamtej pory nienawidzę rejsów morskich.

Zapadło milczenie, przerywane jedynie odgłosem włączonej klimatyzacji. Telefon Frances wydał ciche piknięcie. Na ekranie pojawiły się odpowiedzi na jej najnowszy wpis na Facebooku. Matka, zawsze reagująca lajkiem w ciągu trzydziestu sekund, napisała: „Nie rozumiem, kochanie. Gdzie jesteś? Zadzwoń!”. Pojawił się jeszcze jeden nowy komentarz. Frances wstrzymała oddech, czytając słowa Stanleya: „A więc to tam cię wywiało, tajemnicze stworzenie. Pamiętaj, że masz jeszcze drugi dom”.

Czytała ten wpis wciąż od nowa, usiłując rozgryźć jego znaczenie.

W końcu obróciła się do Augusty.

– Dasz mi łyk wody?

Augusta ścisnęła butelkę kurczowo.

– Pytanie powinno brzmieć: czy mogę prosić.
A odpowiedź brzmi: Nie. Mam... zarazki.

Frances patrzyła, jak Augusta uważnie chowa butelkę do torby ustawionej pod stopami. Nagle pomyślała, że nigdy dotąd nie widziała, żeby Augusta piła wodę. Dlaczego akurat teraz zaczęła? Kusiło ją, żeby złapać butelkę i porządnie ją obwąchać, ale tylko westchnęła z irytacją. To było jej obecne życie: opiekunka do dziecka, niepijący kierowca.

– Augusto, co my tu robimy? Powinnyśmy pracować nad książką.

– Już ci mówiłam. Czekamy na mojego dawnego przyjaciela. Chciałabym zrobić mu niespodziankę. Powinien się tu pojawić lada chwila.

Niewielka grupka ludzi stała przed drzwiami obrotowymi prowadzącymi do biurowca.

– Jak wygląda ten tajemniczy przyjaciel?

– No cóż, od lat go nie widziałam. – Augusta wyjęła puderniczkę i przypudrowała sobie nos. – Wysoki, możliwe, że nieco otyły. Twarz jak beza, na której ktoś usiadł. Jak go znam, będzie miał na sobie garnitur – garnitur szyty na miarę, bo to próżny palant.

Próżny palant. Seria kombinacji powoli ułożyła się w myślach Frances w logiczny ciąg, zapadki trafiły na właściwe miejsca, zamek kliknął i otworzył się.

– Zaraz, Augusto, czy my tu polujemy na...

– Zaraz „polujemy”. Nie jestem hrabiną Dupiną

na królewskiej obławie na jelenie, moja droga.

– Ale...

– Ciii! – Augusta dłonią zamknęła usta Frances, a dziewczyna z irytacją dostrzegła, że ta dłoń pachnie martini. – To on.

Frances wyciągnęła szyję.

– Który?

Augusta milczała, wbijając spojrzenie w idącego w ich stronę mężczyznę. Frances natychmiast dostrzegła, że nie był Amerykaninem. W przeciwieństwie do większości panów w średnim wieku z Los Angeles nie ubierał się jak uczeń liceum. Pomimo upału miał na sobie garnitur i męskie dziurkowane półbuty. Słońce rozświetlało kosmyki jego lekko przerzedzonych jasnych włosów. Był przystojny w nieco zużyty sposób, który z jakiegoś powodu przywiódł Frances na myśl Stanleya.

– Obejrzałabym się za takim na ulicy – wypaliła bezmyślnie.

Augusta wyprostowała się gwałtownie i obróciła ku niej z wściekłą miną. Ten ruch przyciągnął wzrok mężczyzny. Przystanął na chodniku, mrużąc oczy w blasku słońca.

– Matko Boska... – szepnęła Augusta i skuliła się na siedzeniu. Zerknęła na faceta znad deski rozdzielczej, a on wciąż stał na chodniku, wyraźnie niezdecydowany. – Schowaj się – syknęła do Frances. – Schowaj się, zanim cię zauważy.

– To by naprawdę zwróciło jego uwagę – zaprotestowała Frances.

Ich ofiara podeszła bliżej samochodu, a Augusta schowała się pod deską, zawinięta w kokon pomarańczowego szyfonu.

– Zobaczył nas – syknęła. – Jedź, na miłość boską. Jedź!

Frances przekręciła kluczyk w stacyjce, zastanawiając się, jak fatalnie to wszystko się skończy. Uczucie bezradności było znajome: w gimnazjum nigdy nie stawiała oporu dziewczynom, które chciały odpisywać od niej lekcje.

Włączyła się do ruchu. We wstecznym lusterku widziała, że mężczyzna odprowadza je wzrokiem, ze ściągniętymi brwiami.

– A więc to jest Pan Romans – powiedziała.

Rozdział 21

Odkręcenie butelki smirnoffa potrwało ledwie chwilę. Trzask uwalnianej zakrętki zagubił się wśród pokrzykiwań w przedniej części sklepu, gdzie z zaciśniętymi pięściami i włosami w nieładzie stała Frances.

– Ona nie mogła zostać odrzucona, to wykluczone. – Jedyńy poza nimi klient sklepu udawał, że czyta jakieś pismo, ale ukradkiem pałł oczy dramatem rozgrywającym się przy kasie. Augusta zobaczyła, że jej towarzyszka przełyka gniew i z wyraźnym wysiłkiem stara się nad sobą zapanować. – Proszę spróbować jeszcze raz. Na tym koncice jest spory limit.

Sprzedawca westchnął i ponownie przeciągnął kartę przez czytnik. Augusta tymczasem ze spokojem skierowała strumień trunku do swojej butelki po wodzie. Na chwilę stała się kimś obcym, z dystansu obserwowała samą siebie: Angielkę w średnim wieku, kradnącą wódkę z narożnego sklepiku w Hollywood. Kiedyś taki obrazek zaszokowałyby ją, ale już dawno zdała sobie sprawę, że zawsze można upaść jeszcze niżej.

Drzwi sklepu trzasnęły. Z pośpiechem wsunęła butelkę do torby i kierując się do wyjścia, pomachała

sprzedawcy.

Frances, która po chwili również opuściła sklep, zaczęła nerwowo stukać w klawiaturę telefonu.

– Hej, mamó, to ja... – powiedziała po chwili.

Augusta obserwowała, jak ramiona dziewczyny zaczynają się garbić. Irytacja, jaka ją ogarniała wobec słabości Frances, zmaląła, zabarwiona nieco mniej znanym uczuciem, czymś w rodzaju współczucia. Podeszła bliżej. Może jeśli podsłucha rozmowę, dowie się tego czy owego na temat matkowania. Nigdy nie jest za późno. Ale dostrzegłszy ją, Frances zmarszczyła brwi i osłoniła telefon dłonią.

Augusta odsunęła się więc kilka kroków i stanęła na krawężniku. Po przeciwnej stronie bulwaru dwie firmy zagnieździły się w zapuszczonej ruderze dawnego teatru, obwieszczając neonami konkurujące ze sobą usługi. Jesu-Cristo es el señor, stało na większym i bardziej krzykliwym. Drugi zapraszał przechodniów: Jedzcie hot dogi Scooby’ego.

– Krew Chrystusa i kiełbasa Scooby’ego – mruknęła Augusta. – Nareszcie razem.

Frances skończyła rozmawiać. Stała teraz nieruchomo, gapiąc się na swój telefon. Augusta z nieprzyjemną jasnością zdała sobie sprawę, co zaraz nastąpi. Pociągnęła szybki łyk z butelki i podeszła do dziewczyny. Jak się oferuje pociechę w takiej sytuacji?

Sięgnęła do torebki.

– Papierosa? – Twarz Frances się skrzywiła. – O nie, kochanie. Żadnych łez przed lunchem. Proszę. Nie jestem odpowiednio wzmocniona. – Sięgnęła po jej dłoń i poklepała ją niezgrabnie. – Popracujemy dzisiaj nad książką, dobrze? Poczujesz się lepiej. To nasza droga ucieczki przed ruiną.

– Nie mam zamiaru płakać – powiedziała Frances i ruszyła w stronę samochodu. Pod jej stopami, przykurzone złożone gwiazdy sławnej hollywoodzkiej alei nosiły nazwiska celebrytów, dawnych i obecnych. –

Szkoda, że nie mogę zadzwonić do rodziców z lepszymi nowinami, to wszystko. Chociaż raz. –

Urwała. Zdawało się, że zbiera się w sobie. – Augusto, jak sądzisz, kiedy możemy oczekiwać tej zaliczki od wydawcy? Mogłybyśmy ją przeznaczyć na rachunki, które powoli się zbierają.

Augusta ruszyła przed siebie, nagle ogromnie zainteresowana którąś z gwiazd na chodniku. Rhonda Fleming. Kim, u licha ciężkiego, była Rhonda Fleming? W jakimś momencie musiała być naprawdę znana.

Obróciła się do Frances.

– Lada chwila, kochanie. Dziś rano miałam od nich telefon. Najwyraźniej coś się pokićkało z zagranicznym przelewem bankowym, ale już to sobie wyjaśnili. – Była zadowolona, że zabrzmiało to tak wiarygodnie. Rzeczywiście na komórce miała parę wiadomości, chociaż żadna z nich nie została nagrana przez wydawcę. Oczy Frances w jasnym świetle były zaczerwienione.

Augusta poprowadziła ją w stronę ławki. Wyrzuciła papierosa i z pewnym żalem dostrzegła, że tłący się niedopałek wylądował na gwieździe Borisa Karloffa. Z torebki wyjęła parę wielkich okularów przeciwsłonecznych, które dołączono kiedyś do jakiegoś pisma. – Masz – wcisnęła je w ręce Frances. – To pomoże. – Dziewczyna siedziała bez ruchu, więc założyła jej okulary na nos, poprawiając je, żeby dobrze leżały. – Proszę bardzo, kochanie. Bardzo ci w nich ładnie. Tajemniczość zawsze jest lepsza niż smarki.

– Chcesz powiedzieć, że wyglądam świetnie, kiedy nie widać mi połowy twarzy – burknęła Frances, ale uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Chwilę siedziały w milczeniu, obserwując paradę pielgrzymów składających głębokie ukłony chodnikowi.

– Mój ojciec był całkowicie zdegrustowany tym, że chciałam zostać aktorką – odezwała się w końcu Augusta. – Stwierdził, że przyniosę wstyd rodzinie. Powiedział, że równie dobrze mogę iść zarabiać na ulicy. Wiesz, kim chciał, żebym została? – Frances pokręciła głową. – Księgową.

– Żartujesz!

– W żadnym razie. Ten facet uważał, że powinno mi się powierzać pieniądze innych ludzi. Co jest jednym z powodów mojego odwiecznego przekonania, że tak naprawdę moim ojcem nie był. – Frances wybuchnęła niepowstrzymanym śmiechem. Augusta poklepała ją po

kolanie. – Powinnaś się już do tego przyzwyczać, inaczej do końca życia będziesz popłakiwać. Jeszcze nieraz rozczarujesz swoich rodziców – powiedziała, po czym upiła łyk z butelki i dodała ciszej: – A czasem też swoje dzieci.

Rozdział 22

Minęła ich jakaś dziewczyna. Biegając pod górę, obróciła się z uśmiechem w stronę Charlesa, który przesunął się na skraj ścieżki, żeby ją przepuścić. Oczy chłopaka odprowadziły ją do samego zakrętu.

Kenneth przycisnął dłoń do boku, by złagodzić dokuczliwą kolkę.

– Wiesz, co mówił mój ojciec, kiedy widział taki tyłek? Dwa koty walczące w poszewce na poduszkę.

– Jesteś obrzydliwym zбочuchem!

Deller przystanął, oparł dłonie na kolanach i zwiesił głowę. A więc tak wygląda atak serca. Kropelka potu kapnęła z jego czoła na betonowy chodnik, skąd natychmiast wyparowała. Kiedy poczuł, że znów jest w stanie złapać oddech, wyprostował się i spiorunował wzrokiem chłopaka, który stał na ścieżce powyżej niego.

– Ładne rzeczy mówisz własnemu ojcu na jego łożu śmierci – wysapał. Nie zmienił ubrania, które założył dziś rano do stacji radiowej, i teraz zwisało na nim niczym mokry żagiel. Na stopach miał ręcznej roboty mokasyny od Lobbsa z St. James, które przez dwadzieścia lat ani na chwilę nie wyszły z mody. Mijający ich biegacze wybałuszali oczy na widok jego

nieprzyzwoitego stroju. – Myślałem, że idziemy na drinka – powiedział, na co Charles bez słowa wcisnął mu w dłoń butelkę. – Koktajl z jarmużu z jagodami goji – westchnął Ken, oceniając jej zawartość spod zmrużonych powiek. – Teraz już wiem na pewno, że usiłujesz mnie zamordować.

Opadł na stojącą przy ścieżce ławkę i okiem profesjonalisty przyglądał się ludziom zażywającym ruchu w kanionie: w górę kanionu szli właściciele psów i aktorzy incognito w czapeczkach bejsbolowych nisko opuszczonych na oczy, pary o dłoniach poznaczonych plamami wątrobowymi i pozbawionych wieku czołach.

Chłopak podszedł i usiadł obok niego.

– Jak ci idzie książka? – zagadnął. – Przepraszam, wiem, że pisarzy nigdy nie powinno się o to pytać...

Kenneth zamknął oczy przed rażącym słońcem.

– Nie idzie. Za to oni gotowi są mnie zabić w jakiś kompletnie pozbawiony agresji, buddyjski sposób. –

Spojrzał na syna spod powiek. – Chcą, żeby była bardziej osobista. Historie o miłości i o utracie.

– No cóż, z częścią o stracie poradzisz sobie śpiewająco.

– Czy ja już ci kiedyś mówiłem, że jesteś żaloszną, małą cipą? – Posiedzieli minutę w milczeniu, aż Kenneth zyskał pewność, że obejdzie się bez resuscytacji krążeniowo-oddechowej. – Chyba widziałem twoją matkę – odezwał się w końcu, choć wiedział, że nie powinien nic mówić.

Charles patrzył na niego przez chwilę z otwartymi ustami.

– Augustę?

– Tak, twoją matkę. Augustę.

– Tutaj?

– W Burbank. – Uderzył go idiotyzm tej myśli i Ken zaczął się śmiać. – Twoja matka, w samochodzie z wypożyczalni, w Burbank. – Zaśmiał się głośniej. – To już naprawdę upokarzające. – Chłopak się przygarbił. Zachodzące słońce spowiło jego włosy złotem. Ken po raz tysięczny pomyślał, jaki jest piękny, jaki nienaznaczony, wolny od tego wszystkiego, co zaszło. Jakim cudem ten dzieciak nadal jest samotny? Poczł w piersi ucisk porażki. Pan Romans nie jest w stanie znaleźć dziewczyny własnemu synowi, niezły dowcip. Ale prawdę mówiąc, miłość nigdy nie pociągała Charlesa. – Może moglibyśmy spróbować się z nią spotkać – podjął z wahaniem. Charles obserwował kołującego po niebie jastrzębia. Nie odpowiedział. Po jakiejś minucie wyjął telefon i zaczął sprawdzać wiadomości. – Żeby zobaczyć, co u niej. – Kenneth wyciągniętą dłonią przesłonił wyświetlacz telefonu. – Charles, tak wiele czasu już minęło.

Wreszcie syn się obrócił i spojrzał na niego.

– Jeśli chcesz, to idź, Ken. To ty pełnisz rolę rodzinnego egzorcysty. Ja nie jestem zainteresowany.

Rozdział 23

Była samotna w dusznym mroku. Dlaczego nikt inny nie jechał metrem? I dlaczego pociąg zatrzymywał się na stacjach, nie otwierając drzwi? Frances przycisnęła się do szyby i wyjrzała na pusty peron: Tooting Bec. Umrze na Tooting Bec – samotnie i z dala od przyjaciół. Tak stwierdzą w jej nekrologu. Ostatnie upokorzenie jej życia. Pomijając, że nekrolog nigdy nie zostanie wydrukowany; nekrologi zarezerwowane są dla ludzi, którzy ze swoim czasem na tej planecie zrobili coś wartego zapamiętania.

W złowrogiej ciszy pociągu coś się poruszyło i Frances wrzasnęła, tłukąc pięścią o drzwi wagonu.

– Otwierać! – krzyczała, przyciskając twarz do niewielkiej przestrzeni szyby, która była wolna od brudu niewiadomego pochodzenia. – Jest tam kto?! Otwierać!

Rozległo się echo:

– Na litość boską, otwierać! – Coś schwytało ją za nogi. Przerazona, zaczęła kopać i wtedy znów usłyszała ten głos: – Nie zmuszaj nas do użycia siły!

Wybuch śmiechu w ciemności.

Frances się ocknęła. Z walącym sercem siedziała na łóżku. Sięgnęła do nocnej lampki. Nie była na stacji

metra Tooting Bec. Była w hotelu w Los Angeles. Odrzuciła na bok prześcieradło, które oplątało jej nogi. Wtedy znowu usłyszała stukanie.

– Wiemy, że tam jesteś. – Ktoś dobijał się do drzwi. – Otwieraj!

Złapała rzucony byle gdzie szlafrok i na niepewnych nogach dotarła do drzwi.

– Augusto... – szepnęła, przytykając twarz do futryny. – Ja śpię.

– Niczego innego bym się nie spodziewała. Otwórz te drzwi, kochanie. – Po chwili Augusta z lekkim połyskiem potu na twarzy stanęła w progu, trzymając w dłoni niebieskie zamszowe szpilki. Za nią, oparty o ścianę, tkwił mocno zbudowany młody człowiek. Zamknął oczy, a ramiona splótł na koszulce z Mrocznym Rycerzem. W zarost na brodzie miał wplątaną maleńką parasoleczkę koktajlową. Niewykłuczone, że pochrapywał. – Chciałabym ci przedstawić mojego przyjaciela... To Tony.

– Thane – mruknął chłopak, nie otwierając oczu.

Augusta obróciła się na pięcie i podparła o ścianę dla równowagi.

– Możesz to powtarzać, ile razy zechcesz. Ja i tak ci nie uwierzę.

Przeciskając się obok Frances, weszła do pokoju i rzuciła się na jedyny fotel. Thane ocknął się i ruszył jej śladem. Kiedy uśmiechnął się przepaszając do Frances, ta dostrzegła, że włókł za sobą

pomarańczowy stożek do oznaczania robót drogowych.

– Dobranoc? – odezwała się, ale ironia w jej głosie nie docierała do tych dwojga.

Augusta o mały włos nie spadła z fotela, usiłując zajrzeć do minibarku Frances.

– Dobry Boże – westchnęła. – Nietknięty! Mój, z jakiegoś powodu, jest pusty niczym spiżarnia Babci Hubbard. – Sięgnęła do środka i złapała dwie maleńkie buteleczki Johnnie Walker Red. Jedną wyciągnęła w stronę Thane’a, ale on pokręcił głową. Ruch ten w jakiś sposób pozbawił go równowagi i chłopak padł w tył, prosto na łóżko Frances, niczym olbrzymia sekwoja podcięta u korzenia. Leżał tam i coś mamrotał. – Napijesz się ze mną? – Augusta zwróciła się do Frances.

– To chyba nie jest dobry pomysł. Jutro nasz wielki dzień i...

– Nonsens! Wielkie to są dopiero wieczory.

Frances nadal była wytrącona z równowagi swoim koszmarem sennym. Przysiadła na krawędzi łóżka, wzięła buteleczkę whisky z dłoni Augusty i zaczęła walczyć z małą upartą zakrętką. Augusta, ledwo przytomna, siedziała z zamkniętymi oczami, tuląc do biustu drugą buteleczkę.

– A więc to twój nowy chłopak? – rzuciła Frances, zerkając na Thane’a. Młodemu mężczyźnie opadła szczęka, odsłaniając purpurowy język. Sięgnęła ręką, żeby ułożyć jego głowę na boku, przy okazji wyplątała

żółtą parasoleczkę z jego brody i odłożyła na stół przy łóżku. – Przecież on ma najwyżej siedemnaście lat.

– Nie bądź śmieszna, kochanie. Kazałam mu pokazać prawo jazdy. W zeszłym tygodniu skończył dwadzieścia. Drugi raz tego błędu nie popełnię.

– Co masz na myśli?

Augusta przyglądała się śpiącemu chłopcu.

– Łatwo zapomnieć, jacy są piękni w takim wieku. Nawet ci godni pożalowania. Jacy krusi. – Sięgnęła za siebie do minibarku i po omacku wyszukała butelkę. Uniosła ją na wysokość oczu. Tequila. – Prawdę mówiąc, było w nim coś słodkiego, co przypominało mi nieco... – Włała sobie do gardła zawartość buteleczki. Zegar pokazywał 4:47. Nie najlepsza pora na rozsądek. Wszelka nadzieja na sen prysła. Frances miała ochotę tylko na jedno: walnąć się z powrotem do łóżka, prosto w wyśnione objęcia Stanleya Pfeffera. Ale siedziała i patrzyła, jak Augusta wyciąga z torebki zawiniątko rozmiaru znaczka pocztowego. – Jakaś płaska powierzchnia, kochanie... O, to się nada – wymamrotała i postukała krawędzią miniaturowej koperty o blat stolika. Frances odwiedziła wystarczająco wiele czynnych do późnej nocy pubów, żeby rozpoznać widok saszetki z kokainą. Jakim cudem Auguście udało się w tak krótkim czasie zdobyć narkotyki? Przypomniała sobie stronę internetową, na której szukała porady: Nigdy nie lekceważ zaradności człowieka uzależnionego. Augusta ścisnęła krawędzie

kopertki i wysypała niewielki kopczyk białego proszku na okładkę hotelowego folderu. Narkotyki rozsypał się niczym śnieżna bródka pod nosem Tori Spelling. Frances uniosła oczy w stronę sufitu. A jeśli w pokoju były kamery? Czy można zostać aresztowanym za samo obserwowanie czegoś takiego? Augusta zrolowała banknot i podała go Frances. – Chcesz?

– Jest prawie rano, Augusto. Za parę godzin musisz być gotowa na panel Fantasmagorii™.

Augusta spojrzała na nią ostro.

– Tym bardziej mam powód, kochanie. – Gdy pochyliła się nad folderem, fala włosów przesłoniła jej twarz. Po chwili usiadła prosto, z cichym westchnieniem zadowolenia. Dlaczego ona jeszcze nie padła?, zastanawiała się Frances. Thane był od niej przynajmniej dwa razy większy, a zasnął niczym sześćioletnia dziewczynka. – On tam będzie, kiedy przyjedziemy. – Mowa Augusty znów była wyraźna. –

Przyjedzie wcześniej. Wiem, że będzie chciał widzieć mnie przez cały czas, chociaż spróbuje się ukrywać gdzieś z tyłu. Tchórz.

Jakby zapomniała o obecności Frances, zatraciła się w monologu, który nie wymagał widowni. Po raz kolejny grzebiąc w lodówce, tym razem wyciągnęła buteleczkę czegoś, co wyglądało jak czekoladowe mleko. Baileys Irish Cream. Trunek ostateczności.

– Kto tak konkretnie? – spytała Frances i natychmiast tego pożałowała.

– Pan Romans – sarknęła Augusta i wlała kremowy płyn do filiżanki. – Co za przekłety oszust. Oczywiście jeśli twoim wyobrażeniem romansu jest żarcie na wynos i przyszczaty biały tyłek pompujący cię wśród pojemników na śmieci za Tesco, wtedy nie ma sprawy.

– Może on po prostu chce się przywitać. – Frances próbowała wślizgnąć się pod koc.

– Ostatnim razem, kiedy się spotkaliśmy, usiłowałam odciąć mu palec nożem do steków – wyznała Augusta i znów pochyliła głowę nad folderem. – Bo mi nim groził. „Nie jesteś godna być matką”, powiedział... – W jakiś sposób udało jej się wstać i podreptać do okna. Niebo zaczęło już jaśnieć fioletem. Jeśli zamknę oczy, pomyślała Frances, to może ona nie zauważy, że zasnęłam, i będzie sobie dalej mówić. Thane, leżący obok niej, wydawał pomruki walenia wyrzuconego na morski brzeg. – Moje niedociągnięcia jako matki. No cóż, raz w życiu miał odrobinę racji. – Augusta obejrzała się przez ramię. – Czy ty wiesz, kiedy po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że nie nadaję się na matkę? Oczywiście, było już za późno. Charlie musiał mieć pięć czy sześć lat. Był w pierwszej klasie i uczyli się o dinozaurach czy planetach... czy czymś takim, co interesuje małe dzieci. Zgodziłam się jechać na jedną z tych okropnych szkolnych wycieczek. Męczył mnie o to od dawna. To był pierwszy i ostatni raz. Pojechaliśmy autobusem do muzeum dinozaurów. Całe to miejsce śmierdziało kanapkami z serem

i wymiocinami. Inne matki przez cały czas mnie unikały. Chociaż tyle dobrego. Na koniec zatrzymaliśmy się przy fontannie na dziedzińcu, trzydziestka dzieci wrzeszcząca, żeby dać im drobne. Nie wyobrażasz sobie tego harmidru. Głowa mi pękała. Pamiętam swoje życzenie bardzo wyraźnie. Wrzuciłam monetę do fontanny, zamknęłam oczy i pomyślałam: Żeby tylko wystarczyło mi valium do końca tygodnia. Któraś z pozostałych mamusiek wrzuciła swój pieniążek, a potem obróciła się do mnie. Nadal widzę uśmiech na jej twarzy. „Myśli pani, że nadejdzie taki dzień, kiedy nasze życzenia będą dotyczyć nas samych, a nie tych naszych dzieciaków?”, zapytała. – Augusta wypiła do dna zawartość filiżanki i odstawiła ją na biurko. Podeszła do drzwi i położyła dłoń na klamce. – Nigdy wcześniej nie pomyślałam żadnego życzenia związanego z Charliem. Ani razu. Nigdy nawet mi to nie przyszło do głowy. Ale kiedy dotarłam wtedy do domu, nie miało to już większego znaczenia. Moje własne życzenie się spełniło i zasnęłam jak niemowlę. – Otworzyła drzwi i obejrzała się na Frances, skuloną po jednej stronie łóżka. – Nigdy nikomu nie opowiedziałam jeszcze tej historii. Chyba sama o niej zapomniałam.

Rozdział 24

A z Londynu przyjechała do nas gwiazda *Banku krwi*, Augusta Price! – Augusta skinęła widowni, mrużąc oczy w blasku reflektorów. Na stoliku przed nią stała butelka soku pomarańczowego. Wzięła łyk i skrzywiła się. Obrzydlistwo z farfocłami. Kac rozbijał się o ściany jej czaszki. Tyson Benn, gospodarz panelu *Fantasmagorii™*, wyciągnął rękę w jej stronę, uśmiechając się zachęcająco. Po jego powitalnych słowach nastąpiły grzecznościowe oklaski. Miał okrągłą, anielską buzię, której usiłował nadać złowrogi wygląd za pomocą spiczastej, koziej bródki. – Chciałbym wszystkich powitać na panelu dyskusyjnym *Osobowości typu A: Ewolucja serialu medycznego o wampirach*.

W mroku widownia się uciszyła. Gdzieś tam była Frances, nadal naburmuszona po incydencie z Thane'em. W taksówce była demonstracyjnie chłodna. Co ważniejsze, gdzieś tam był również on. Augusta wyciągała szyję, żeby dostrzec coś w ciemności, ale wszystkie twarze zlewały się w jedną plamę. Widziała tylko jarzące się czerwienią oczy niezliczonych kamer. Ale był tutaj. Wyczuwała węchem jego knowania.

Ze środka sceny Tyson Benn przedstawiał ostatnich

aktorów biorących udział w panelu:

– Jestem pewien, że nie trzeba go przedstawiać nikomu spośród tu zebranych. Przez dziesięć lat był gwiazdą *Koeniga*, którego jeden z krytyków nazwał odpowiednikiem *Berlin Alexanderplatz* wśród seriali o wampirach. Z samych Niemiec przyjechał do nas Christoph Frank.

Herr Frank uśmiechnął się z wdzięcznością, gdy publiczność powitała go głośnymi okrzykami. Augusta nigdy go nie spotkała, fakt, że nigdy nie oglądała *Koeniga*, ale to, co zobaczyła teraz, zdumiało ją: Frank, żyłasty facet koło pięćdziesiątki, z tatuazami pokrywającymi oba ramiona, rzeczywiście miał uśmiech wampira. Jego górne czwórki, dotykające dolnej wargi, zostały oszlifowane w ostry szpic. Ten pierdziel faktycznie ma kły, pomyślała. Kiedyś sama poddała się barbarzyńskiemu strzyżeniu, żeby zagrać Joannę d’Arc, ale zeszpecić się na stałe – to już zdawało się aktem szaleństwa. Kiedy jednak aktor przesunął dłonią wzdłuż dolnej wargi, zauważyła, że kły się poruszyły. Pokręciła głową z niedowierzaniem. Pozer.

W panelu brali udział jeszcze inni aktorzy, którzy grywali lekarzy wampirów. Dwóch z nich łąsiał. Wszyscy nosili szkła korekcyjne. Jeden Herr Frank dochowywał wierności typowemu dla „nieumarłaka” wymizerowaniu. Każdy z aktorów opowiadał o tym, co przyciągnęło go do seriali medycznych o wampirach. Kiedy przyszła kolej Augusty, odparła prosto:

– Zżerała mnie żądza krwi – na co widownia zareagowała niepewnym śmiechem.

Pozostali głądzili bez końca, odpowiadając na pytania Benna i widowni. Augusta od czasu do czasu dorzucała coś mrukliwie, ale jej uwaga skierowana była na pogrążoną w mroku, nierozróżnialną masę ludzi. Głosy pozostałych aktorów docierały do niej tylko jako niesprecyzowane brzęczenie w tle.

– Może mógłby nam pan wyjaśnić – Tyson Benn zwracał się właśnie do gwiazdy *Koeniga* – dlaczego ta wampirza metafora okazała się silna dla pana, dorastającego we wschodnich Niemczech? – Christoph Frank zaczął objaśniać motywacje stojące za graną przez siebie postacią lekarza Nosferatu, który asystował Niemcom w zbrodniczych eksperymentach. Syczące spółgłoski świstały mu przez ostre sztuczne kły. Augusta miała niebezpiecznie niski próg odporności na bzdury. Jeden drink pomógłby jej się pozbierać, ale postanowiła przeżyć ten dzień na sucho. Chciała czuć pełną moc własnej wściekłości. Oczywiście, że gdzieś tam był. Siedział na widowni, obserwował ją, wymyślał sobie kłamstwa, które jej opowie... – Zgodzi się pani, Augusto? – Pytanie Tysona Benna wyrwało ją z zamyślenia.

Wszyscy uczestnicy panelu spoglądali teraz w jej stronę. Zamaszyste brwi Herr Franka unosiły się wyczekująco.

– Być może. – Musiała wręcz rozrywać wargi, żeby

coś powiedzieć. – Ale z czym?

Herr Frank rozłożył blade dłonie.

– Z tym, że *Koenig* i seriale, które go naśladowały, nawet pani serial, najsilniej działają na poziomie podświadomości. Gdyby nie bogactwo tego ukrytego przekazu, żaden z nich nie przetrwałby tygodnia.

Boże... Gdyby dysponowała kołkiem, własnoręcznie wbiłaby go w serce tego palanta. Pozostali dyskutanci kiwali głowami, wyczekując jej odpowiedzi. Oderwała wzrok od widowni. Czy faktycznie dosłyszała znajomy kaszel?

– Nie wiem, mój drogi. Może w Berlinie sprawy wyglądają inaczej, ale myślę, że w Newcastle ludzie oglądają je, bo chcą się na godzinę oderwać od pracy. Odrobina seksu, odrobina strachu, odrobina kulenia się na sofie.

Herr Frank spojrzał na nią ostro, ściągając brwi.

– Ależ zdecydowanie umniejszamy znaczenie całego gatunku, uważając, że jest wyłącznie... – wzruszył wąskimi barkami – ...rodzajem eskapizmu. Tymczasem przecież łączymy się z naszą widownią mocą jednoczącej metafory.

– Większość ludzi oglądających telewizję metaforę ma tam, gdzie zboczony żeglarz handszpak.

Tyson Benn głośno nabrał powietrza i zajrzał do pliku karteczek z pytaniami. Wśród nerwowych chichotów widowni Augusta dosłyszała niski, basowy śmiech, znajomy śmiech. Mam cię!

Jakaś ręka uniosła się na widowni i moderator, zadowolony z odwrócenia uwagi, skinął głową.

– Mam pytanie do panny Price – gdzieś ze środka audytorium odezwał się nosowy męski głos. Mężczyzny nie było widać w półmroku. Augusta potarła pulsującą skroń. – Nie oglądałem *Banku krwi*, więc na jego temat nie mogę się wypowiadać, ale *Koenig* to majstersztyk. Zachwiał ludzkim postrzeganiem. – Kątem zboląłego oka dostrzegła, że Christoph Frank pochyła głowę gestem skromnej podzięk. – Chodzi mi po prostu o to, czemu chciała pani grać w serialu z gatunku, którym tak wyraźnie pani pogardza?

Ludzie na widowni znów zaczęli szemrać, zwęszywszy wrogość.

Augusta rozejrzała się niepewnie, ale nagle oprzytomniała:

– Słucham?

– No bo pan Frank jest wyraźnie oddany swojej roli i swoim fanom. Wystarczy tylko przyjrzeć się fizycznej transformacji, której gotów był się poddać...

– Mówi pan o tych zębach? Kochany, przecież one są sztuczne jak cycki transwestyty.

Teraz wszczął się już wyraźny gwar. Frank obrócił się ostro w jej stronę i powiedział coś z furią po niemiecku. Przez widownię przeleciała fala śmiechu, a moderator bezskutecznie próbował interweniować.

– No właśnie o to mi chodzi. – Facet z widowni stopniowo podnosił głos. – Dlaczego pani obraża

takiego szanowanego aktora? Zwłaszcza że... No bo kim właściwie pani jest? Gwiazdką oper mydlanych?

Augusta poczuła, że do twarzy nabiega jej krew, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, jej dręczyciel został pociągnięty z powrotem na fotel z taką siłą, jakby ktoś kopniakiem zwałił go z nóg. Jednocześnie usłyszała znajomy głos, tak wyraźny, jakby przemawiał jej wprost do ucha:

– Czas, żebyś zamknął jadaczkę, koleś!

Stał w pustym pierwszym rzędzie i podnosił na nią oczy. Augusta nadal stała na scenie, nie chcąc zrezygnować z tej przewagi. Zawsze nad nią górował wzrostem, czego nie cierpiała.

– Mój rycerz w lśniącej zbroi – powiedziała.

Nic nie odpowiedział i raz w życiu Augusta nie była w stanie odczytać wyrazu jego twarzy. Nie wyglądał beznadziejnie, jak tego oczekiwała, i to ją rozczarowało. Przynajmniej nie poddał się tym szamanom – nie widziała śladu skalpela chirurgicznego, nic sobie sztucznie nie dodawał ani nie odejmował. W kącikach jego błękitnych oczu rozpościerała się delta głębokich zmarszczek, dwie głębokie bruzdy biegingy od nosa do ust. Sam nos nadal był skrzywiony pod dziwnym kątem. Zawsze uważała, że byłby przystojny, gdyby nie ten jeden otrzymany cios za dużo. Ale nie sposób było

uciec od genetycznego obciążenia i dodatkowe kilogramy, które odłożyły się na jego torsie i brzuchu, tylko częściowo udało się zatuszować odpowiednio skrojonym, granatowym garniturem.

Cała reszta panelistów zdążyła już uciec ze sceny. Herr Frank rzucił Augustcie na pożegnanie spojrzenie pełne goryczy. Tyson Benn gestykulował w jej stronę. Mała bródka trzęsła mu się w furii, ale Augusta go zignorowała.

– Zamieniasz się w swojego ojca – powiedziała.

– Tak – odparł Kenneth. – A ty nie.

– Hm. Kto by pomyślał.

– Mówię serio, Augusto. – Podszedł bliżej i oparł dłonie na krawędzi sceny. – Cudownie wyglądasz.

Z góry dostrzegła fragment czaszki różowiejącej między rozczochranymi jasnymi włosami i poczuła znajome pieczenie w oczodołach. Dobry Boże, pomyślała. Jestem równie beznadziejna, jak Frances.

Korciło ją, żeby mu nadepnąć na dłoń i odzyskać w ten sposób panowanie nad sobą, ale zamiast tego odezwała się szorstko:

– Słyszę, że masz pełne ręce roboty, Ken. Jakbyś uważał się za pisarza.

– Ludzie tak mówią, Augusto. – Zakołysał się lekko na piętach, trzymając się krawędzi sceny niczym chłopiec, który wlaźł na szczyt drabinek do wspinaczki. Zadowolony z siebie. Gotowy do flirtu. Oślepił ją fosforyzujący blask własnej furii, mogłaby go spalić

jednym spojrzeniem. A tymczasem on wydawał się tego nieświadomy.

– Masz nie pisać o mnie – syknęła, mierząc w niego drżącym palcem.

– Tak samo jak ty nie napisałaś o mnie? – Śmiał się z niej. Powinna mu była poobcinać te paluchy, kiedy miała okazję. – Prawie o mnie nie wspomniałaś w swojej książce. Ani o chłopcu. Jakbyśmy nigdy nie istnieli. – Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. –

Zamierzasz zobaczyć się ze swoim synem? – spytał w końcu Deller. – Wie, że jesteś w mieście.

Augustę ogarnęło wyczerpanie. Czują się bezwładna jak stara skarpeta, usta paliła jej suchość. Gdyby zaproponował, że zabierze ją na drinka, zgodziłyby się. Żałosne.

– Nie wyobrażam sobie, że Charlie chciałby się ze mną zobaczyć.

– Myślę, że mogłabyś się zdziwić. Charlie to teraz dorosły mężczyzna. Dawne, dziecinne historie ma już za sobą. Ale ja nie. – Kenneth uśmiechnął się do niej. To było tak, jakby widziała go w jakimś dawnym, prawie zapomnianym śnie. – Chodź ze mną na lunch, Augusto. Potem będziesz mogła mi nagadać. Zawsze to lubiałaś.

W mroku ktoś ostentacyjnie odchrząknął i po chwili w krąg światła weszła Frances, wyjątkowo niechętny świadek całego zajścia. Uniosła rękę sztywnym gestem.

– Hej. To było... No cóż, przynajmniej już po wszystkim. Teraz możesz się odprężyć. – Uśmiechnęła

się do Kennetha przelotnie i wyciągnęła dłoń. – Frances Bleeker.

– Ken Deller.

– Zostawię cię z przyjacielem, Augusto. – Frances zaczęła się wycofywać w stronę wyjścia. – Zobaczymy się w hotelu.

– To ty jesteś moją przyjaciółką! – zawołała za nią Augusta, ale dziewczyna zdążyła już zniknąć w ciemności. – To Frances – zwróciła się ponownie do Kena. – Moja asystentka, można by tak powiedzieć. Uroczą dziewczyną, nawet jeśli nieco płaczliwą. Pomaga mi przy mojej drugiej książce. – Oparła dłonie na biodrach, światło reflektorów zagrzewało ją do boju. – Bo pierwsza okazała się wielkim sukcesem.

– Ach... – westchnął Kenneth. – No to będę czekał na drugą książkę, w której się nie pojawię. – Teraz już wyraźnie się z niej śmiał. Poczula, że ze złości zwija dłonie w pięści. Nic nie szło zgodnie z planem. W tej chwili powinien skamleć jak zbity pies, błagać ją o wybaczenie. A nie częstować tym irytującym, szerokim uśmiechem, jakby przeszłości nie było, jakby nie spalili między sobą żadnych mostów. Jeden porządny kopniak, a uda mi się powybijać mu te zęby. Sam rachunek od dentysty zdoła go wysłać do przytułku dla ubogich... pomyślała, odruchowo napinając mięśnie nóg. – To jak? Mogę postawić ci lunch? – spytał lekko.

– Dobrze.

Rozdział 25

Zawsze lubiła chód Kennetha. Czasem to była jedyna rzecz, którą w nim lubiła. Teraz Augusta musiała wyciągać nogi, żeby nadążyć za nim w drodze w dół Wiltshire Boulevard. Szedł długim, swobodnym krokiem, wbijając wzrok w jakiś odległy punkt. Szedł tak, jakby nikt na to nie patrzył.

Czuła, że ból głowy przybiera na sile.

– To już blisko, prawda? – wysapała.

Wskazał na biały budynek w oddali, z dachem przypominającym kolce na grzbiecie jeża.

– Tam. Zjemy lunch w galerii sztuki.

Czy w galerii sztuki będą serwować wino? Na pewno tak. Nawet Amerykanie nie wykazaliby się aż takim barbarzyństwem. Augusta przyśpieszyła, postanowiwszy nie dać Kenowi tej satysfakcji i nie prosić, żeby zwolnił. Stopy ją bolały, ale jeszcze bardziej doskwierała urażona duma. Co za klapa! Kenneth szybko wyprowadził ją z centrum kongresowego, ignorując gniewne żądania Tysona Benna, by Augusta przeprosiła kolegów z panelu. „Niedługo ją wam oddam!”, zawołał Kenneth przez ramię, prowadząc ją w stronę parkingu.

Na jej komórce szybko pojawiły się wiadomości od Benna: obraziła Christopha Franka i nie pojawiła się

na sesji udzielania autografów. Dostała też równie nerwową wiadomość od Frances z informacją, że Fantasmagoria™ nie będzie dłużej gościnną wobec tych, którzy gościnną dłoń kásają. Czekala je eksmisja z pokojów hotelowych. Miała ochotę wyrzucić telefon, ale zadowolila się wciśnięciem go na dno torby.

Zwolnila, czujac klucie w boku. Gęsty zielony parkan biegł wzdłuż chodnika – przytrzymała się go, ciężko chwytając oddech. Jej twarz ogrzewaly promienie słońca, co chociaż raz sprawilo jej przyjemność. Uniosła głowę; powietrze wypełnial dziwny zapach: roślinny, ciemny, lekko gorzkawy. Otworzyła oczy i zamrugala. Kenneth zorientowal się, że przystanęła, i zawrócił po nią.

Po drugiej stronie ogrodzenia rozciągala się duży trawiasty skwer. Dzieci w wieku szkolnym bawily się na stopniach jakiegoś muzeum, wzniesionego na niewielkim pagórku w głębi od ulicy. Tu i ówdzie piękny trawnik szpeciły ciemne, oleiste sadzawki, których powierzchnia zdawala się kipieć w słońcu.

– Ken, gdzie my, u licha, jesteśmy?

– To asfaltowe jezioro La Brea. – Deller stanął obok niej, bliżej niż powinien.

W parku po drugiej stronie siatki dzialo się coś dziwnego. Z prawej strony na krawędzi asfaltowej sadzawki stal gigantyczny słoń, choć jak na słońca, miał fatalne proporcje: zbyt długie kły i za wysoko umiejscowione łopatki. Nagle w myślach Augusty

zamajaczyła nazwa tego prehistorycznego stworzenia: mamut. Obok figury mamuta stała druga, mniejsza. Mamuciątko. Trąbę miało uniesioną, jak w poczuciu zagrożenia, i zdawało się wzywać trzeciego mamuta, na wpół zanurzonego w kleistej mazi. To zapewne mamucia matka.

Augusta przyglądała się temu okropnemu obrazowi – mamuciątko rozpaczało, tracąc matkę, która tonęła w smole – i poczuła ponowny przypływ porannej wściekłości. Zacisnęła palce na sztachetach ogrodzenia.

– Jesteś podłym bydlakiem – syknęła.

Ken spojrział na nią, zdezorientowany.

– Co?

– To... – Machnęła ręką w stronę znieruchomiałych mamutów. – Ta mała rodzinna scenka. Porzucone młode. Przyprowadziłeś mnie tu, żebym to zobaczyła.

Gapił się na nią przez chwilę, a potem, ku własnej wściekłości, Augusta zorientowała się, że Ken za moment parsknie śmiechem.

– Augusto – powiedział, kiedy udało mu się zapanować nad wyrazem twarzy. – Jesteś szalona jak marsjański królik.

Zamówił butelkę wina i jakby wyczuwając jej potrzebę, szybko napełnił jej kieliszek niemal po wrąbek. Sobie nalał wyraźnie mniejszą porcję. Zmusiła

się, żeby chwilę odczekać, zanim chwyci kieliszek. Zamiast tego przyglądała się innym gościom na dziedzińcu galerii. Wyglądali, jakby zstąpili z jakiejś niebiańskiej fabryki, pozbawieni zmarszczek i zagnieceń. W Londynie wszyscy przez większość czasu sprawiali wrażenie zaniedbanych. Tylko tutaj docierało do niej, że to słowo ma przecież także swój antonim.

– Czy te śliczne roboty naprawdę potrzebują pomocy w sprawach miłosnych? – Teraz mogła wreszcie sięgnąć po wino. Trunek spłynął po jej gardle miękkim chłodem i natychmiast poczuła, że humor jej się poprawia.

Kenneth wzruszył ramionami.

– A kto nie potrzebuje?

– Chyba dziwi mnie, że jesteś tutaj. Taki nieoszlifowany kamień wśród idealnie błyszczących klejnotów.

Jeśli go to uraziło, nie miał zamiaru tego po sobie pokazać.

– Lubię Amerykanów – przyznał. – Przy nich człowiek wie, na czym stoi. Nie ma tego bezustannego poszukiwania ukrytych znaczeń.

Augusta głośno odstawiła kieliszek i para przy sąsiednim stoliku zerknęła na nich.

– To miała być szpila?

Nachylił się bliżej i przez moment widziała w nim młodego człowieka, z tą butą, która kiedyś zaparła jej dech w piersiach.

– Poczulałyś, gdybym chciał ci dokuczyć –

powiedział miękko.

Oparła się o tył krzesła. A więc... Wypowiedzenie wojny. Dziwne, ale poczuła ulgę, że Kenneth tak jasno wyraża swoje uczucia. Ten mały numer ze smutnymi mamutami oczywiście był zamierzony. Gdybym chciał ci dokuczyć... No cóż, przecież chciał, nieprawdaż? Będzie miał okazję do zemsty, w druku, w tej swojej idiotycznej książce. Wzięła kolejny łyk wina. Czy naprawdę sądził, że pozwoli mu zrujnować swoją przyszłość przez kłamstwa na temat ich wspólnej przeszłości? Jeśli tak, to był większym głupcem, niż zapamiętała.

– A więc tego chcesz – powiedziała powoli. – Zranić mnie.

Popatrzył na nią ze szczerą konsternacją. Zauważyła, że nadal miał tę maleńką bliznę na łuku prawej brwi, gdzie rąbnęła go popielniczką. Pamiętała tę popielniczkę – w kształcie sputnika, ale nie mogła sobie przypomnieć powodu kłótni.

– Nie chcę cię ranić, Augusto. Chciałem tylko zabrać cię na lunch. – Ken pochylił głowę nad menu i ledwie usłyszała jego następne słowa: – I może trochę pogapić się na twoje nogi.

Zaczęła szukać odpowiednio ciętej riposty, ale wino działało na jej gniew jak alkaliczna kąpiel.

– Zaraz wrócę – powiedziała, zgarniając swoją torebkę. – Zamów coś pysznego, dobrze? Tylko bez arszeniku.

Odszukała kelnerkę i spytała, gdzie znajdzie toaletę. Obróciła się jeszcze na chwilę w stronę stolika, spodziewając się, że przyłapie Kena na wgapieniu się w nią, ale on patrzył w inną stronę. Przez całą drogę w dół po białych marmurowych schodach gotowała się ze złości.

Dopiero kiedy po dłuższym czasie wspięła się z powrotem na górę i zobaczyła, że on nadal spogląda gdzie indziej, zorientowała się, że obserwował jej odbicie w szybie wysokiego okna galerii. Chciał na nią patrzeć, ale tak, by się z tym nie zdradzić. Poczowała w środku jakiś dziwny skurcz, niepowiązany z żadną emocją, którą umiałaby nazwać.

– Pamiętam, że się o coś wtedy kłóciliśmy – powiedziała, siadając. Kenneth znów napełnił jej kieliszek winem.

– Za którym razem?

Pogroziła mu palcem.

– Wtedy, kiedy twoja głowa znalazła się na linii trajektorii popielniczki.

– Ach...

– To dość spora głowa, sam przyznasz.

– Popielniczka też nie miała. – Podeszła do nich kelnerka i postawiła na stole talerze. Ken zamówił golenie jagnięce; blade kości sterczały pionowo spośród połyskliwej, obfitej porcji mięsa. Augusta łakomie pociągnęła nosem. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest głodna. – Doskonale pamiętam

tamtą kłótnię – podjął, nadziejąc na widelec kawałek jagnięciny. – Chciałaś wymigać się od wakacji szkolnych, żeby kręcić jakiś beznadziejny film w Cardiff. – Żuł spokojnie, ignorując brzęk, z jakim Augusta odłożyła widelec na talerz.

– Wcale nie dlatego się kłóciliśmy – odparła śmiertelnie spokojnym tonem.

– I chciałaś, żebym powiedział Charlesowi, że jesteś w szpitalu, bo wycinają ci wyrostek. Żeby wyjaśnić, czemu nie możesz go odwiedzić.

Deller wziął swój kieliszek z winem i spojrzał na nią ponad jego rąbkiem. On się świetnie bawi, pomyślała Augusta. Siedział tu i ścierał się z nią słownie, i to był dla niego punkt kulminacyjny tygodnia. A może i roku.

Wzięła głęboki oddech.

– Chyba masz początki alzheimera, Ken, skoro wydarzenia życiowe przesłania ci mgła – stwierdziła. – Ale ja sobie dokładnie przypominam tamten dzień: powiedziałeś mi, że chcesz, żebyśmy te szkolne wakacje spędzili wszyscy gdzieś w przyczepie na kempingu... –

Wzięła nóż i widelec. – Dlatego nie można ci ufać, kiedy opowiadasz o przeszłości. Twoja pamięć to sito o wyjątkowo dużych oczkach.

Gdy na nią spojrzał, z irytacją znów się zorientowała, że zbiera mu się na śmiech.

– Znasz tę historię o kotle i garnku, Augusto, prawda? – Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, dodał: – Jest łatwe wyjście z tego impasu. Po prostu zapytamy

chłopaka, jak było. – Sięgnęła po kieliszek i wyjrzała za okno; popołudniowe słońce tworzyło jednolitą ścianę światła. Mogłabym wziąć nóż i je przeciąć, pomyślała, pokroić na plastry i zabrać ze sobą do domu. Oczy bolały ją od tego blasku i na chwilę je przymknęła. Kiedy Ken znów przemówił, jego głos brzmiał inaczej. Nie było w nim kpiny, tylko łagodność. Głos, którego kiedyś lubiła słuchać po ciemku. – Zobacysz się z nim, prawda?

Znów zajęła się talerzem, ale jagnięcina wystygła. Przypominała teraz nieapetyczną galaretkę. Wokół nich gwar odbijał się od ścian i nagle jedyne, czego pragnęła, to znaleźć się w łóżku, otulona ciszą. Nie ufała samej sobie na tyle, żeby spojrzeć na Dellera.

To po prostu był kiepski dzień, pomyślała. Kiepski dzień, który zaczął się od kaca, a potem było już tylko gorzej.

Jakieś palce delikatnie postukały ją w grzbiet dłoni i Augusta podniosła wzrok. Pod malutką blizną oczy mężczyzny pełne były łagodnej perswazji.

– Nadal mam tę popielniczkę, gdybyś ją chciała odwiedzić. To jedna z niewielu rzeczy, których nie zabrałaś. Zawsze sobie wyobrażałem, że któregoś dnia może będziesz chciała jeszcze raz nią we mnie cisnąć.

Rozdział 26

Napis nad dziurawą wiatą dla samochodów głośił, że znalazły się pod motelem St. Tropez.

– Oto triumf nadziei nad rzeczywistością – powiedziała Augusta, wskazując palcem szyld.

Taksówka podrzuciła je do osławionej delty pomiędzy rwącym korytem autostrady 101 i powolnym prądem Bulwaru Hollywood. Frances, pokonana z kretesem, sięgnęła po swój cienki portfel. Augusta wysiadła z taksówki i stanęła na chodniku, patrząc, jak wiatr przewraca w rynsztoku zużyty kondom.

– Mój Boże... – westchnęła, kiedy Frances do niej podeszła. – Uwielbiam blichtr Hollywood.

Targając swoje torby, przeszły obok pustego zbiornika basenu. Farba z niecki odchodziła wielkimi łuszczykowatymi płatami. Ramię Frances ugięło się pod ciężarem plastikowej torby pełnej małych buteleczek wina, wódki i whisky. Kiedy spotkały się w hotelowym holu, a Frances szepnęła, że mają godzinę na spakowanie bagaży, Augusta pchnęła ją w stronę windy ze słowami: „Dobra, splądruj minibarek. I nie oszczędzaj likierów”.

Zameldowały się w St. Tropez, w pokoju wychodzącym na parking. Położyły się na bliźniaczych,

pojedynczych łózkach. Miniaturowe buteleczki stały na dzielącym je stoliku. Wyglądały przez brudne okno na kobietę poruszającą się na inwalidzkim elektrycznym skuterze, która zatrzymała się na chodniku, odebrała telefon i zaczęła negocjować cenę obciążenia druta.

Były zbyt otepiałe, żeby zrobić cokolwiek, mogły tylko patrzeć. Frances przewróciła się na bok i utkwiała wzrok w wyświetlaczu swojego telefonu, jakby to była wyrocznia mogąca wskazać jej drogę do zbawienia. Zajrzała na Facebooka i jeszcze raz przeczytała wpis Stanleya. Augusta zerknęła jej przez ramię.

– Stanley pyta, kiedy wrócisz do domu – przeczytała głośno, a Frances nachmurzyła się i zakryła komórkę dłonią. Augusta opadła na poduszkę, wzbijając w powietrze chmurę pyłków kurzu. – Stanley to ten facet z wieczoru wręczania nagród, prawda? Ten pijak z pięknym, siwym czubem? Nie jest dla ciebie za stary?

– Nie. Nie jest za stary. Posiwał przedwcześnie, to wszystko. – Frances usiadła i otoczyła ramionami kolana. Wyglądała jak mała dziewczynka. – To nie tak, że mężczyźni dobijają się do mnie stadami, Augusto. Już i tak mi źle, że nie mam pracy ani domu, ale do tego nie mieć jeszcze chłopaka... To zupełnie jak jakaś trylogia porażek. W moim wieku.

– No cóż, owszem – zgodziła się Augusta. – W tym zgrzybiałym wieku trzydziestu lat. Chyba najwyższy czas umieścić cię na krze lodowej i pchnąć na otwarte morze.

Frances obróciła się do niej. W świetle padającym od okna Augusta dostrzegła w jej oczach ostrzegawczy błysk wilgoci.

– Chyba się w nim zakochałam – powiedziała cicho.

Augusta, która teraz stale trzymała pod ręką paczkę chusteczek do nosa, wyciągnęła jedną i podała Frances.

– Skoro jesteś pewna...

– Czy jestem pewna? – Frances głośno wydmuchała nos. – Boże, jesteś zupełnie jak moja matka.

– Więc twoja matka musi być bardzo mądrą kobietą ze wspaniałym biustem. – Komórka piknęła, sygnalizując nową wiadomość, ale Augusta ją zignorowała. – Martwię się jedynie, że mogłabyś pomylić miłość do mężczyzny z miłością do życia, które ci oferował. Do pracy, którą uwielbiałaś. Kiedy do niego wzdychasz, być może wzdychasz po prostu z tęsknoty za tą straszną gazetą. Bóg raczy wiedzieć dlaczego. Lepiej by ci się żyło, gdybyś zajmowała się wylewaniem gnojówki do rzeki.

Frances bezwładnie opadła na materac.

– Bardzo dziękuję za radę, pani doktor.

– Prawdę mówiąc, nie udało mi się zrobić dyplomu z medycyny.

Telefon znów zapiszczał. Augusta zakląła i podniosła go z szenilowej narzuty, gdzie leżał pomiędzy dwoma plamami, jedną starą, a drugą całkiem świeżą. Kolejna wiadomość od Kennetha. Zanim się z nią pożegnał po lunchu, kazał jej obiecać, że przyjmie zaproszenie

na obiad do jego domu. Wiadomość, którą przysłał, zawierała adres i numer telefonu. W podpisie załączył aroganckie „X”, jakby w ich wspólnej przyszłości mogło się znaleźć miejsce dla całusów.

Augusta sięgnęła po buteleczkę białego wina i bez słowa podała ją Frances. Dla siebie wybrała czerwone. Leżały na łózkach i patrzyły, jak kobieta przed motelem targuje się w sprawie swoich usług, kosząc dłonią powietrze dla podkreślenia słów.

Telefon Augusty znów się odezwał, tym razem dźwiękiem ciągłym. Gwałtownie podniosła go do ucha i wrzasnęła:

– Przestań mnie napastować, ty cholerny kutasie! –
Potem komicznie otworzyła usta i powiedziała z zakłopotaniem: – To ty, kochanie... Przepraszam. –
Kiedy już się rozłączyła, przez chwilę siedziała, gapiąc się na aparat. – To była Alma, moja przyjaciółka z Londynu. Moja starsza wiekiem przyjaciółka. Chciała się dowiedzieć, czy popadłam w jakieś tarapaty. Śledziła strumień tweetów z tego konwentu. – Podniosła oczy na Frances. – Co to jest strumień tweetów, do kurwy nędzy?

Rozdział 27

Frances wyczerpała już wszystkie źródła darmowego materiału do czytania w pokoju motelowym: zeszytygodniowy egzemplarz „LA Weekly”, numer magazynu „Freedom” z młodą, wyznającą scjentologię gwiazdką pop na okładce i ulotkę o Disneylandzie. Zastanawiała się już nawet nad biblią w szufladzie przy łóżku, ale jej stronicy były posklejane.

Wszystko, byle uniknąć myśli, które tłoczyły się bez końca, pożerając nawzajem swoje ogony. Do niczego, do niczego, do niczego, warczały każda pełną kłów paszczą, aż w końcu Frances usłyszała, że sama powtarza na głos:

– Jestem do niczego.

Zasłoniła usta dłonią, ale Augusta była pod prysznicem i jej nie słyszała. Czy ona stała kiedyś na jakimś poprzecieranym chodniku, udzielając samej sobie głośnej reprimendy? Frances szczerze w to wątpiła. Augusta natychmiast zalałaby czymś ten wredny wewnętrzny głosik. Frances tęskniła za rodzicami, którzy pamiętali, kim była kiedyś; oni nie gardziliby nią z powodu porażki. Tęskniła za widokiem Stanleya, który dostrzegał jej potencjał. Stanleya, który potrafił zaryzykować katastrofę.

Spuściła stopy z łóżka. Puste buteleczki utworzyły na nocnym stoliku najeżony mur. Słyszała, że Augusta pod prysznicem co jakiś czas z obrzydzeniem klnie na jakość motelowego szamponu.

Przyciągnęła kosz na papiery bliżej i zaczęła wrzucać do niego butelki. Dźwięk uderzającego o siebie szkła przypomniał jej o czymś i kiedy ostatnia buteleczka wylądowała w koszu, Frances podeszła do swojej torby i wyciągnęła z niej książkę Augusty. Wróciła do łóżka, wyciągnęła się na nim i otworzyła tom na stronie, którą zagięła, czytając ją po raz pierwszy.

Wraki z Wreckford Hall

Samochody to wrogowie picia. Nie tylko z powodów, jakie można sobie wyobrazić – że tona metalu to poważna broń w rękach kogoś, kto nie jest w stanie nawet trafić kluczykiem do stacyjki.

Nie, samochody pijaków umiejętnie zdradzają. To nie są nasi przyjaciele. Proszę sobie przypomnieć, w ilu przypadkach czytali Państwo o celebrytach, których wstydlive uzależnienie wyszło na jaw, a zazwyczaj dzieje się tak za pośrednictwem jakiegoś pojazdu. Późną nocą zaparkować w szybie kawiarni, jeździć bez końca w kółko po jakimś rondzie na przedmieściach, nie potrafiąc znaleźć odpowiedniego zjazdu. A paparazzi jakimś tajemniczym zbiegiem okoliczności zawsze znajdują się pod ręką, żeby uwiecznić moment, kiedy policja wyciąga biednego idiotę z jego lotusa.

Albo zdradza to, co jest we wnętrzu samochodu, bo przecież to taki mały domek podróżny na kółkach, nieprawdaż? Żona myśli, że rzuciłeś picie, póki pewnego dnia nie ma problemów z hamowaniem, bo pod pedałem zaklinowała się puszka po cydrze. Nigdy nie wolno lekceważyć uporu osoby, która musi się nawalić. Wytrwałam niezliczone mityngi AA tylko po to, by się upewnić, że są na świecie przypadki bardziej beznadziejne niż mój.

Za pierwszym razem to samochód mnie zgubił. Przy czym wcale nie ja prowadziłam. Jeśli mam jakieś życiowe motto, brzmi ono: Po co prowadzić samochód, skoro mogę być wożona. Przez pierwszych parę lat przy *Kanałach*, kiedy producenci byli przeszczęśliwi, że Kit Gallagher tak skutecznie przyciąga widownię, codziennie miałam do swojej dyspozycji samochód, który mnie przywoził na plan i odwoził do domu.

Mój kierowca miał na imię Joe – święty Joe, patron wspomnień. Co rano o szóstej przyjeżdżał po mnie. Zastawałam go opartego o maskę sedana, zawsze miał słodką kawę – dla siebie i dla mnie. Przez niemal godzinę raczył mnie opowieściami o trójce niewdzięcznych dzieciaków, które nie mają pojęcia, jak im się w życiu powodzi, a które upierały się, żeby się posługiwać kompletnie niezrozumiałą mieszaniną gwary londyńskiej i antylskiej, którą określali jako „Jafaikan”. To były bardzo długie przejażdżki.

Z tego też powodu trzymałam w torebce plastikową

buteleczkę z płynem do szkieł kontaktowych. Choć doczytawszy do tego miejsca mojej historii, pewnie Państwo już zgadli, że w butelce nie było płynu EZ No-Rub Klen, ale wódka, kupowana w litrowych butelkach i pracowicie przelewana co wieczór do mniejszych pojemników. Każdego ranka w czasie długiej jazdy do Surrey udawałam, że najpierw zakładam sobie szkła kontaktowe, a potem że je sobie poprawiam. Czasem nawet szukałam ich na podłodze, podczas gdy Joe na przednim siedzeniu użalał się nad swoim losem. Byłam dość dumna ze swojego podstępu, tak jak pijacy zawsze bywają dumni, kiedy im się wydaje, że nikt nic nie zauważył.

Pewnego ranka poprosiłam Joego, żeby zatrzymał samochód przy kiosku, bo chciałam sobie kupić paczkę Marlboro Light. Musiało to być jakoś w okolicach Bożego Narodzenia, bo facet za kontuarem miał czerwoną czapkę z pomponem, obrzeżoną wianuszkami dzwoneczków. W pierwszej chwili, gdy dobiegły nas krzyki, sklepikarz szarpnął głową w stronę drzwi i wszystkie dzwonki się rozdzwoniły. Złapałam papierosy i wybiegłam na zewnątrz, pewna, że Joe wdał się w bójkę na śmierć i życie z jakimś oprychem z południowego Londynu.

Ale był tam wyłącznie Joe, który po omacku usiłował wysiąść z samochodu, jedną dłonią gorączkowo ocierając oczy. Zaczepił stopą o krawężnik i zanim się zorientowałam, co się dzieje, leżał już na chodniku

Croydon, z twarzą wykrzywioną bólem.

– Kurwa, wypaliło mi oczy! – wrzeszczał.

Dwa tygodnie później zameldowałam się z jedną walizką – starannie sprawdzoną pod kątem butelek z EZ No-Rub Klen oraz innych podejrzanych pojemników – we Wreckford Hall w hrabstwie Hertford. Nieobecność Kit pośpiesznie dopisano do scenariusza serialu: jak pamiętam, szczęśliwa zdrapka wreszcie dostarczyła jej funduszy na od dawna należne wakacje w Benidorm. Jedź, powiedzieli producenci, a my zapłacimy. Wydobrzej. Byli mną zmęczeni. Wódczana ślepotą Joego dała się szybko wyleczyć, ale w powietrzu wisiała potencjalna sprawa w sądzie.

Nie po raz pierwszy najadłam się wstydu na planie *Kanałów* – jak mi mówiono, były takie dni, kiedy nie można było zrozumieć mojego bełkotu, chociaż we własnych uszach brzmiałam niczym Sybil Thorndike wzmocniona rezonansem kryształowego dzbana. Złudzenia, moi najwierniejsi kompani. Alma chroniła mnie najlepiej jak umiała, przepisując kwestie Kit do notatnika, który mogłam ze sobą nosić i udawać, że sprawdzam dzisiejsze specjalne menu. Ale koniec końców, nawet jej wiara nie wystarczyła.

To był pierwszy przypadek, kiedy przez moje niedociągnięcia ucierpiał jakiś kolega z pracy. Bardzo się wstydziłam. Pracodawcy nie mogli już dłużej odwracać wzroku. Zamiast tego wysłali mnie na sam kraniec Metropolitan Line. Do Wreckford Hall.

To nie był mój pierwszy raz... Jak by to nazwać? Na leczeniu? W tarapatach? Ucieknijmy się do terminu naszych amerykańskich kuzynów – w ośrodku rehabilitacyjnym. Nie pierwszy raz i nie ostatni. Jeśli w ciągu minionych lat udało mi się zebrać jakiś naparsteczek mądrości, to brzmi ona następująco: Nikt nie może ci nakazać wyleczenia. Sam musisz za to zapłacić, pod każdym możliwym względem.

Nie mieszkalam z nikim, nie tak, jak normalni ludzie, odkąd opuściłam dom w wieku siedemnastu lat. Jeśli doczytali Państwo do tego miejsca, to wiecie już o moim lęku przed zamkniętą przestrzenią oraz wszelkiego typu bliskością. Te niepokoje, miał mi wkrótce wyjaśnić terapeuta, tworzyły mury, za którymi kryłam się przed światem. „Smycz ego”, chyba tak to nazwał.

Jak wszyscy pacjenci z Wreckford, dostałam współlokatorkę. Miałam sporo szczęścia, że trafiła mi się Margaret, cierpiąca na bulimię i napady obżarstwa matka trójki dzieci z Kent, która okazała się na tyle miła, że swoje nawyki pani domu rozciągała też na moją połowę naszej zakonnej celi. Czy Margaret również uważała, że jej się pofarciło – o tym niech napisze we własnych wspomnieniach sama.

Margaret była gruba i kiedyś jowialna, ale jej rodzinie wreszcie zaszedł za skórę kwaśny odór wymiocin i wahania nastroju, które towarzyszyły wahaniom wagi. Spacerowałyśmy po terenach Wreckford Hall na naszych czterech kłocowatych

nogach – Margaret, żeby choć częściowo spalić herbatniki, które udało jej się przeszmygłować do pokoju (ukryte w pudełku z podpaskami), a ja, żeby móc zapalić. Niestety, pomniejszy lord, który spieniężył posiadłość, żeby uregulować karciane długi, parę lat wcześniej sprzedał ogrody na klub golfowy. Park o wszelkich godzinach dnia bywał upstrzony mężczyznami wymachującymi kijami do golfa i rechoczącymi w niewielkich grupkach. Nieraz, kiedy spacerowałyśmy po uroczej, równiutkiej trawie, rozlegały się wrzaski: „Uwaga!”. Margaret oberwała nawet kiedyś piłeczką w brzuch. Myślałam, że się rozpłaczę, ale zamiast tego rzuciła się z wrzaskiem na faceta, który puścił tę piłkę, wyrwała mu kij z ręki i zaczęła demolować nim jego wózek. Nierozwiązane problemy z gniewem, powiedziano nam tego popołudnia na terapii grupowej, stanowiły źródło choroby Margaret.

No cóż, można by uznać, że kpię sobie z całego procesu, że nigdy nie traktowałam go poważnie. To prawda. Ponieważ nigdy nie trafiłam tam z własnej woli, byłam zacięta niczym dwunastolatka wysłana do gabinetu dyrektora. Całe to doświadczenie wydawało mi się szkołą podstawową w miniaturze, tylko o wiele gorszą, bo nie mogliśmy wychodzić i podkradać rodzicom alkoholu. Hierarchia była tak samo sztywna. Ci na szczycie, najfajniejsze dzieciaki, to byli poważnie uzależnieni – heroina, kokaina – plus każdy, kto

usiłował kiedyś pozbawić życia albo siebie, albo kogoś bliskiego. Moja własna mizerna sława oraz całkowicie przewidywalna mieszanka leków i alkoholu plasowały mnie w kategorii tuż poniżej. Na najniższym szczeblu, zupełnie jak w szkole, byli ci z zaburzeniami odżywiania, anorektycy i bigorektycy, bulimicy i ci od wymiotów.

Wreckford, w przeciwieństwie do niektórych innych, bardziej despotycznych (i droższych) klinik, zezwalało na odwiedziny, ale podczas paru tygodni, które tam spędziłam, nikt do mnie nie przyjechał.

Nie. To nieprawda. Odwiedzała mnie regularnie Alma. Zawsze wyczuwałam, że tuż przed przyjazdem zjadła całą paczkę miętówek, żeby zamaskować zapach ginu wypitego do lunchu. Prawdziwa przyjaciółka.

– Nie jestem pewna, czy do końca rozumiem, dlaczego tu przebywasz – szepnęła przy pierwszej wizycie. Siedziałyśmy na ławce pod czerwolistnym bukiem, a golfiści brali zamachy i posyłali piłki w zagłębienia terenu w oddali. – Doszło do tego incydentu z kierowcą – biedaczyna – ale otrzymał odszkodowanie, a wzrok niemal całkowicie odzyskał. Jednak, pomijając tę sprawę, komu zaszkodziłaś? Za moich czasów, zanim kurtyna poszła w górę, niemal każdy był na rauszu, to pomagało na nerwy. Grałam w *Życiu prywatnym*, kiedyś w Wolverhampton, gdy kolega w roli Elyota udawał, że w głębi sceny szuka parasola w stojaku. A tak naprawdę zwracał zapiekankę,

którą zjadł na lunch. Pokryłam to, śmiejąc się najgłośniej, jak umiałam, a on w końcu obrócił się do mnie, powiedział: „Amando, kochanie”, i ruszyliśmy z tekstem dalej.

– Czasy się zmieniły – odparłam. – Solidność. Polisy ubezpieczeniowe. – Alma tylko pokręciła głową. – Pokuta – dodałam.

Obróciła się w moją stronę ostrym ruchem.

– Tu nie ma nic do wybaczenia. Popełniłaś serię drobnych błędów, jak każdy z nas.

Ale to nie był system przekonań obowiązujący we Wreckford Hall. Zawsze znalazł się ktoś, kto ucierpiał, a czyje przebaczenie znajdowało się tuż poza zasięgiem ręki.

Problem polegał na tym, że zgadzałam się z Alną: nie uważałam, żebym była komuś winna wyjaśnienia. Na tym wczesnym etapie zdrowienia uważałam, że jestem nie na swoim miejscu, wśród staczających się pijaków, artystów z zanikami pamięci, zombi, którzy wbijali sobie igły w żyły na stopach, bo wszystkie do niczego się już nie nadawały. Sama nigdy w życiu nie wbiłam sobie żadnej igły, paznokcie miałam czyste. Jakim cudem jestem ćpunem?

Na spotkaniach oczywiście nie wolno było tego powiedzieć. Więc wypracowałam sobie przekonującą linię kajania się, podczas gdy mój tyłek powoli rozpląszczał się na składanym krześle i jadłam tyle herbatników, że spodnie nie chciały mi się dopiąć.

Na naszych codziennych spotkaniach grupowych nauczyłam się recytować listę swoich przewin – rozczarowałam przyjaciół, kolegów z pracy, samą siebie. To było łatwe, jak pamięciówka, jak kiedyś odmawianie różańca.

Raz w tygodniu był dzień „Twarzą w twarz”, przed którym wszyscy drżeli. Nie bez powodu. Tego dnia zbieraliśmy się w głównej sali spotkań, a nasz krąg składanych krzesel poszerzał się o członków rodzin, których skrzywdziliśmy. Każdy krewny mógł wziąć udział – mąż, żona, dziecko – i przedstawić litanie zdrad, kłamstw i cierpienia, które spowodował uzależniony. Koszmarnie się patrzyło na to połączenie zgromadzenia modlitewnego kwaków z maoistowskim procesem pokazowym. Po długich chwilach milczenia wybuchały rozpaczliwe i łzawe oskarżenia.

Córka Margaret przyjeżdżała co tydzień, żeby ją flekować. Pozostałe dzieci i mąż miały to wszystko gdzieś, ale ta dziewczyna – blada, urocza kobieta koło trzydziestki, wyglądająca na dziesięć lat mniej – co tydzień wybierała się w dwugodzinną trasę autobusem do Wreckford, żeby poinformować swoją matkę, że zrujnowała jej życie i że jej własne zaburzenia odżywiania oznaczają, że żaden mężczyzna nigdy jej nie pokocha.

– Wyciągałam z kosza na śmieci tort szwarcwaldzki, kiedy powinnam była bawić się gdzieś na mieście i poznawać miłych ludzi – oskarżała matkę, a Margaret

siedziała i płakała w podartą chusteczkę.

Regularnie próbowałam ją pocieszyć przed cotygodniowymi sesjami, ale ile razy przypomniałam jej przy śniadaniu, że to Dzień Pieprzenia w Twarz, ona tylko uśmiechała się ponuro i wracała do swojego grejpfruta. Nie była fanką wulgaryzmów w stylu Larkina.

Ale teraz dostrzeżliście już zapewne lukę w mojej narracji, pustkę skrytą za brawurą. Zastanawiacie się, gdzie byli ludzie skrzywdzeni przeze mnie? Kto przyjeżdżał poobrzucać mnie oskarżeniami? Odpowiedź brzmi: nikt. Siedziałam i patrzyłam, jak moi współpacjenci są biczowani i łojeni, aż załamywali się i niemieli, i myślałam sobie: Czy to nie powinna być moja kolej? Gdzie są ludzie, nad którymi się znęcałam? Ale nikt nie przyjeżdżał, a ja siedziałam, dzień po dniu, samotna ze swoimi myślami. To ja sama się nad sobą znęcałam.

– Może to nie zdarzyło się dokładnie tak... – powiedziała Augusta, zaglądając Frances przez ramię.

Dziewczyna z piskiem upuściła książkę.

– Na miłość boską! Nie podkradaj się do ludzi w taki sposób. Śmiertelnie mnie przeraziłaś.

– Ja bym tego nie nazwała podkradaniem się, kochanie. Na tym rzadkim dywanie można by usłyszeć spadanie na ziemię mysich bobków. – Augusta przysiadła na skraju łóżka, susząc ręcznikiem włosy,

z papierosem zwisającym z kącika ust. Drugi ręcznik o wystrzępionych brzegach udrapowała wokół czujnika dymu. – Stwierdzam jedynie, że wydarzenia we Wreckford Hall mogły się toczyć nieco innym trybem. Charlie i Kenneth pojawili się tam może raz, a może dwa. Ale o ile pamiętam, nabawiłam się infekcji i nie mogłam się z nimi spotkać. Tak czy inaczej – odrzuciła ręcznik na bok i podeszła, naga, do otwartego okna – te sesje „Twarzą w twarz” były niewyobrażalnie nudne.

Frances sięgnęła po upuszczoną książkę.

– Pewnie powiesz, że jestem strasznie prowincjonalna, ale nie sądzisz, że twoi czytelnicy woleliby poznać fakty? W przeciwnym razie to takie trochę... Sama nie wiem. Jak przedstawienie.

Augusta odwróciła się od okna i Frances po raz pierwszy zauważyła srebrzyste rozstępy otaczające jej talię. Matka Frances miała podobny zestaw.

– Kochanie, nikt nie chce faktów. Za to każdy chce opowieści.

Frances usiadła na łóżku. Wkoło niej walały się notatki robione do szkicu książki. „Pokazać życiu środkowy palec”, napisała u góry jednej z nich. Poradnik ocaleńca, który pokonał przeciwności losu.

– Dobrze. W takim razie opowiedz mi jakąś historię. Coś, co będziemy mogły wykorzystać.

Augusta stanęła naprzeciw niej i położyła dłonie na biodrach. Słupek popiołu z papierosa podryfował

na podłogę. Frances przypomniła się wizyta złożona w Muzeum Brytyjskim, gdzie posąg Artemidy, gwizdnięty z greckiej willi, rzucał gniewne spojrzenia z jakiegoś zapomnianego kąta.

– Nie martw się. Kiedy skończę, będziesz miała tę swoją historię.

Rozdział 28

Właśnie tego nie potrafię zrozumieć w tym kraju. –

Augusta spoglądała ponad krawędzią plastikowego menu. – Całkiem beztrzesko będziecie pić płynne masło, ale odrobina alkoholu jest uważana za truciznę. –

Pomachała kartą w stronę Frances. – Przecież tu nie ma nawet piwa.

Spędziły w motelu niespokojną noc, odgłosy ruchu drogowego i wczesnoporannych zbliżeń zakłóciły im sen. W pewnym momencie Frances obudziła się i stwierdziła, że cały pokój drży. Wyskoczyła z łóżka, gotowa wrzeszczeć: „Trzęsienie ziemi!”, i dopiero kiedy wstrząsy narosły do rytmicznego crescendo, zrozumiała, że trzęsienie ziemi miało swoje epicentrum w okolicy sprężyn łóżka w sąsiednim pokoju.

W południe wywlokły się na ulicę. Frances była zbyt zmęczona, by wyjaśniać, że naleśnikarnia to najtańsze miejsce, gdzie mogą napełnić żołądki. Apatycznym ruchem odłożyła menu i wyjrzała za okno.

Na chodniku jakiś mężczyzna siedział na wózku inwalidzkim, trzymając na kolanach brudny kubek ze Starbucksa. Do oparcia fotela przymocował amerykańską flagę, która zwisała nieruchomo w upalnym powietrzu poranka. Skulony u jego stóp pies

miał na szyi bandanę z wzorem flagi. Frances patrzyła na nich przez kwadrans. Tylko jedna osoba wrzuciła do kubka jakieś drobne.

Jak on tu przyjechał? Jak dostanie się do domu? To nie było miasto zbudowane dla niepełnosprawnych. Pomyślała o własnym ojcu, jakieś trzysta mil w górę wybrzeża, i o ścieżkach wzdłuż klifów, którymi już nie mógł się cieszyć. Wzięła głęboki, drżący oddech.

– Nie, żadnych łez przed lunchem – zapowiedziała Augusta. – Myślałam, że tę jedną zasadę uzgodniłyśmy.

– Ja nie płaczę. To tylko to głupie słońce... O, kurczaki...

– Kurczaków w menu nie widziałam. Zresztą nie przepadam za nimi, zwłaszcza na śniadanie – powiedziała Augusta. Frances patrzyła w głąb słabo oświetlonej jadłodajni.

– W głowie mi się to nie mieści. Znam tu kogoś z obsługi.

– Tę kobietę z brodą? – Augusta wyciągnęła szyję.

Dziewczyna nagle zgarbiła się najniżej, jak mogła, i założyła okulary przeciwsłoneczne.

– Powinnyśmy stąd pójść.

– A moje pyszne maślane placuszki z maślanym sosem?

– O Boże... On tu idzie.

Kelner, który podszedł do ich stolika z dzbankiem wody, miał ciemne włosy opadające nisko na niebieskie oczy i starannie przystrzyżoną kozią bródkę. Na jego

szyi pysznił się wytatuowany naszyjnik z chińskich znaków. Zdawał się idiotycznie pogodny, biorąc pod uwagę okoliczności.

– Jak się panie mają? – zagaił. – Najpierw proponuję wodę. – Napełnił szklanę Augusty, a potem obrócił się do Frances... i zamarł z komicznie otwartymi ustami.

– Frances? – zapytał, kiedy już otrząsnął się z pierwszego szoku. – Stara, to ty?

– Cześć, Jason. – Zrezygnowana Frances zdjęła okulary.

Kelner położył dłoń na chudym biodrze i pokręcił głową.

– Ale numer. Co ty robisz w LA? Ostatnio, zdaje się, miałaś pracę w Londynie.

– Tak, zgadza się – odparła, mocno splatając palce pod stołem. – W redakcji „Advance”.

– Wiem! – zawołał Jason tak impulsywnie, że klienci z sąsiednich stolików obejrzeli się na niego. – Totalnie zwiłaś z tej naszej kurzej farmy. Tobie jednej się udało. I co, jesteś tu teraz, żeby popracować nad jakimś tematem?

Augusta patrzyła, jak Frances walczy ze sobą, szukając odpowiednich słów.

– Tak, w sumie to ma bardzo ważne zlecenie – wyręczyła ją. – Dla mnie. Piszemy razem książkę. –

Zignorowała wyraz ulgi na twarzy Frances i wyciągnęła rękę. – Augusta Price.

Chłopak wytarł dłoń o fartuch.

– Jason Benedetti.

– Jason i ja studiowaliśmy razem dziennikarstwo. – Frances nagle odzyskała głos. Nie dodała jednak: A ja się w nim trochę podkochiwałam, bo nie chodził na zajęcia i puszczał w swoim pokoju *Fugazi* na cały regulator. Kiedyś nawet marzyłam, żeby wsunąć się pomiędzy jego nieświeże prześcieradła.

– Frances była naszą gwiazdą – powiedział chłopak, a Augusta, patrząc w jego oczy, zorientowała się, że rano strzelił już sobie fajeczkę z marihuaną. Już chciała spytać, czy by się z nią nie podzielił, kiedy chłopak uderzył o stół notesem do zamówień. – Zawsze wiedzieliśmy, że daleko zajdzie.

– Ale gdzie tam – zaprotestowała Frances.

– No pewnie! Miałaś skrzydła.

– Dawne dzieje – niemal warknęła. Jason spojrzął na nią uważnie, przechylając głowę, więc zmusiła się, żeby dodać pogodniejszym głosem: – A więc zostałeś w LA.

– Taa – westchnął. – To nie Londyn, ale jakoś się tu utrzymuję, póki nie zrealizuję swojego projektu. –

Pochylił się nad stołem i ściszył głos: – Tak naprawdę jara mnie ten Tumblr, który stworzyłem. Zamieszczam tam wszystkie komiczne anonse seksualne, które znajduję w serwisach. Nie uwierzyłabyś, do jakiego szajsu zdolni są ludzie. Przyznam, że trochę to smutne. Zupełnie jak cały nasz świat pod mikroczipem.

– Mikroskopem – poprawiła go Frances, zanim zdołała się powstrzymać.

– Taa, no właśnie. – Jason się wyprostował. – W przyszłym tygodniu mam spotkanie w Fox. Jestem całkiem pewien, że go kupię.

– Że kupię twój Tumblr z anonsami seksualnymi?

– Równie dobrze moglibyście rozmawiać w urdu – wtrąciła Augusta, ale oboje ją zignorowali.

– Stara, w tym leży prawdziwa kasa. – Chłopak przeciął powietrze ruchem naśladującym cios karate. – Ale powiedzcie, co mogę wam podać?

Kiedy już złożyły zamówienie, Frances znów przygarbiła się na swoim miejscu.

– To było straszne – sapnęła.

– Nonsens. Chłopiec wyraźnie za tobą przepada.

– Tylko dlatego, że nie wie, jak nisko upadłam.

– Jak nisko upadłaś? Biedna, zbrukana wiktoriańska dziewczica. – Augusta próbowała się odkleić od wilgotnej skajowej ławeczki. – Skończmy to nasze masło i znajdziemy sobie coś naprawdę krzepiącego, dobrze?

Sztuczny głąz obok nich emitował głos Lionela Richie. Augusta popatrzyła na niego i zachwiała się. Oparła dłoń na palmie z włókna szklanego, żeby się nie przewrócić.

– Nigdy jeszcze nie widziałam czegoś tak pięknego –

westchnęła. Frances zaprowadziła je do najmniej naturalnego miejsca, jakie Augusta mogłaby sobie wyobrazić – centrum handlowego w samym środku miasta, zaprojektowanego tak, by udawać nostalgiczne marzenie o małomiasteczkowej głównej ulicy. Stały, pijane w sztok, na akrylowym skrawku trawnika i patrzyły, jak tramwaj wiozący zakupowiczów mija lodziarnię sprzedającą smartfony. – Triumf człowieka nad suką naturą – podjęła. – Zachwyca mnie to. –

Błyszczącymi oczami chłonęła widoki: kamery ochrony udające drzewa, stoisko z burrito udające meksykański dom ranczerski. – Tam. – Wskazała palcem restaurację. – Oto wielkie X zaznaczone na naszej mapie.

Niepewnym krokiem ruszyła przed siebie. Frances poszła za nią, odmawiając w myślach modlitwy. To miał być ich trzeci przystanek od śniadania, a każdy kolejny stawał się bardziej mglisty niż poprzedni. Przy każdym też Frances wyciągała swoją kartę kredytową. Próbowwała nie myśleć o konsekwencjach jej nadużywania.

Grupka kobiet siedziała przy kawie obok chlorowanego strumyka, niedaleko bawiły się dzieci. Augusta pomyślała, że w ciągu ostatnich dwóch dekad macierzyństwo przeszło jakąś magiczną transformację. Te kobiety nie wydawały się wykończone ani zmarnowane. Wszystkie miały połyskliwe włosy koloru miodu i nogi długie jak drabiny.

– Hecubah! – zawołała jedna z nich do małej dziewczynki w długiej koronkowej sukience. – Hex, wracaj tutaj!

– To dziecko wygląda zupełnie jak Stevie Nicks – zauważyła Augusta. – Sprzed kokainy, naturalnie.

Pół godziny później nadal siedzieli na patio meksykańskiej restauracji. Między nimi stał metalowy kubek pełen kostek lodu i miniaturowych butelek piwa. Frances wypijała jedno, jej towarzyszka zdążyła opróżnić znacznie więcej. – Co się porobiło z tym krajem? – westchnęła Augusta. – Ogromne talerze jedzenia i maleńkie drinki. Świat stanął na głowie. To jakby przenieść Australię na górę mapy.

– Być może dałoby się to zamieścić w nowej książce – odparła zamyślona Frances. – Świat do góry nogami.

– Książce? – Augusta wygrzebała spomiędzy zębów odrobinę miąższu limonki. Kolejny strzęp przylepił się do jej prawej piersi jak mały, wyuzdany zielony jęczyzek.

– W przewodniku do radzenia sobie z kryzysami. Nad którym podobno pracujemy.

– Och, dobry Boże, ta książka! Książki... – Augusta się skrzywiła. – Po co, u licha, ludzie je piszą? Powiem ci, po co. – Nachyliła się nad stołem i w ostatniej chwili Frances pochwyciła butelkę, która się przechyliła. –

Żeby wygrać. Żeby twoja wersja historii mogła wygrać. Bo one trwają wiecznie, te małe cholery. Dłużej niż filmy. O wiele, wiele dłużej niż miłość.

Frances otworzyła drugie piwo.

– Są inne powody do pisania.

– Nie, kochanie. Chodzi o to, żeby twoja prawda dała popalić czyjeś prawdzie. – Augusta złapała za łokieć przechodzącą kelnerkę. – Dwie margarity, moja miła. Chyba tym razem poprosimy o... – zmrużyła oczy, patrząc w menu – ...te w rozmiarze „wanienka frajdy”. – Promień zachodzącego słońca rozjaśnił włosy Augusty, zapalając w nich płomienie. Mięsz limonki na jej piersi połyskiwał zachęcająco. Jakiś chłopiec przy sąsiednim stoliku nie odrywał wzroku od jej biustu. – Nieładnie jest wpatrywać się damie w dekolt – powiedziała, patrząc mu w oczy. – Chyba że sama cię do tego zachęca.

Matka chłopca sapnęła i przyciągnęła dzieciaka bliżej siebie.

Frances otulił kocyk piwnego zadowolenia.

– Nie rozumiem jednego – odezwała się powoli. – Czym ty się niepokoisz? Co takiego Kenneth mógłby na twój temat napisać, czego sama nie opowiedziałaś jeszcze światu?

– Chcesz wiedzieć, jakie kłamstwa? – zapytała Augusta i sięgnęła po żakiet, który wisiał na oparciu jej krzesła. Słońce zachodziło za wieżą zegarową, na której wskazówki permanentnie pokazywały dwunastą. –

Chłodnawo się robi, prawda? Chyba już wystarczająco się wzmocniłyśmy przed kolejnym etapem naszej misji.

Głośno odsunęła krzesło i wstała niepewnie. Chłopiec przy sąsiednim stoliku zaśmiał się, zasłaniając buzię rączką. Augusta ułożyła palce prawej dłoni w kształt pistoletu i wymierzyła w czoło malca.

– No chyba że... – podjęła Frances, chociaż Augusta zdążyła już odejść od stolika, zakosami pokonując drogę do wyjścia – ...chyba że będzie pisał o Charlesie. I o waszej toksycznej rodzinie.

Rozdział 29

Złota godzina i blade niebo o barwie rozmydlonego fioletu nadawały każdej żywej istocie promiennie zdrowy wygląd. Nawet Augustie, która w innym oświetleniu musiałaby się wydawać dość zielonkawa. Frances jedną ręką podtrzymywała swoją towarzyszkę w pionie, kiedy wychodziły z centrum handlowego i szły chwiejnym krokiem Trzecią Ulicą.

Ledwie przetrwały spacer trzy przecznice na zachód, cienki obcas Augusty utkwiał w kratce pośrodku jezdni, którą przechodziły w niedozwolonym miejscu.

– Cholera! – wrzasnęła, uwalniając stopę i w ostatniej chwili odskakując sprzed trąbiącej na nią furgonetki z przyczepionym do kratownicy wielkim sztucznym karaluchem reklamującym usługi dezynsekcyjne. Samochód minął je pędem, a kierowca rzucił im leniwe, choć zaciekawione spojrzenie. Augusta pogroziła mu pięścią i pokuśtykała w stronę bezpiecznego chodnika. Obcas zostawiła na ulicy, tkwił nieruchomo w kratce.

Usiłowały rozeznać się w sytuacji. Stały przed jasnorożowym sklepem oferującym produkty dla kobiet uprawiających wrotkarstwo torowe. W witrynie wisiał rząd podkolanówek; widniały na nich wyhaftowane słowa, które musiały mieć jakieś znaczenie dla młodszej

generacji: nerd, wieprzowina, gej. Billboard nad nimi, podświetlony na tle ciemniejącego nieba, ostrzegał, że świat skończy się dwudziestego pierwszego maja: „Biblia to gwarantuje”.

Ze zduszonym beknięciem Augusta wskazała witrynę, przed którą stała tablica reklamowa zaprojektowana tak, by wyglądać jak wypisana na starej maszynie Underwood: Hell Yes Books.

– Czas wleźć prosto w paszczę temu kotku – szepnęła, ruszając przed siebie chwiejnym krokiem w swoich asymetrycznych butach.

– Lwu – poprawiła szeptem Frances.

– Cii – upomniała ją Augusta, gdy skradały się w stronę sklepu. Próbowała przy tym trafić palcem w okolice ust, ale spudłowała. – Zobaczą nas.

– A, kurwa, gdzie tam – odparła rozzuchwalona Frances.

Przez okno Hell Yes Books obserwowały garstkę klientów. Przeglądali komiksy manga, przewodniki po planach filmowych, zbiory opowiadań pisanych przez niezależnych reżyserów.

Augusta rozpląszczyła nos na szybie, zaglądając do środka. Ani śladu Charliego. Jakaś młoda kobieta za kasą, w oprawkach ze skrzydełkami, czytała coś, ale nie było widać żadnych innych pracowników.

– Popatrz – syknęła Frances. Na tablicy reklamowej wisiała zapowiedź dzisiejszej wieczornej imprezy: siostra Mary Martin miała czytać fragmenty swoich

bestsellerowych wspomnień *Cela i kadr: Moja ucieczka w świat filmu*, a potem rozdawać autografy.

– Może jest tam – wybełkotała Augusta. – Nadżeruje czytanie.

– Nadzoruje.

– Przecież mówię.

Weszła do księgarni i rzuciła królewski uśmiech dziewczynie za kasą. Dobre pierwsze wrażenie zrujnowała, zatoczywszy się na bok. Jej okrzyk zmieszał się z piskiem bólu jakiegoś zwierzaka.

– Proszę uważać na kota! – zawołała sprzedawczyni, a Frances doskoczyła do Augusty, by ją podtrzymać.

Pers rozmiarów i kształtu fotelowego podnóżka pomknął pod najbliższy stół. Klienci jak na zawołanie obrócili się i utkwili wzrok w zadyszanych, obejmujących się kobietach.

– Spotkanie autorskie? – Augusta dostojnie odsunęła włosy opadające na twarz.

– Na zapleczu – odparła dziewczyna zza lady. – Ale już się zaczęło.

Z wysoko uniesioną głową Augusta pokuśtykała pomiędzy regałami, zatrzymując się tylko po to, by przełożyć książkę kucharską Gwyneth Paltrow na najniższą półkę.

Z tyłu księgarni zaciągnięto ciężką kotarę. Zza jej krawędzi przeświecało blade światło. W głębi ktoś mówił głosem tak cichym, że nie dawało się rozróżnić słów. Augusta przystanęła i uniosła dłoń do gardła.

– On na pewno wie, że tu jesteśmy – szepnęła.

Frances coraz wyraźniej czuła skutki drinków wypitych po południu i tych wcześniejszych. Żeglowała po nieznanym wodach. Wnętrze księgarni i jej żołądek falowały unisono. Potrzebowała do łazienki, potrzebowała łóżka, najlepiej ze stojącą obok miednicą.

Augusta, utykając, podeszła do kotary i odsunęła ją odrobinę. Frances przykucnęła obok niej i wsunęła głowę w utworzoną szparę tuż poniżej. W niewielkim, słabo oświetlonym pomieszczeniu słóczono kilkanaście rzędów krzeseł. Niemal wszystkie były zajęte. Bezpośrednio na wprost nich, pomiędzy zasłoną a krzesłami, stał stolik, niebezpiecznie wysoko zastawiony górą książek. Z każdej okładki spoglądała starsza pani o okrągłej twarzy, uśmiechającej się pod grzywą siwych włosów. Ta sama kobieta stała na wprost rzędów krzeseł, ubrana w odcienie beżu – od praktycznych półbutów po zarzucony na ramiona kardigan.

Obok niej, w świetle pojedynczego reflektora, stał szczupły młody człowiek w T-shircie, na którym znękana twarz Petera Lorre wpatrywała się w lustro. Młody człowiek miał włosy w kolorze toffi, sterczące sztywnymi kosmykami ponad bladą twarzą, a zaśpiew w jego głosie, gdy przemówił do mikrofonu, pochodził z miejsca, którego Frances nie umiała określić. Może Nowa Anglia. Albo Kanada?

– Chciałbym podziękować siostrze Mary Martin za to,

że zignorowała nazwę naszej księgarni i zgodziła się dołączyć do nas dziś wieczorem – powiedział, wzbudzając chichot zebranych.

– Posiał gdzieś swój akcent – odezwała się Augusta ponad głową Frances. – Coś niebywałego.

Jakiś mężczyzna w przedostatnim rzędzie obrócił się z groźną miną, a widząc je zerkające zza kotary, uniósł palce do ust gestem nakazującym milczenie.

– Chyba zdarza nam się to po raz pierwszy – ciągnął chłopak. – Bywali już u nas goście bezbożni, ale po raz pierwszy gościmy kogoś, kto ma za sobą prawdziwe święcenia.

– Pieprzona zakonnica – mruknęła Augusta z niedowierzaniem. By utrzymać równowagę, oparła dłoń na stoliku z książkami. Stosik zachwiał się ostrzegawczo. – Mnie nigdy nie zaprosił na spotkanie autorskie, a zaprasza jakąś pieprzoną zakonnice.

Mężczyzna z przedostatniego rzędu znów spojrzął na nią z dezaprobatą i ostentacyjnie pochylił się, by lepiej słyszeć.

Frances, skulona u stóp Augusty, wyciągnęła rękę, żeby ustabilizować chwiejący się stos książek. Miała wrażenie, że głowa zaraz jej pęknie. Charlie na pewno lada chwila je zauważy albo dosłyszcy matkę mamroczącą z ukrycia.

– Augusto, proszę... – szepnęła, choć nie bardzo wiedziała, o co ją prosi.

Augusta zakołysała się nad nią i oparła rękę na jej

głowie.

Wbrew obawom Frances młody człowiek stojący w świetle reflektora był zbyt skupiony na swoim zadaniu, żeby dostrzec zamieszanie.

– Nie co dzień trafia się, że ktoś, kto wiezie życie w odosobnieniu i kontemplacji, pisze bestsellerową książkę. Właśnie to przytrafiło się siostrze Mary Martin, kiedy zasiadła snuć wspomnienia o tym, w jaki sposób ulubione filmy inspirują ją do modlitwy. To książka, którą pisała wyłącznie dla siebie, nigdy nie zamierzała jej upubliczniać. Na szczęście dla nas wszystkich przyjaciółka ze studiów przeczytała ją i przekonała siostrę Mary, żeby podzieliła się tymi niezwykłymi spostrzeżeniami ze światem. Jak już wszyscy wiemy, książka uderzyła we właściwą strunę. – Obrócił się do starszej pani, która obdarzyła go nieśmiałym uśmiechem. – Mogę chyba powiedzieć, że tego siostra nie oczekiwała?

Zakonnica pokręciła głową i dotknęła małego krzyżyka, zawieszzonego na szyi.

Wtedy Augusta wydała z siebie odgłos przypominający rozdzieranie papieru. Przerazona Frances podniosła wzrok i zobaczyła, że jej towarzyszka bezskutecznie usiłuje stłumić dłonią beknięcie, chwając się przy tym na niepewnych nogach. Facet z widowni był już naprawdę wściekły.

– Cii! – syknął i pokazał palcem wolne krzesła obok siebie.

– Augusto... – szepnęła Frances gorączkowo. – Charles nas zobaczy, jeśli nie będziesz siedziała cicho. Powinnyśmy tam usiąść. Chodź.

Złapała Augustę za rękę i spróbowała podnieść się do pionu, jednak zaczepiła ramieniem o blat stołu. Mebel zadygotał, a jego nogi niepewnie zastukały o drewnianą podłogę. Nie, pomyślała Frances, nie, nie, nie! Wyciągnęła rękę, żeby podtrzymać książki, ale jednocześnie pociągnęła Augustę, która straciła równowagę na swoim pojedynczym obcasie, wydała z siebie cichy pisk, a potem posurfowała na fali bestsellerowych mądrości na sam środek sali.

Rozdział 30

Przez pierwszych kilka tygodni po narodzinach Charliego Augusta wciąż się zastanawiała, kogo jej przypomina. Tak naprawdę podobny był do wściekłego krokodylątka, z tą otwartą, zawodzącą paszczą i bezładnym wierzganiem. Brała go na ręce – płakał. Kładła go – płakał głośniej.

Codziennie tęskniła za własną matką, za swoją nieudolną, wiecznie załamującą ręce matką. Ale jej matka zmarła ledwie osiem miesięcy po śmierci ojca. Zaznała osiem miesięcy spokoju, po dwudziestu pięciu latach udręki. Niedługo jednak w jej brzuchu pojawił się guz, kolejny toksyczny gość zastępujący poprzednika.

A więc Augusta poklepywała i głaskała Charliego, i próbowała wsuwać swój posiniaczony sutek w jego niespokojne usta, ale nic go nie uspokajało. Czowała się tak, jakby usiłowała zrobić na drutach sweter, mając na dłoniach rękawice kuchenne. Nikt znajomy nie potrafił jej pomóc. Zresztą jakich miała znajomych? Dilerów z Notting Hill i transseksualnych artystów performerów, samolubnych aktorów drani, którzy sami byli jak małe dzieci, i kobiety takie jak Alma, które przez całe życie robiły skrobankę za skrobanką, a teraz nie mogły patrzeć na niemowlęta, bo uświadamiały im

one drogę, której nie wybrały. Wkrótce zorientowała się, kim są jej przyjaciele – a raczej kim nie są. Nie miała nikogo.

Oprócz Kena. Ostatnia osoba, którą wyobrażała sobie przychodzącą jej na pomoc, tego twardego z Salford, z rodziny, w której tylko kobiety zajmowały się dziećmi. On jednak pewnego dnia pojawił się w jej mieszkaniu, nieco ponad tydzień po narodzinach Charliego. Najdłuższe dziesięć dni życia Augusty. Każdy dzień składał się z setek godzin, a w trakcie każdej z nich ona nie spała i trzymała w dłoniach jajko. Tak przynajmniej się czuła.

Kiedy przyjechał, była zbyt zmęczona, żeby płakać. Wzięła ostatni dekstropropoksyfen przepisany przez lekarza, żeby złagodzić bóle związane ze szwami. Ten zapas powinien jej wystarczyć na miesiąc. Ponętne różowe pigułeczki, pulchne jak maliny... Czemu produkowali je w tak apetycznej formie, jeśli nie chcieli, żeby człowiek wziął wszystkie od razu?

Kenneth przyjechał w pirackiej koszuli i zamszowych butach do kolan, a jego nadejście zwiastował zapach aromatyzowanego lakieru do włosów Midnight Oleander. Dano mu w BBC coś, co traktował jako awans, przestał pisać newsy, a zaczął produkować kawałki na temat dobrze zapowiadających się zespołów muzycznych. Augusta uważała, że to nie jest zajęcie dla dorosłego mężczyzny, i poinformowała go o tym.

To nowe stanowisko wymagało, zdaje się,

wymyślnych ubrań. Pociągnęła go za rękaw, kiedy wszedł do środka.

– Wybierasz się na przesłuchanie do *Zamku Sinobrodego*, Ken? – Była dumna, że zdobyła się na taki wydatek energii.

– Ha, ha. Słyszałem, że w teatrze szukają wiedźm – odparł. – Ale najpierw będziesz musiała zetrzeć z siebie te wymiociny. – Charlie zwrócił na nią dziś rano i zastygła skorupa znaczyła rękaw jej bezkształtnej tuniki. Ken pochylił się i cmoknął ją w policzek, a ona poczuła, że łakomie wdycha jej zapach. Nawet kiedy była nieświeża, nigdy nie miał dosyć. – Pokaż mi małego, Augusto. – Wziął z jej ramion wyjącego, wygłodzonego krokodyla i uniósł go do światła, jakby to był diament, który pod jego wpływem ukaże wszystkie swoje fasy. Twarzyczka Charliego pokryta była zaognionymi łuskami niemowlęcej egzemy. Pępownina jeszcze mu nie odpadła i zwisała z brzuszka jak mała, zasuszona końcówka kiełbasy. Ken patrzył na niego, a na jego twarzy malował się wielki uśmiech. – A niech mnie – powiedział. Ku zdumieniu Augusty niemowlę się uciszyło, być może ze strachu – wisiało siedem stóp nad ziemią, a między nim a twardym parkietem był tylko ten rozczochrany pirat. Kenneth podszedł do sofy, trzymając dzieciaka pod pachą. Usiadł, uważnie podłożył obie dłonie pod główkę Charliego i przyjrzał mu się starannie. Wreszcie oderwał spojrzenie od dziecka i oczy zabłyśły mu

w półmroku. – Jest mój, Augusto?

– Jest absolutnie twój – powiedziała, sięgając po papierosy. – Daj mi tylko minutkę, to spakuję jego rzeczy.

– Bo wygląda jak ja. – Wpatrywał się w usta dziecka. – I urodził się z jednym zębem, jak ja. Moja matka mówiła, że o mało jej na pół nie przegryzłem.

Augusta usiadła w fotelu, zadowolona, że chociaż na chwilę ma własne ręce dla siebie. Czy był dzieckiem Kena? Bez większego przekonania próbowała to sobie wcześniej obliczać, ale tamten miesiąc, tamten kluczowy miesiąc, zamazywał się w jej wspomnieniach. Ayahuasca zżarła w nim tydzień, może dwa. Przez moment była zadowolona, że jej rodzice nie żyją. Ojciec pewnie nigdy nie odezwałby się do niej w innym celu, niż żeby przypomnieć, jaką hańbą okryła rodzinę. Z większym prawdopodobieństwem mogła obstawiać, kto w przyszłym roku wygra Wielką Krajową niż ustalić ojca tego dziecka. Ale czy byłoby tak źle, gdyby to był Ken?

W ciągu następnych lat rzadko padało to pytanie. Oboje bali się odpowiedzi. Zamiast tego popadli w rutynę, która im pasowała. Kenneth stał się stałą częścią życia Augusty, ojcem dla Charliego, uparcie ignorującym jej drwiny, kiedy usiłowała go od siebie odpędzić. Całymi miesiącami byli jak przeciwne bieguny, które łączył tylko ten chłopiec, a potem znów rzucali się na siebie namiętnie, dwa pozbawione własnej

woli magnesy. Był dobrym rodzicem, o wiele lepszym niż ona, a żaden inny kandydat na ojca nigdy się nie zgłosił.

Początkowo ignorował jej niesforność i wpływ, jaki miała na dziecko. Było w miarę łatwo, póki Charlie był malutki i jego rozumienie świata było po dziecięcemu rozmyte. Aż pewnego popołudnia Kenneth wszedł do kuchni, gdzie ośmioletni Charles w towarzystwie szkolnego kolegi uważnie usypywał linie proszku do prania na kontuarze. Obaj trzymali w rękach słomki do napojów. Przyjaciel Charliego właśnie się pochylał, żeby wciągnąć proszek, kiedy Ken rzucił się na niego z rykiem.

– No co? – odezwał się Charlie, zły i zapłakany, kiedy kolega został już odesłany do domu. – To tylko zabawa. Widziałem mnóstwo dorosłych, jak tak robią. Robią to, a potem się śmieją.

W ciągu niecałego miesiąca Ken znalazł szkołę w Sussex, postępową i otwartą na nieortodoksyjnych rodziców. Augusta udawała smutek – całkiem nieźle, jak sądziła – kiedy żegnała się z Charliem przy szkolnej bramie.

– Idź z nim i pomóż mu się zadomowić, Ken – powiedziała. – Nie chcę się rozplakać.

Ponad piętnaście lat później siedziała naprzeciwko zupełnie obcego człowieka i usiłowała zapanować nad łzami. Ochronny koczyk tequili wyparował; czuła się obnażona i bezbronna jak nigdy dotąd. Na litość boską,

jak ludzie radzą sobie z takimi emocjami?

Charles wyglądał przez okno na samochody, które przejeżdżały w mroku. Po drodze do kawiarni niewiele mówił. Uśmiechał się cierpko, kiedy plotła trzy po trzy i przeproszała. Raz chwycił ją pod ramię, gdy zachwiała się na pozbawionym obcasa bucie. Frances wróciła z podkulonym ogonem do motelu, z twarzą szkarłatną jak piwonია.

– Potrzebują państwo jeszcze paru chwil? – Augusta, zaskoczona, podniosła oczy na kelnerkę. Dziewczyna miała delikatne, chochlikowate rysy twarzy pod surowym ciemnym kokiem. Jej uśmiech przeznaczony był tylko dla jednej z osób przy stoliku.

Charlie pokręcił głową. Zamówił kawę i dwa kawałki placka cytrynowego z bezą. Menu nie oferowało nic spragnionym alkoholu, Augusta zdążyła to sprawdzić. Krzywiąc się, poprosiła o kawę. Kelnerka zabrała od nich menu, nie odrywając ciemnych oczu od chłopca. On tego nie zauważył albo udał, że nie widzi.

Jej syn siedział po drugiej stronie laminowanego blatu, w milczeniu drąc papierową serwetkę. Czy on zawsze był taki piękny, czy to ta słoneczna alchemia spowodowała w nim jakąś głęboką przemianę? Większość mężczyzn, zostawiwszy za sobą nastoletnie lata, ordynarnieje, ale Charlie – Charles, jak już raz zdążył ją upomnieć – był subtelny, a jego rysy stały się jak rzeźbione. Złota skóra opinała wydatne kości policzkowe. Piegi niemal zniknęły. Czyje piegi tak

w sumie? Powinna mu powiedzieć, jaki jest przystojny.

– A więc kiedy pozbyłeś się akcentu?

Podniósł na nią oczy i zmrużył je. Oczy Kennetha? Możliwe.

– To cię interesuje? Ile lat ze sobą nie rozmawialiśmy?

– Siedem.

– Sześć i pół.

– No cóż. Mnie się wydaje, że dłużej.

Zapadło milczenie. Augusta rozważała tysiąc sposobów sformułowania przeprosin, zanim kelnerka wróciła z kawą. Wsypała sobie do filiżanki jedną porcję cukru, drugą, trzecią. Charles swojej nie posłodził.

Kofeina i tequila, narkotyczna kombinacja ubogich kobiet. Kiedy zaśmiała się pod nosem, syn spojrzał na nią z pochmurną miną.

– Cieszę się, że twoim zdaniem to zabawne – powiedział. – Zrobić z siebie takie pośmiewisko.

Było w nim coś, co zawsze zdawało jej się równie ujmujące, co tajemnicze – ta głęboka powaga. Wyrażał się dość formalnie, nawet kiedy był dzieckiem, co dorośli uwielbiali.

– Znasz taki dowcip o facecie, który poszedł na imprezę i wypił tam połowę alkoholu? – zapytała, a gdy pokręcił głową, palcami nadal miarowo rwąc serwetkę, podjęła: – No cóż, wziął też połowę narkotyków i próbował przelecieć połowę kobiet. O mało mu monokl nie wypadł. – Mruknął coś, ale nie

spojrzał na nią. – Och, daj spokój, Charl... Charles. Widziałam ten uśmiech. Matka zawsze dostrzeże.

– Doprawdy? – odparł błyskawicznie. – A co ty możesz o tym wiedzieć? – Augusta wzięła głęboki oddech i zdusiła ripostę. Miał prawo do przynajmniej jednego łatwego strzału. Kelnerka podeszła i postawiła na stole dwa talerze. – Pamiętam, że lubiłaś placek cytrynowy – powiedział. – Przynajmniej kiedyś. – Podał Augustcie widelec, rączką w jej stronę. – Raz poszedłem do Morrison's kupić ci go na urodziny, a kierownik sklepu chciał wzywać policję, bo uznał, że jestem za mały, żeby sam chodzić po ulicy.

O czym on mówi? Jakie urodziny? Dzień tak dla niego ważny, że zapadł mu w pamięć na długie lata, a ona go zupełnie nie pamiętała.

– Czuję się winna od tamtego dnia aż do dziś – powiedziała. – I nadal uwielbiam placek cytrynowy. – Bez większego przekonania dziabnęła bezę widelcem. – Przykro mi, Charles. – Zastygł z na wpeł uniesionym do ust kęsem, a ona zdała sobie sprawę, jak dwuznacznie brzmi takie zdanie i jak rozpaczliwie jest niewystarczające. – Za ten wieczór, chciałam powiedzieć. Stawianie cię w krępującej sytuacji nie należało do mojego planu.

Spojrzał na nią, jakby mu obiecała jakąś skomplikowaną sztuczkę, a potem wyjęła z kapelusza zdechłego królika.

– Mnie również jest przykro, Augusto – odezwał się

po chwili. – Przed chwilą powiedziałem coś okrutnego.

Pochylił się nad talerzem, a ona w nagłym przypływie zrozumienia pojęła, że ma tylko tę jedną okazję. Ten krótki wieczór w jego towarzystwie, już w połowie zrujnowany. Przygniatał ją paraliżujący ciężar siedmiu lat milczenia. Powinna spróbować stworzyć jakiś most pomiędzy nimi, oto co powinna. Ale nie umiała wyrzec się tego szalonego impulsu, który ją tu przywiódł, tego niepokoju, który ją drażył.

Sięgnęła do torebki po szminkę i puderniczkę.

– Widujesz się z kimś, Charles? Bóg mi świadkiem, że mnóstwo dziewczyn musi się za tobą uganiać.

– Y-y. – Zaprzeczył ruchem głowy. – Za dużo zajęć.

– Mimo że masz u boku profesjonalnego swata? –
Usiłowała mówić lekkim tonem. – Jestem pewna, że Kenneth mógłby pomóc.

– Jestem pewien, że by chciał.

Puderniczka otworzyła się z pstryknięciem. Ponad lusterkiem zerknęła na niego.

– Słyszałam, że ostatnio jest dość zajęty. Ten program radiowy. Nowa książka.

– Bardziej zajęty niż kiedyś, jak mi się wydaje.

– To mnie fascynuje. – Augusta pociągnęła szkarłatem dolną wargę. – Jest dziennikarzem w Anglii, a chwilę potem trafia tutaj i staje się ekspertem od romansów. Co wydaje się takim trochę żartem, oczywiście.

– Tak sądzisz? – spytał Charles z twarzą bez wyrazu.

– Kochanie, ja to wiem. Byłam przecież, jakby to powiedzieć, po stronie odbiorcy. – Augusta zacisnęła wargi. – No, chyba że większość tej książki, którą pisze, nie będzie dotyczyć spraw uczuciowych. Może chodzi o jego życie. O nauzkę, jakie zebrał. Ludzi, których poznał. Kłamstwa, w które uwierzył. – Chłopak wzruszył ramionami. – Och, na spocone jaja Jezusa, Charlie! Charles. – Jego opór działał na nią jak płachta na byka. – Bo zamierza pisać o tym, co mu się wydaje, że wie, prawda? Niezależnie od tego, jak się myli...

– I co jeszcze? – zapytał z nagłą gwałtownością. – Jakby to było do niego podobne... Przecież to twoja domena... – Augusta szukała w myślach odpowiednio kąśliwych słów. Charles uniósł ramiona. – Skąd w ogóle przyszło ci do głowy, że będzie pisał o tobie? – Popatrzyła na niego niepewnie. – Bo ty o nim nie pisałaś, prawda? W twojej książce. – Usiadł prosto. Jego spocone dłonie zapisały na winylowej powierzchni ławki. – Ani o mnie.

– Usiłowałam cię chronić – odparła zbolalym głosem.

– Czas na chronienie mnie był wtedy, kiedy miałem szesnaście lat, a ty kazałaś mi wybierać między wami.

Śmiertelny spokój w jego głosie przyszpilił ją do ławki. Siedziała nieruchomo, ale jej myśli kotłowały się w głowie. O czym on mówi? Ja mu kazałam między nami wybierać? Po omacku przeszukiwała zakamarki pamięci, ale był tam wyłącznie mrok.

Wreszcie udało jej się wyszeptać:

– W życiu.

Mówił dalej, jakby jej nie słyszał:

– Powiedziałaś mi, że jeśli wybiorę mieszkanie z Kenem, to zdradzę cię i nie będziesz chciała mnie już nigdy widzieć. Byliśmy w twoim mieszkaniu na King Cross. Mieszkałem u ciebie od skończenia szkoły i doszło do tej kłótni... – Wzruszył ramionami. – Nawet nie pamiętam, o co poszło, ale powiedziałaś mi, że muszę między wami wybrać. Powiedziałem, że nie chcę, a wtedy wręczyłaś mi plastikowy worek na śmieci i kazałaś spakować swoje rzeczy. – Nie spuszczał z niej wzroku. – A potem dałaś mi na taksówkę do Kena. Przez następny tydzień dzwoniłem do ciebie z dziesięć razy, Augusto, ale nie odbierałaś.

Siedziała i patrzyła na niego, a jego słowa wirowały jej w głowie.

– Nie pamiętam...

– To mnie nie dziwi. – Miał opanowany i chłodny głos, równie dobrze mógł jej opowiadać o operacji przebytej dawno temu. Nie była w stanie mówić, gniewny natłok niewypowiedzianych słów sprzed paru chwil wysechł w jej ustach. Przecież nigdy by go nie wygnała. To było nie do pomyślenia. Kelnerka podeszła do stolika, nerwowo kładąc rachunek, świadoma pełnego wrogości milczenia. Charles sięgnął po niego. – Wiesz, jak to było czytać twoją książkę? Jakbym patrzył na stare zdjęcia i wiedział, że z każdego z nich

zostałem wycięty. Jakbym oglądał rodzinne fotografie i zachodził w głowę, kim, u licha, są ci ludzie?

Rozdział 31

Stanley nie miał żadnego powodu, by odbierać telefon. Teraz, kiedy wywalono go z pracy, najprawdopodobniej siedział w pubie, patrząc, jak Queens Park Rangers przegrywają mecz, z komórką leżącą na barze, wyświetlaczem w kałuży piwa. Może nawet jest dzięki temu szczęśliwszy.

A może za bardzo się wstydzi, żeby ze mną rozmawiać, pomyślała Frances, nachylając się do motelowego lustra, usianego kropkami i plamami ludzkich wydzielin. Nałożyła na rzęsy kolejną warstwę tuszu. On nie chce, żeby mu przypominać o członkostwie w tym klubie nieudaczników.

Głowa Augusty wyłoniła się zza drzwi łazienki. Z wprawą godną mistrza szpachli udało jej się zatuszować uszczerbki w swojej spustoszonej kaczce twarzy. Większość dnia przeleżała w łóżku, kurując duszę i ciało po wczorajszej kłapie w księgarni. Ale kiedy światło zaczęło znikać z pokoju, podniosła się z trumny spranych prześcieradeł i zaczęła szykować na wieczór.

– Mój Boże... – Frances aż westchnęła na jej widok. – Jaki piękny obraz.

– Obraz dla dorosłego widza, mam nadzieję. –

Augusta przycupnęła obok niej, żeby przejrzeć się w lustrze. Energicznie uniosła piersi, by leżały wyżej w wycięciu czerwonej sukienki z amerykańskim dekoltem. – Lepiej, żeby ta kiecka spełniła swoje zadanie. To moja broń nuklearna. – Frances już miała zapytać, czemu Augusta ubrała się jak na wojnę, ale kobieta uniosła palec. – Wszystko się okaże we właściwym czasie, kochanie. Mogę ci tylko powiedzieć, że powinnaś być gotowa do akcji. Może lepiej, żebyś spakowała torbę.

Zatrzymała się jeszcze na moment przy stoliku nocnym, żeby zgarnąć do torebki papierosy i małą fiolkę pigułek, a potem zniknęła. Frances patrzyła, jak zamyka za sobą drzwi, i poczuła dziwną pustkę.

Sprawdziła godzinę na komórce. W Londynie był już prawie koniec barowego wieczoru. Za późno na telefon. Ale zadzwoniła. Klikając przycisk Skype'a jednym drżącym palcem, odczekała, aż skończy się transatlantyckie pikanie. Stanley odezwał się po pierwszym sygnale. Rozpaczliwie czekał na jakikolwiek telefon czy na ten ode mnie?, pomyślała.

– Cześć, wędrowcze – rzucił, a Frances o mały włos nie wybuchnęła płaczem. Małeńki ekranik łagodnie obchodził się z mężczyzną w kryzysie: zacierał sińce pod jego oczami i wygładzał bruzdy na czole. Miała nadzieję, że i dla niej jest łaskawy. – No i? Jak wariatka? Nie ty, oczywiście, tylko ta druga.

Frances skuliła się na narzucie.

– Właśnie wyszła. Chyba wybiera się dać wycisk dawnemu ukochanemu. A ten panel, na który tu przyleciała, to była kompletna katastrofa. Poobrażała innych gości i prawie dała się aresztować policji na lotnisku.

– Znaczy zwyczajny dzień w biurze. – Podparł policzek dłonią, jakby znów siedzieli razem w pubie, oddzieleni stołem, a nie oceanem.

Frances poczuła ulgę. Nareszcie mogła porozmawiać z kimś o ostrej spirali, jaką zakreślało jej życie.

– Ona jest jak małe dziecko – powiedziała. – Wielkie, pijane, małe dziecko, które wymaga stałej uwagi i zawsze potrzebuje widowni. Ogarniają mnie przy niej dziwnie matczyne instynkty. Ona po prostu chce robić to, co chce, i niech szlag trafi konsekwencje. Nigdy jeszcze kogoś takiego nie spotkałam.

– No cóż, był kiedyś Aleister Crowley... „Czyń wedle swej woli będzie całym Prawem”.

– Augusta nie jest żadnym mrocznym magiem. Chociaż to by mogło wyjaśnić, czemu stale robię to, co mi mówi. – Frances wyciągnęła się na łóżku, kładąc telefon obok siebie. – Bardzo dziwnie jest w jej towarzystwie. Spieprzyła tyle razy i zdaje się zupełnie tym nie przejmować. Nie umiem sobie wyobrazić, jak to jest nie martwić się upadkiem, ciągłymi upadkami... – Jej głos ucichł.

– Frances – odezwał się łagodnie Stan. – Wszyscy się tego boją.

Patrzyli na siebie przez moment, a potem Frances nagle się poderwała. Obróciła kamerę komórki w stronę rządów pustych butelek na stoliku nocnym.

– Aha, i zmienia mnie w alcoholiczkę.

– A to miało być moje zajęcie. Gdybyś tylko wróciła do domu.

Wzięła głęboki oddech. Nawet na siedząco czuła, że nogi jej miękną. Chciała sięgnąć przez ten telefon i pogładzić go po nieogolonym policzku.

– Nie jestem już pewna, gdzie jest dom, Stanley – powiedziała niepewnie.

Ze swojej kuchni w Clapham popatrzył na nią gniewnie.

– Nie maź się tak, Frances. Przydarzył ci się drobny upadek przy skoku przez płot. Pozbierasz się. – Nachylił się bliżej ekranu i ściszył głos: – Powiedz mi więcej o sobie. Co porabiasz? Co na sobie masz?

– Przecież widzisz, co na sobie mam.

– Wiem. Cholernie zboczone pytanie. Przepraszam.

Spróbowała przybrać zmysłowy ton.

– A co? Co ty masz na sobie?

– To, co zwykle. Czerwone stringi pod szatami kardynała.

– Aha. To wyjaśnia, dlaczego cię zwolnili. – Kiedy tylko padły te słowa, pożałowała, że nie da się ich cofnąć. Stanley zaśmiał się z przymusem i ten nienaturalny śmiech sprawił, że zrobiło jej się słabo. – Teraz to mnie jest przykro – powiedziała pokornie.

– Frances, możemy się tak przeproszać do końca świata. To moja wina, że oboje jesteśmy bez pracy.

– Przecież tylko dzięki tobie w ogóle dostałam to zajęcie. Ale tak sobie myślałam, że to może dobrze... –

Jej wzrok przyciągnął jakiś ciemny kształt na stole przed nim. Paczka papierosów. – Nadal palisz, Stan.

– To dobrze, że jeszcze palę? Przedwczesna śmierć oznacza krótszy pobyt w przytułku dla ubogich, to fakt.

– Uśmiechnął się do niej tym zabawnym krzywym uśmiechem, za którym tak tęskniła.

– Nie, idioto. Może to dobrze, że już razem nie pracujemy. Skoro ty już nie pracujesz w gazecie, a ja nie... – urwała. Chciała, żeby zrozumiał. Żeby dokończył to zdanie za nią.

Nachylił się do kamerki i powiedział cicho:

– Nie jesteś już moją niewolnicą, o to chodzi? Chętnie sam ponoszę niewolnicze szatki dla odmiany, jeśli tylko zechcesz. – Uniosła palec w stronę ekranu, on zrobił to samo. – Jesteś jak balsam, Frances. I żałuję, że siedzisz o cały cholerny kontynent stąd. Mogłabyś przyjść do mnie, posiedzieć ze mną w kuchni i pomóc mi wbijać szpilki w laleczkę oligarchy.

Jakiś nagły odgłos z zewnątrz kazał jej spojrzeć w stronę okna. Zgrzytanie skrzyni biegów, stłumione przekleństwo. Miejscowa dziewczyna na telefon wybierała się do pracy.

Zwróciła się z powrotem do telefonu i nagle zakręciło jej się w głowie. Zupełnie jakby miazmaty

ostatnich kilku dni uniosły się i rozproszyły, a ich miejsce zajęła jakaś lekkość.

– Nigdy nie byłeś w Los Angeles, prawda?

– Nigdy nie wyjeżdżałem dalej niż do Swansea. A i tego wyjazdu żałuję.

– Oprowadzę cię po okolicy – powiedziała Frances i przez dziesięć następnych minut urządziła Stanleyowi wycieczkę po swoim świecie. Trzymając telefon przed sobą jak świecę, pokazała mu pusty basen, tani sklep monopolowy po drugiej stronie ulicy, ubraną w dres prostytutkę wybierającą się do pracy na swoim skuterze dla niepełnosprawnych.

– To naprawdę miasto ze snu – powiedział, kiedy już zawiodła go z powrotem do pokoju.

– Zdziwiająca, że ktokolwiek stąd wyjeżdża – odparła, a potem zebrała się na odwagę i wypaliła: – Wyglądasz znakomicie, Stanley. Wydajesz się dziesięć lat młodszy. Zwolnienie z gazety ocaliło ci życie.

– To po prostu mocny makijaż – odparł, ale widziała, że zrobiło mu się przyjemnie. – Szczerze mówiąc, nie wygląda to wszystko tak fatalnie. Dzieje się coś ciekawego. – Poczwała, jak serce wywija fikołka. Zaraz jej powie, że się zakochał. Jakaś kobieta ocaliła go przed rozpaczą. – W sumie to dla mnie wspaniała zawodowa okazja. I tak sobie myślałem, że dla ciebie też mogłaby być świetna, gdybyś chciała dołączyć do załogi. – Nagle jego twarz spoważniała. – Frances, jaki jest twój stosunek do kotów?

Rozdział 32

W jakimś momencie po ich rozstaniu Ken nauczył się gotować.

Na obiad była polędwica w sosie madera, duszony koper włoski i zabawne małe ziemniaczki, uformowane jak powyginane palce, z kremowym mięszem. Ken zjadł wszystko ze swojego talerza i z szokującą bezczelnością sięgnął przez stół, by nadziać na widelec kawałek steku Augusty. Jakby regularnie jadali z jednej miski. Chciała się na niego za to wściec, ale ativan i wino nie pozwalały jej znaleźć w sobie gniewu.

Mimo wieczornego chłodu siedzieli w ogrodzie Kena – czy też „na podwórku”, jak to ze śmiechem określił, posługując się nosowym akcentem z Doliny San Fernando. Jego marynarka okrywała teraz ramiona Augusty. Mogła na siebie włożyć masę własnych ciuchów, ale miała wielką satysfakcję na widok wyrazu jego oczu, kiedy pojawiła się pod drzwiami w czerwonej sukience, z ramionami i dekoltem pokrytymi gęsią skórą. Cofnęła się w przeszłość, widząc tę minę rodem z komiksu: oczy wybałuszone na szypułkach, język wywalony jak dywan do samych jej stóp.

Wokół nich była istna dżungla – ogród Kennetha

tworzyło zatrzęsienie roślin, których nie znała. Przed obiadem pokazał jej: krzew leszczynowca, jaśmin, kapryfolium – każde, jak tłumaczył, pachnie o innej porze roku. Charles je powybierał i sam ich doglądał z matczyną troską.

– Ty i ja razem wzięci – stwierdził Kenneth – nie utrzymalibyśmy przy życiu nawet pleśni.

Augusta wyprostowała się godnie, przyjmując postawę doprowadzoną do perfekcji w czasach, kiedy grała szkolną dyrektorkę.

– Dałam temu dziecku życie – oświadczyła surowo. – Chociaż on, jak się zdaje, o tym zapomniał. Nadal jest na mnie wściekły z jakiegoś niezrozumiałego powodu.

Kenneth popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– Żartujesz ze mnie?

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Doskonale wiesz, dlaczego jest zły. Wyrzuciłaś go na zbity pysk, kiedy miał szesnaście lat. Powiedziałaś mu, że ma wybrać między nami, a kiedy nie chciał wybrać ciebie, wsadziłaś jego rzeczy do torby i kazałaś się wynosić. – Sięgnął, by wziąć sobie ostatniego ziemniaka z jej talerza. – A on właśnie miał zaczynać kursy do dużej matury.

– Gdyby coś takiego się zdarzyło – odparła sztywno – na pewno bym to zapamiętała.

Po krawędzi stołu szła biedronka. Kenneth wziął ją na czubek palca i przeniósł na trawę.

– Czasem chciałbym przyjrzeć się mapie twoich

wspomnień – powiedział. – Wyobrażam sobie, że byłyby bardzo przydatne. Te wszystkie miejsca, które postanowiłaś ignorować. – Palce Augusty przesunęły się po tekowej rączce noża do steków, na którego ostrzu zastygł krwawy tłuszcz. Powinna go była zadźgać, kiedy miała okazję. Przymknęła oczy. Z mrocznego, pogrążonego w odmętach złoza wyłonił się na powierzchnię jakiś obraz: Charlie w drzwiach jej mieszkania, z oczami zwężonymi złością, policzkami mokrymi od łez. Obraz zafalował i zniknął. Nie, to nie mogło być prawdziwe wspomnienie. To Ken zaszczerpił jej tę myśl. Kiedy wróciła do chwili bieżącej, do tego niewielkiego ogrodu, on mówił. Nadal mówił: – Nikt nie chce zaakceptować w związkach tego, że zawierają setki prawd. Kiedy jestem w radiu, ludzie nie dzwonią do mnie po radę, oni dzwonią, bo chcą, żebym stanął po ich stronie. Ale ja zawsze powtarzam... – urwał dla efektu; jego głos obniżył się, jakby zwracał się do niewidzialnego mikrofonu: – Miłość nie ma stron, miłość jest jak piłka.

– Albo jak jajko – wtrąciła.

– Co? – Zmarszczył brwi.

– *Serce bywa jak jajko* – powtórzyła Augusta. – *Może się stłuc, ale nigdy ubić.* – Czy to był efekt oświetlenia, czy on nieco zbladł? – Twoja książka, Kenneth. Może o niej porozmawiamy?

Zdążyła już zapomnieć, jak trudno jest upić takiego wielkiego bydlaka. Kiedyś można było polegać na jego żelaznej konstytucji. Ken potrafił wlać sobie do gardła dowolną ilość alkoholu i pod koniec nocy nadal trzymał się na nogach, gotów bronić jej nadwerżonego honoru, odwieźć ją do domu, zanieść po schodach na górę i położyć do łóżka.

Las butelek gęstniał na stojącym przed nimi stoliku do kawy: porto, Armagnac, brandy, Jägermeister. Za każdym razem, kiedy napełniała jego kieliszek, znajdowała jakiś sposób, żeby pozbyć się zawartości własnego. Na podłodze koło sofy stał fikus, ziemia w donicy powoli zmieniała się w zupę od ilości płynu.

– Chłopiec mówi, że w twoim życiu nikogo nie ma. –

Podwinęła nogi na sofie, pozwalając sukience podciągnąć się na udach. Niech się z tym jakoś upora.

– On jest w moim życiu.

– Serio, Ken. To nie wygląda zbyt dobrze, jeśli Pan Romans nie ma nawet dziewczyny. Zupełnie jak szef kuchni w pustej restauracji.

Uśmiechnął się lekko, opierając głowę na poduszkach, z kieliszkiem po porto balansującym na oparciu kanapy.

– A więc martwisz się o moje życie miłosne? – Spojrzał na nią i jego oczy natychmiast powędrowały w kierunku jej nóg. Jak pierdolona igła kompasu, pomyślała. Niesamowite. – Augusto... – powiedział chrapliwym głosem i powoli zaczął się do niej

przysuwać. Było na to za wcześnie, nadal mówił zbyt zrozumiale. Serce waliło jej elektrycznym dreszczem kofeinowych pigułek, które połknęła w łazience po obiedzie. „Na chwilową ulgę od zmęczenia”, widniało na pudełku, które kupiła u Bootsa na Heathrow. „Maksymalna dawka: cztery tabletki dziennie”. Wrzuciła do ust osiem i popiła garścią wody z kranu. Strasznie smutno było rozstawać się z jedwabnym szumem ativanu, ale musiała mieć przytomne zmysły, żeby przytępić zmysły Kena. Pomachała w jego stronę butelką Jägermeistera. – Och, dobra, dawaj – powiedział. Kiedy podała mu kieliszek, pozwoliła palcom leciutko musnąć jego dłoń. Odstawiając butelkę na podłogę, poczuła zawrót głowy, o mało nie zemdląca. Czyżby nabawiła się dusznicy przez te pigułki? Co to w ogóle jest dusznica? To miało coś wspólnego z sercem. Jej serce nie waliło tak od lat. – Nic ci nie jest? – Ken położył dłoń na jej ramieniu, chcąc ją podtrzymać.

Wymówka, żeby mnie dotknąć, pomyślała. Pod jego dłonią jej nagą skórę przebiegł elektryczny wstrząs. To na pewno wina kofeinowych tabletek.

Strząsnęła jego dłoń i wstała na niepewnych nogach. Salonik niczego nie zdradzał – niczego z jego przeszłości, niczego z transformacji, jakiej poddał własne życie. Jedynie grafiki L.S. Lowry’ego na ścianach ujawniały, że nie zdołał do końca porzucić tego ponurego miasta, a seria oprawionych zdjęć

Charliego, śledząca całą jego podróż z dzieciństwa w dorosłość, wskazywała, że istniała jakaś istota ludzka, którą kochał.

Całą jedną ścianę pokrywały książki. Poczuła jego wzrok na plecach, kiedy spoglądała na tytuły. Usłyszała głucho skrobnięcie butelki, którą podnosił ze stolika. Kilka powieści, ale przede wszystkim historia i filozofia oraz biografie, i cała półka poświęcona słynnym historycznym parom.

Przesuwała palcami po grzbietach, aż zatrzymała się przy cienkim tomiku. Nachyliła się bliżej i wyciągnęła książkę, kręcąc głową. Otworzyła się sama w jej dłoniach i Augusta przeczytała:

– „Są zawody, których Anglik po prostu nigdy nie powinien się podejmować”.

– Ach... – odezwał się z sofy. – *Nieodżałowana*. Czasem żałuję, że nie posłuchałem tej rady.

– To mój egzemplarz. Poznają go po plamach z sosu HP. – Spojrzała na niego spod rzęs. – Zatrzymałeś go, sentymentalny głupcze.

Zobaczyła, że z trudem przełyka. Wielką dłonią pogładził puste miejsce na sofie.

– Augusto, może przyjdiesz tu i usiądziesz? –

Poczuła jakiś ucisk w dołku, zdradliwy odruch pożądania. Odwróciła się do regału i odstawiła powieść Waugha na półkę. Przyjechała tu w konkretnym celu i nie wolno jej tracić go z oczu. Jej palce znów podjęły podróż wzdłuż półki. Z ulgą poczuła znajome drgnienie

gniewu.

– Ken – odezwała się powoli – gdzie, do kurwy nędzy, jest moja książka?

– Nikt już nie czyta książek, Augusto. Więc to nie ma większego znaczenia.

Dosiadła się do niego na sofę, sztywna z oburzenia. Grzbiet jego dłoni przylgnął do jej uda – być może przypadkowo, niemniej żadne z nich nie zareagowało.

– Doprawdy, kochanie? To dlaczego sam jedną piszesz?

– Zadałem kobiecie, która jest moim wydawcą, to samo pytanie. Ona jest kompletnie szalona, mieszka w jakiejś jurcie w Santa Cruz. Ale sądzi, że na rynku poradników jest niewielka luka, w którą mógłbym się wcisnąć. – Nadal brzmiał trzeźwo. – A skąd w ogóle wiesz o książce? Charles coś wspominał?

Parsknęła pogardliwie.

– Ten dzieciak? Zupełnie jakby człowiek rozmawiał z pomnikiem. – Podniosła butelkę i napełniła kieliszek Kena. Zawahała się, ale po chwili napełniła też swój. –

Jest taki samowystarczalny. Zupełnie inny niż ja. Całkowicie. – Poczwała się wyprana z wszelkiej energii. – Nie mam pojęcia, skąd mu się to bierze.

– Ja też nie – odparł cicho. – Charles jest dla mnie zagadką.

– Wspomniał, że może będziesz chciał zdradzić parę sekretów – rzuciła tak niedbale, jak tylko potrafiła.

Ku jej złości wybuchnął śmiechem. Dopiero kiedy się

uspokoił, stwierdził z przekonaniem:

– Niczego takiego nie powiedział, Augusto! Doprawdy, przy całej twojej praktyce powinnaś już umieć lepiej kłamać.

Zacisnęła pięści i przez chwilę rozważała, czy jedną nie rąbnąć go w tę zarozumiałą twarz. Wzięła głęboki oddech i spróbowała przypomnieć sobie radę Almy: Postępuj strategicznie. Tylko jedno z was będzie myślało mózgiem.

Przysunęła się bliżej niego, a on spojrzał na nią z zaskoczeniem. Zaczął bawić się obrąbkiem jej sukienki. Obciągając go w dół, nie podsuwając w górę, cwany bydlak. Czuję się tak tylko dlatego, że to już tak długo, pomyślała. Tak długo, odkąd uprawiałam seks z kimś, nie sama ze sobą. Może nie byłoby tak źle... Szybki numerek, ukraść mu komputer i zwiać.

Podawała mu kieliszek, podniosła swój do toastu i oboje opróżnili szkło jednym haustem.

– Chyba mi nie wybaczyłeś – powiedziała.

Spojrzał na nią chłodno. Nie, zdecydowanie nie był wystarczająco pijany.

– Chciałabyś tak myśleć, co?

– Jak myśleć?

– Że siedzę tu noc w noc i liżę stare rany. Że trzymam w pudełku twoje zdjęcia i płaczę nad nimi przed snem.

– Nie bądź kołkiem. Moje ego nie jest tak wielkie, jak to sobie wyobrażasz. Chociaż – sięgnęła po papierosy, nie zwracając sobie głowy pytaniem, czy może zapalić

w domu – można śmiało powiedzieć, że pewnie wisi tu gdzieś jakieś moje zdjęcie, w którym tkwi kilka rzutek do tarczy.

Pokręcił głową.

– Jesteś niesamowita. Mamy lepsze rzeczy do roboty, Charles i ja. Są inne sprawy, które nas zajmują, poza – skrzywił się ironicznie – wspomnieniami o tobie. – Przeciągnął się i wstał. – Wracam za chwilę. Spróbuj nie narobić tu zbyt wielu szkód. – Ruszył w stronę kuchni.

– Przynies następną butelkę – zawołała jego śladem.

Ręce jej drżały, kiedy odkładała papierosy i zaczynała grzebać w torbie. Kofeina czy na nerwy? Czy coś innego? Szybko wysłała wiadomość do Frances: Bądź na zewnątrz za dwadzieścia minut. Wygaś światła. Dodała adres Kennetha i jego numer telefonu.

Przez kilka chwil dalej szukała, aż trafiła na maleńką plastikową buteleczkę z szorstko żłobkowaną zakrętką. Lorazepam, 2 mg. Brać po jednej w razie potrzeby. Zanim zdążyła się zastanowić, jej palce objęły zakrętkę i przekręciły. Nic, zakrętka ani drgnęła. Dosłyszała Kena w kuchni, otwierał drzwi lodówki, butelka stuknęła o butelkę. Zaklęła, wytarła wilgotną dłoń o sukienkę i ponownie spróbowała otworzyć fiolkę. Na próżno. Trwała mocno na swoim miejscu. Cholerne zabezpieczenia przeciw dzieciom. Liczba uratowanych dzięki nim maluchów nie mogła rekompensować

irytacji dorosłych. W kuchni Ken odkręcił kran, potem zakręcił. Słyszała trzask zamykanej szafki. Wzięła głęboki oddech, stanowczo ujęła zakrętkę i przekręciła. Tym razem zamknięcie się poddało.

Cztery białe owale potoczyły się po stoliku. Szybkim ruchem dwa wrzuciła z powrotem do buteleczki. Słyszała kroki nadchodzącego korytarzem Kena. Krawędzią zapalniczki rozkruszyła dwie maleńkie pigułki, złapała jego pusty kieliszek i przysunęła do krawędzi stołu. Za pomocą paczki papierosów zgarnęła do szkła mały kopczyk białego proszku.

Kiedy wszedł do pokoju, nalewała im obojgu po drinku. Przystanął w drzwiach, opierając się ciężko o futrynę. Wyrżał przez okno za jej plecami.

– Ja tylko nie rozumiem, Augusto, skąd ta myśl, że miałbym cię wydać właśnie teraz.

Lekko zakręciła jego kieliszkiem i wyciągnęła w jego stronę, ale on się nie poruszył.

– Nie jestem pewna...

– Te drzwi od lat są zamknięte. – Jego oczy, nieco rozkojarzone, co zauważyła z satysfakcją, skierowały się wprost na nią. – Zupełnie nic teraz o mnie nie wiesz.

– Sięgnął po kieliszek i opróżnił go jednym gwałtownym haustem. Otarł usta dłonią i usiadł obok niej. – Sam nie wiem, czemu mnie to dziwi.

Trzeba było całego jej opanowania, żeby nie warknąć: Dlaczego ty sam uważasz, że wiesz coś o mnie? Zamiast tego obróciła się w jego stronę

i przechyliła głowę tym wdzięcznym ruchem, który zawsze pięknie się sprawdzał na małym ekranie.

– Wiesz, co mnie zaskakuje? Że zgodziłam się tutaj dzisiaj przyjść. – Przynęła usta do jego ucha i szepnęła: – Ale cieszę się, że się zgodziłam.

Wreszcie jego oczy zaczęły robić się szkliste. Zamrugął powoli, patrząc na nią, tak jakby chciał zapamiętać każdy fragment jej postaci. Jakby już planował, że nigdy więcej jej nie zobaczy.

– To coś więcej niż zwykłe pochlebstwa – wymamrotał. – Wyglądasz fantastycznie. Co jest niesamowite, biorąc pod uwagę fakt, jak sama siebie traktujesz.

– Biorąc pod uwagę fakt, jak ty mnie potraktowałeś.

– Ja? Ja ci nic nie zrobiłem. – Przynął się do niej bliżej, ich kolana się zetknęły. – Jeszcze nie.

Augusta wstrzymała oddech. W tym momencie byłoby wystarczająco łatwo zwlekać, póki on nie padnie, a wtedy pod byle pretekstem wyjść z pokoju. Ale jakąś częścią siebie – pewnymi konkretnymi częściami – sama tego chciała.

Poczuła jego usta na swoich, raczej mało delikatne. A potem zaczęła spadać i znalazła się w dwóch miejscach jednocześnie – w przeszłości i teraźniejszości. Nie była stara czy po dacie przydatności do spożycia, była młoda i kipiała potencjałem. Oboje tacy byli. Gdyby otworzyła oczy, to zobaczyłaby tego mężczyznę. Tego pierwszego Kena,

nie tego, którego zniszczyła. Osunęli się na kanapę, objęła jego szyję. Na jakąś niesamowitą chwilę wszystkie inne myśli wyparowały z jej głowy. Poczowała jego dłonie prześlizgujące się w dół jej ramion, a potem w górę, na piersi, dłonie nieśpieszne i ciepłe.

Nie miała pojęcia, ile czasu minęło. Poruszyła się pod nim i mruknęła tuż obok jego warg:

– Przepraszam.

– Co? – Oderwał się od niej i potrząsnął głową. Zdawało się, że ma kłopot ze skupieniem na niej spojrzenia. – Coś ty powiedziała?

– Nic. – Wplątała palce w jego włosy i przyciągnęła go do siebie. Wylądował na niej ciężko, przydusił, aż zabrakło jej powietrza. Faktycznie był z niego kawał kloca. A gdyby teraz urwał mu się film? Tutaj? Na niej? Czy udusiłaby się pod nim powoli na śmierć? Należało jej się. Ogarnęła ją panika. Udało jej się wsunąć pod niego ręce. Chyba zasnął. Teraz już wiedziała, co ludzie mają na myśli, mówiąc o ciężarze całego świata.

– Kenneth – syknęła. – Ken, zleż ze mnie na chwilę.

– Mm – mruknął.

Wysuwała się bokiem, aż w końcu udało jej się uwolnić spod niego nogi. Jednym potężnym szarpnięciem przesunęła jego ramiona i wreszcie się wydostała. Zdyszana, stoczyła się na podłogę, próbując odzyskać oddech.

– Gusta? – wymamrotał Ken w poduszkę.

Nachyliła się i odgarnęła mu włosy z ucha.

– Nie martw się, kochany – szepnęła. – Zaraz wracam. Muszę się tylko ogarnąć.

Z jego piersi wyrwał się jakiś odgłos, ni to westchnienie, ni to chrapnięcie. Wsunęła mu dłoń pod policzek i obróciła twarz na poduszce, tak żeby mógł oddychać. Kiedy Charlie był mały, zasypiał tak samo, z buzią wtuloną w poduszkę i rączkami wyciągniętymi na boki, jakby unosił się na wodzie. Co noc starała się przekładać mu główkę na bok, ale niezmiennie budził się z wrzaskiem. Po paru nocach dała mu spokój, z nadzieją, że natura ma dość rozumu, by go zbudzić, zanim przestanie oddychać.

Uniosła jedną z rąk Kena i puściła ją – ręka upadła na sofę z satysfakcjonującym łupnięciem. Kolana jej zatrzęszczały, kiedy podnosiła się na nogi. Pieszczotliwym gestem pogłaskała jego włosy. Może jednak powinni się ze sobą przespać? Jeszcze ten ostatni raz? Może to by dobrze zrobiło im obojgu. Przekroczyła rzekę brandy sączącą się z szyjki przewróconej butelki. Teraz już za późno. Kiedy Kenneth się połapie, że nafaszerowała go lekami i ukradła dzieło jego życia, mało prawdopodobne, żeby chciał jeszcze raz pójść z nią do łóżka.

W torebce miała instrukcję obsługi komputera przed odłączeniem, spisaną podczas rozmowy telefonicznej z Alną. Poszła na palcach na korytarz i wyciągnęła ją: Zapisać fajle, zamknąć kopia zapisowa na PĘDRAKU? Równie dobrze mogło to być w sanskrycie. Jak najciszej

umiała, wspięła się po schodach na górę.

Była na ostatnim stopniu, kiedy usłyszała zduszony jęk z salonu. Znieruchomiała, z walącym dziko sercem. A jeśli on dozna permanentnego uszczerbku na zdrowiu? Sama przywykła do mieszanek trucizn, ale przecież nie każdy tak miał.

Kiedy znów zapadła cisza, przeszła przez korytarz na piętrze. Drzwi do sypialni były otwarte i Augusta zobaczyła, że na toalecie postawił lilie tygrysie. Jej ulubione kwiaty. Stłumiła ukłucie żalu. Zawracała już do holu, gdy na parterze rozległo się głośne łupnięcie. Podskoczyła. Brzmiało to tak, jakby dwa masywne kolana huknęły o podłogę. Psiakość słoniowa! Na palcach wyszła z sypialni.

Po jej prawej stronie drzwi do gabinetu okazały się przymknięte. Wstrzymując oddech, sięgnęła do klamki. Dzięki Bogu, ustąpiły. Widziała laptop na biurku, migotał w ciemności. Zapaliła światło i skonsultowała się z pogniecionymi wskazówkami Almy. Co to jest „beprzewodowy retor”, u licha ciężkiego? Do komputera podpięta była płatanina kabli, a każdy służył jakiemuś nieznanemu Auguście celowi. Może po prostu przeciąć je nożyczkami do manicure?

Z dołu dobiegł kolejny nieludzki odgłos, jakby niedźwiedź budził się z zimowego snu w swojej jaskini. Szybкими ruchami wyrywała kable z laptopa. Jeden nie chciał ustąpić, więc zaczęła się z nim szarpać drżącymi dłońmi. Wreszcie dotarło do niej, że musi ścisnąć

koniec plastikowej końcówki, żeby wysunęła się z gniazdka. Jej zdobycz była wolna.

Złapała laptop jedną ręką i wróciła na schody. A jeśli to nie jest jedyna kopia jego książki? A jeśli ma ją na jakimś dysku czy czymś takim? Nie, to niepodobne do Kena. On nie z tych, co robią dwa kroki, jeśli wystarczy jeden.

W salonie coś trzasnęło, jakby butelka zleciała na podłogę. Augusta przycupnęła u szczytu schodów, komputer o mało nie wyślizgnął się z jej spoconej dłoni. Jak najciszej zaczęła skradać się na dół, skulona poniżej poziomu barierki. Jedno kolano strzeliło jej głośniej niż kapiszon. Ponad barierką mogła rzucić okiem do salonu, gdzie w łunie światła chwiała się postać jakiejś bestii.

Kurwa mać! Zsunęła stopę na stopień niżej, zaczepiając o rąbek czerwonej sukienki. Z ostatnich kilku schodów zjechała jak rozpędzony saneczkarz. Laptop wysunął się i poleciał na dół, lądując z trzaskiem na kaflach holu wejściowego.

Leżała na podłodze. Podciągnięta sukienka ukazywała majtki z napisem „Piątek” (była środa) i czekała na cios topora. Ken zamajaczył w drzwiach salonu. Chwiał się niczym gigantyczna sosna i widziała, nawet w tym przyćmionym świetle, że w jego na wpół zamkniętych oczach czai się oszołomienie.

– Gusta? – mruknął i postąpił krok w jej stronę. Trafił przy tym stopą na pustą butelkę po brandy, ostatnią

spośród dzielnej alkoholowej gromady. Nie wydał żadnego odgłosu, gdy miotnęło nim w przód, chociaż jego głowa mocno stuknęła, trafiając na krawędź schodów. No to masz, pomyślała Augusta. Teraz się doczekałaś, teraz się dorobiłaś, teraz zabiłaś człowieka. Przerazona, podczołgała się do leżącej postaci. Czy naprawdę był martwy? Wstrzymała oddech, nachyliła się i przysunęła ucho do jego ust. O Boże, on nie oddychał! Nachyliła się jeszcze bliżej. – Arrrrgghh! – jęknął, a ona odskoczyła. Zalała ją ogromna ulga i to nie tylko dlatego, że nie będzie musiała spędzić reszty życia w kobiecym więzieniu o zaostrozonym rygorze. Ken znów zacharczał, choć nadal z zamkniętymi oczami, więc ponownie nachyliła się nad nim. Jego wargi poruszyły się w rytm słów: – Ty... wredna... krowo.

I kto to mówi, pomyślała, nagle obrażona.

Znów stała na nogach, rozglądając się za laptopem. Kenneth leżał bez ruchu, ale widziała, że jego tors unosi się i opada miarowo. Ostrożnie przeszła ponad nim, minęła butelkę po brandy, butelkę po Jägermeisterze, puste butelki po winie. Na skraju sofy leżała przygnieciona poduszka. Wzięła ją, wróciła na palcach do holu i jednym szybkim ruchem wsunęła mu ją pod głowę. Dobył się z niego jakiś smutny dźwięk. A może to było tylko echo jej poczucia winy?

Rozdział 33

Rozumie pan, zmieniałam hasło zaraz po zabiegu chirurgicznym. – Augusta pochylała się nad kontuarem punktu obsługi z miną, która miała wyrażać absolutną bezradność. – Tak w sumie to była operacja. Operacja mózgu. Mocno traumatyczna. Całe połączenie mojej pamięci... po prostu zniknęły. Czasem ledwie sobie przypominam imię tej tu, obok mnie, mojej siostry.

– Córki – poprawiła ją Frances.

Serwisant, całkiem przystojny chłopak, z sięgającą ramion grzywą ciemnych włosów, spojrział na nie beznamiętnym wzrokiem. Jego urodę psuły tylko zrosnięte brwi, rysujące się pojedynczą krechę nad oczami, które mówiły: Tu, w CyberKrunch, tylko odsiaduję swoje. Jestem przeznaczony do wyższych celów. Zgodzę się udawać, że wierzę w waszą gierkę.

– A próbowała pani wpisać swoje imię? – zapytał tonem równie bezbarwnym, jak spojrzenie.

– Oczywiście, kochany. Wszystkie kombinacje. Augusta, Augustaprice, zdychajaugusto... – Uniósł brew, więc dodała szybko: – Nie żebym miała powód używać takiego hasła.

Frances zastanawiała się, czy mężczyzna wyczuwa w oddechu Augusty zapach likieru z granatów – to był

najtańszy alkohol do nabycia w całonocnym Rite-Aid w trakcie ich pierwszego przystanku po wjechaniu do miasta Camarillo o szóstej rano. Przez trzy godziny siedziały na parkingu i czekały na otwarcie sklepu komputerowego – Augusta z plastikową litrową butelką krwistoczerwonego płynu na kolanach. Każde pytanie zadane przez Frances spotykało się z mruknięciem albo milczeniem. O dziwo milcząca Augusta była bardziej niepokojąca niż ta, która klęła jak marynarz.

– Dzieci... – rzucił chłopak, przebiegając palcami po klawiaturze.

– Dziećmi bym nas nie nazwała – sarknęła Augusta, prostując się na swoją mało imponującą wysokość – tylko dlatego że nie możemy sobie przypomnieć tej jednej prostej rzeczy.

– Imiona pani dzieci – doprecyzował monotonnym tonem. – Na przykład pani córki?

– Nie – powiedziała Augusta. – Jej imieniem niczego bym nie nazwała. Ale... – Oczy jej pojaśniały. – Proszę spróbować: Charlie.

– Musi być alfanumeryczne. Litery plus liczby. Jego data urodzenia?

– Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewięć.

Serwisant postukał w klawisze.

– Nie.

– No to chujnia – rzuciła Augusta, niezupełnie pod nosem.

Chłopak spojrział na nią z nowym szacunkiem.

Frances obok niej poruszyła się niespokojnie.

– No to może Charles – odpowiedziała.

Serwisant znów zajął się klawiszami.

– Bingo – powiedział po chwili. – Weszło.

Augusta się przygarbiła.

– Proszę zrobić dla mnie jeszcze coś, kochany, dobrze? Potrzebuję wydrukować pewien plik. Nie mogę sobie przypomnieć, jak go nazwałam, ale to będzie całkiem spory plik. – Palcem przywołała serwisanta bliżej. Obłążący z lakieru paznokcie złamał się, jego kształt przypominał teraz grot strzały. – Ten plik może ostro cuchnąć nienawiścią.

– Augusto, nie pojedę dalej, póki nie powiesz mi, co się dzieje. A ponieważ sama nie prowadzisz i wątpię, żebyś chciała tkwić na parkingu Camarillo Premium Outlets do końca życia, sugeruję, żebyś zaczęła mówić.

Augusta jak szalona przerzucała strony wydruku, który wręczył jej serwisant, na zmianę mamrocząc do siebie, śliniąc palec, pociągając łyk z butelki z likierem i znów wracając do wydruku.

Uniosła wzrok.

– Przecież to chyba jasne. Znalazłam Świętego Graala. Koniec poszukiwań. Teraz Graal wróci pod ziemię.

Wnętrze wypożyczonego samochodu cuchnęło

sfermentowanymi granatami. Lepka obrączka na macie podłogowej pomiędzy stopami Augusty znaczyła miejsce, gdzie butelka spoczęła, kiedy kobieta spała, chrapiąc głośno, podczas jazdy na północ.

Z motelu wyprowadziły się w środku nocy. Augusta wrzuciła swoje rzeczy do walizki, a potem, kiedy jej zdaniem Frances ruszała się zbyt wolno, zaczęła na chybcika pakować również jej torbę. „Musimy się sprężyć, kochanie. Myk, myk. On wie, gdzie się ukrywamy”. Frances próbowała wypytywać, co się stało, ale Augusta powiedziała jedynie: „Wszystko w swoim czasie. Historia się przed tobą odsłoni i wprawi cię w zachwyty. Ale póki co, ruszajmy w drogę. Ja już spojrzalam w twarz swoim demonom, teraz musimy spojrzeć w twarz twoim”.

To żadne demony, pomyślała Frances. To moi rodzice, którzy mnie kochają. Nadal mnie kochają, bo muszą. Nie miała innego miejsca, nie miała dokąd pojechać, więc poddała się instynktowi, który ogarniał ją, odkąd tu przyleciały. Ruszyły w kierunku północnym, do jedyne go schronienia, jakie Frances знаła. Do domu, w którym dorastała i który opuściła pełna nadziei.

Teraz patrzyła, jak Augusta przerzuca maszynopis, przebiegając szybko palcem po tekście na kolejnych stronach.

– Zakładam, że to jest to utracone arcydzieło. Książka Delleri. Wydawca nie będzie zbyt szczęśliwy, że

zobaczyłaś ją przed nim – zauważyła Frances, ale Augusta ją zignorowała. – Przespałaś się ze swoim byłym, żeby pozwolił ci ją zobaczyć?

– Niezupełnie. Film mu się urwał, zanim zdążył coś zdziałać. I dobrze.

Frances opuściła okno, by zastąpić zaduch granatów parkingowymi wyziewami benzyny. Aż ciężko było oddychać.

– Dlaczego dobrze? – zapytała, ale Augusta jej nie słuchała, wciąż przerzucała strony, każdą ogarniała wzrokiem, klęta i przechodziła do następnej.

– Pan Romans! – sarknęła. – Co za bzdety. Czy zdajesz sobie sprawę – zerknęła na Frances oczyma rozszerzonymi z niedowierzania – że te wypociny chyba rzeczywiście właśnie tego dotyczą? – Potrząsnęła plikiem papieru. – On pisze o miłości. W sensie abstrakcyjnym. Zupełnie nie o tym, co się wydarzyło. Zupełnie nie o mnie.

Sięgnęła po butelkę. Mała kropelka czerwonego płynu skapnęła na stronę i spłynęła po marginesie. Frances sparaliżowała pewna myśl: Jestem zbiegłą przestępczynią. Bezrobotną uciekinierką bez grosza przy duszy. Następnych pięć lat spędzę w pomarańczowym kombinezonie, dzieląc więzienną celę z babą o imieniu Storm.

– Kenneth Deller pewnie już zdążył zadzwonić po policję?

Augusta wzruszyła ramionami.

– Tylko jeśli ma telefon obok szpitalnego łóżka.

Frances wyskoczyła z samochodu i przykucnęła w cieniu wozu kempingowego. Czuła nadchodzące mdłości. W głowie kręciło jej się od wyziewów benzyny, od zmęczenia, od głosu ojca: „Frances, jeśli coś zaczynasz, zawsze próbuj sobie wyobrazić, jak to się skończy, a potem przeprowadzić rzecz do końca. To twoja silna strona, ta przytomna głowa”.

Wpełzła z powrotem za kierownicę.

– Czy ty mu zrobiłaś coś złego, Augusto? – Augusta tylko parsknęła. – Czy powinniśmy do kogoś zadzwonić? Na policję? Po pogotowie?

– Już to zrobiłam, kochanie, parę godzin temu. Zadzwoniłam pod 999.

– To nie ten numer! – wrzasnęła Frances. – W Stanach numer alarmowy to 911! Kurwa!

– Tak, no cóż. – Augusta patrzyła na nią jak na wariatkę. – Szybko się zorientowałam. – Pokręciła głową z dezaprobatą. – Ale moja droga, co za język...

Rozdział 34

Frances nie miała pojęcia, jak długo siedziały w zaparkowanym na poboczu drogi samochodzie, patrząc na dom jej dzieciństwa. Po prawej deptak ciągnął się wzdłuż wybrzeża klifu, od czasu do czasu wstrząsany głuchym odgłosem stóp biegacza mijającego je w zapadającym zmroku. Frances słyszała ocean roztrzaskujący się o skały u podnóża urwiska. Biały szum jej dzieciństwa. Po drugiej stronie drogi w szerokim wykuszowym oknie zobaczyła matkę, która niosła swoje gustowne świeczniki do salonu. Matka zawahała się jedynie sekundę, kiedy Frances zadzwoniła z parkingu w Camarillo z informacją, że jedzie do domu i jest ze znajomą. Powiedziała to szorstkim tonem, jakby sprawdzając, czy spotka się z protestem, że nie zawiadomiła jej wcześniej. Ale matka nic podobnego nie zrobiła. Zamiast tego, z wdziękiem, który Frances podziwiała, jednocześnie go nienawidząc, powiedziała: „To ja skoczę na targ i kupię jeszcze dwa kotlety. To mi zajmie tylko chwilę”. Potem po drugiej stronie linii zapadło krótkie milczenie, podszyte odgłosem przełykanych łez, a wreszcie uwaga: „Twój ojciec bardzo się ucieszy”. Nieprawda, pomyślała Frances. Nie przywożę ze sobą nic, co sprawiłoby mu przyjemność.

Siedziała w samochodzie i obserwowała, jak matka zaciąga zasłony. Dom wyglądał niemal tak samo, jak go zapamiętała: trzy poziomy poprzecinane na krzyż elżbietańskimi belkami, absurdalna wiktoriańska wieżyczka na rogu od strony nadmorskiego bulwaru. Frances zawłaszczyła dla siebie tę wieżę, kiedy miała sześć lat, ogarnięta obsesyjnym zainteresowaniem księżniczkami. A jednak dom wydawał się obcy, zmieniony niczym stary przyjaciel po wypadku: dwie hortensje, które kiedyś obramowywały werandę, zniknęły, a na ich miejscu pojawiła się drewniana rampa dla wózka inwalidzkiego. Sosnowe deski nadal były świeże i żółtawe, nienaznaczone działaniem słonego powietrza.

Augusta spała, oparta o okno samochodu. Tuż przy jej ustach na szybie wykwitwała plama mgiełki. A jeśli ona faktycznie zabiła Dellera? Uciekamy jak przestępczynię, pomyślała Frances. Jesteśmy przestępczyniami i nawet nie mamy prezentu dla pani domu.

Łagodnie trąciła ramię Augusty, a ta drgnęła, wyrwana ze snu. Odskoczyła od okna, a jej oczy rozszerzyły się na widok oceanu.

– Jesteśmy w Dover? – szepnęła. – Nie wolno mi jeździć do Dover.

– Nie ten kraniec świata – odparła Frances. – To Cambria. Moje rodzinne miasto. A to jest mój dom... – Urwała. – To znaczy dom moich rodziców.

Augusta przysunęła się do niej, żeby lepiej widzieć.

Musiła przy tym przechylić się ponad laptopem Kena wystającym z jej torby. Jej telefon zapiszczał, ale go zignorowała.

– Bardzo ładny. Może nieco zbyt w stylu Anny Boleyn, jak na mój gust, ale przyjemny. – Wyjęła z torebki miętówki i poczęstowała Frances.

Gdy telefon znów zapiszczał, Frances, zdesperowana, sięgnęła do jej torby, ale Augusta klepnęła ją po dłoni.

– Na litość boską, Augusto! – Frances była wyraźnie urażona. – Nie zamierzałam dotykać tego cennego komputera. Chciałam tylko pomóc ci sprawdzić wiadomości.

Powoli, nie spuszczać z niej oczu, Augusta sięgnęła do torebki i wyjęła z niej komórkę.

– Paskudne urządzenia – powiedziała, wręczając ją Frances. – Mają rzekomo pozwalać nam się kontaktować. Wierutna bzdura! Nigdy nie byliśmy od siebie bardziej oddaleni. Idioci ganiają się po ulicach i robią sobie fotki, żeby móc się potem nad nimi brandzłować...

– Mm – mruknęła Frances, nie słuchając jej słowotoku. – Kto to jest David?

– David? – Augusta nagle się wyprostowała. Przeciągnęła palcem po brwiach, jakby w każdej chwili na tym skalistym kawałku wybrzeża mogła pojawić się kamera. – David to mój agent. Co pisze?

– Zostawił z osiem esemesów i maili, każdy bardziej histeryczny niż poprzedni. Coś w sprawie

przedstawienia pod tytułem *Krąg kłamstw*.

Augusta oparła się o tył fotela, nie zważając na zaciekawione spojrzenie swojej towarzyszki. Zawsze wierzyła, że fortuna jeszcze się do niej uśmiechnie. *Krąg kłamstw*. Zdradzona żona królewskiego radcy. Rola, o którą walczyła i którą straciła. Producenci wreszcie odzyskali rozum. Zrozumieli zalety, które ona – i tylko ona – mogła wnieść do tej kreacji.

Usiłowała przypomnieć sobie scenariusz, ale czytała go tak dawno temu. Ciekawa, skomplikowana rola. Coś jej świtało: żona miała być zraniona, ale nie zgorzkniała, przestraszona, ale niezłomna. Z miejsca zaczęła ćwiczyć postawę szlachetnej rezygnacji, nie zważając na pobladłą Frances. Dziewczyna wpatrywała się w nową wiadomość w telefonie Augusty. Była to prosta deklaracja: ZNAJDĘ CIĘ I ZABIJĘ.

Augusta za bardzo pograżyła się w swoich marzeniach na jawie, żeby dostrzec, że Frances szybkim naciśnięciem klawisza usuwa wiadomość. Dopiero po chwili wróciła do rzeczywistości.

– Chodźmy spotkać twoich rodziców, dobrze? – zaproponowała. – Jestem pewna, że mają znakomicie zaopatrzoną piwniczkę.

Przeszły przez Moonstone Drive i ruszyły długim, pochyłym podjazdem w stronę domu. Obcas Augusty zaczepił o przerwę w deskach rampy dla wózka i Frances musiała się pochylić, żeby ją uwolnić.

– To nowa rzecz, ta rampa – wyjaśniła szybko. –

Ojciec porusza się na wózku dopiero od niedawna i nie cierpi tego.

– No jasne. – Augusta poprawiła szminkę, przeglądając się w matowej szybce w drzwiach. – Pewnie mu się wydaje, że to już koniec życia.

– Tak bym tego nie ujęła... – zaczęła Frances, ale zanim zdążyła dokończyć, drzwi się otworzyły.

Augusta miała zaskakujące wrażenie, że zna kobietę stojącą w progu. To była Frances za dwadzieścia lat, Frances o wytartych ostrych krawędziach. Miała te same ciemne włosy i piwne oczy, ale włosy były lśniące i ze starannie rozjaśnionymi pasemkami, a oczy zostały subtelnie podkreślone brązowym ołówkiem.

Frances stała na werandzie, niepewna. W końcu matka podeszła do niej i objęła ją szczupłymi, opalonymi ramionami.

– Och, kotku – szepnęła. – Tak się cieszę, że jesteś w domu.

A więc tak się to robi, pomyślała Augusta.

Dziewczyna stała w objęciach matki przez chwilę, póki nie usłyszała sugestywnego chrząknięcia.

– Och... Mamo, to moja... moja przyjaciółka, Augusta. Augusto, poznaj moją mamę, Jean Bleeker.

Jean wyciągnęła rękę, a maleńkie złote zawieszki przy jej bransoletce zakołysały się. Na twarzy miała szczerze serdeczny wyraz i Augusta po raz kolejny nie mogła się nadziwić tej amerykańskiej umiejętności akceptowania z uśmiechem każdego zdumiewającego

szajsu podsuwanego przez życie.

– Bardzo się cieszę, mogąc poznać przyjaciółkę Frances. – Jean gestem zaprosiła je do środka.

Wykładany marmurem hol był niemal tak duży jak całe londyńskie mieszkanie Augusty i pachniał czymś cytrusowym. Po chwili Augusta zdała sobie sprawę, że musi to być pasta do polerowania mebli. Idąc korytarzem, dostrzegła opartego o ścianę kozła do piłowania drewna. Przejście do wielkiego, bladego salonu z jednej strony było odarte z tynku, odsłaniając niewykończoną krawędź płyty gipsowej. Jean dostrzegła spojrzenie Augusty.

– Poszerzamy drzwi – wyjaśniła natychmiast.

Frances powoli odzyskiwała równowagę.

– Gdzie tata? – spytała.

– Niedługo zejdzie na dół. Ostatnio dość często potrzebuje drzemki. – Jean wyciągnęła rękę, chcąc dotknąć włosów córki, ale Frances odsunęła się i przeszła przez pokój w stronę wykuszowego okna, które wychodziło na ocean. Kobieta patrzyła przez chwilę jej śladem, a potem obróciła się do Augusty: – No cóż, proszę się rozgościć. Może wezmę pani torbę?

Augusta przytuliła torbę do piersi ruchem tak gwałtownym, że aż się zachwiała na obcasach. Jeden z nich głośno stuknął. Nie śmiała zerknąć, czy nie nadkruszyła marmurowej posadzki.

– Nie trzeba, dziękuję – odparła, czując przy piersi chłodny, twardy kształt. – Proszę nie zawracać sobie

głowy moim bagażem.

Usiłowała się uśmiechnąć, ale jej się nie udało. Jean Bleeker jednak tego nie zauważyła – znów patrzyła na plecy swojej córki.

Rozdział 35

Ile czasu potrwa to przedstawienie? Zbulwersowana Frances patrzyła, jak Augusta niemal pcha się na kolana Lena Bleekera. Jedną dłoń położyła na wychudłym ramieniu jej ojca, drugą umieściła na oparciu jego wózka inwalidzkiego, prężąc biust, jakby inaczej można go było nie zauważyć. Piersi wyrywały się z dekoltu jej bluzki niczym dwa bliźniacze półksiężyce, odbijające się w srebrze świeczników od Georga Jensena.

Frances wiedziała, że ojciec będzie wyglądał starzej, ale nie spodziewała się, że okaże się taki wąty. Len Bleeker zawsze miał wielką głowę, niczym posąg z Wyspy Wielkanocnej, z masywnym nosem i krzaczastymi brwiami, zwieszającymi się nad ciemnymi oczami. „Ta głowa jeszcze nie znalazła kapelusza, który byłby jej wart”, zwykł mawiać. Teraz jednak ten potężny cypel spoczywał na wychudłych ramionach dziecka, rachitycznego chłopca. Ojciec wyglądał jak lalka kiwająca rytmicznie wielką głową na samochodowej półce.

Okrucieństwo tej myśli uderzyło Frances. Sięgnęła po kieliszek z winem. Trzeci tego wieczoru. Rodzice rzeczywiście mieli znakomicie zaopatrzoną piwniczkę, nietkniętą od początku choroby ojca.

– Wspaniały rocznik – mruzczała Augusta. – Czuję się jak w Savoyu.

Na stole stały trzy butelki, a Frances patrzyła, jak Augusta dolewa do kieliszków Dominus 2001. Jean zdawało się nie przeszkadzać, że ta obca kobieta uzurpuje sobie rolę pani domu, a może nawet rości prawa do jej męża. Kiedy Augusta chciała jej dolać wina, matka Frances zakryła dłonią kieliszek i potrząsnęła głową.

Len uniósł szkło do ust. Dłoń mu drżała. Frances poczuła, że skronie jej pulsują. Ojciec nie powinien pić. Dlaczego matka nie reaguje? Ale Jean siedziała swobodnie, z nieznacznym uśmiechem, i słuchała, jak mąż wspomina życie w starym kraju. Frances wzięła łyk wina.

Len od pół godziny opowiadał Auguście o swoim dzieciństwie w Coventry, o zabawach w ruinach katedry, o tym, jak skręcił kostkę na krawędzi leja po bombie. Bieda w połączeniu z powojennymi kłopotami z zaopatrzeniem sprawiała, że wiecznie chodził głodny. Kiedy przyjechał do Los Angeles w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku, stanął w dziale z pieczywem w supermarkecie, sparaliżowany dostępnym wyborem.

– Ale zawsze mi brakowało pewnych rzeczy z domu – powiedział. – Telewizji na przykład. W tym kraju jest do niczego. Wszyscy przez cały czas są tak cholernie pogodni. W Anglii przynajmniej wiedziało się, że

człowiek będzie się mógł porządnie pośmiać. – Wymienił jakieś nieznane Frances nazwisko, a Augusta z uśmiechem nachyliła się do niego i szepnęła mu coś do ucha. – Zboczek, powiadasz? – Len Bleeker szeroko otworzył usta, zaskoczony i zachwycony. – Ale przecież on był żonaty z tą dziewczyną z horrorów, z tymi uroczymi... – Uniósł drżące dłonie i zakreślił nimi kształt krągłych piersi.

– Która urodziła się jako facet – dorzuciła Augusta.

– Nie! – Położył dłoń na ręce Augusty, była dwa razy większa od jej ręki. Jego wózek spoczywał w specjalnie zaprojektowanym uchwycie, który wysuwał się spod tekowego jadalnego stołu i pozwalał mu przy nim prezydować jak zawsze.

Frances nie mogła już na to patrzeć.

– Mamo, przyniosę deser. – Poderwała się i zaczepiła stopą o dolną poprzeczkę krzesła, o mało się nie przewracając. Augusta nie odrywała wzroku od Lena. Aktualnie omawiali najlepsze puby w Coventry.

W kuchni Frances podeszła do zlewu, żeby spryskać twarz wodą. Musiała bardzo nisko się pochylić, bo wszystkie urządzenia i blaty zostały dostosowane do poziomu wózka. Orzeźwiona, przypomniała sobie, jak ojciec się wściekał, kiedy rozporządzenie władz lokalnych zmusiło go, żeby w swoich sklepach z urządzeniami gospodarstwa domowego zainstalował udogodnienia dla niepełnosprawnych. Narzekał na szaleństwa poprawności politycznej i rozważał

podważenie zarządzeń na drodze sądowej. Wreszcie, niechętnie, zajął się przeróbkami w swoich sześciu punktach, w których poszerzono wejścia i zamontowano windy.

Otarła twarz ściereczką do naczyń. Gdyby tylko mogła wrócić tu, chwając się choć jednym triumfem, nieważne jak drobnym. Gdyby tylko mogła zaoferować ojcu choć niewielki promyczek światła. A tu nic. Pomiedzy miniaturowymi sprzętami wydawała się gigantem, ale czuła się mała i bezradna jak dziecko.

Nie usłyszała, kiedy do kuchni weszła matka. Zesztywniała, czując na plecach chłodną dłoń.

– W głowie mi się nie mieści, że nic nie powiedziałaś – rzuciła.

– Ale o czym, kotku? – Matka pochyliła się, żeby otworzyć lodówkę i wyjąć miskę. Mus malinowy, ulubiony deser ojca.

– O Auguście, która łąsi się do ojca. – Słowa Frances nawet w jej własnych uszach zabrzmiały niewyraźnie. Woda jednak wcale jej nie otrzeźwiła.

– Och, kochanie. – Matka westchnęła i wyprostowała się. – Czy ty wiesz, ile to już czasu, odkąd ktoś próbował flirtować z twoim ojcem? – Odwróciła się i postawiła miskę na blacie obok stosu talerzyków deserowych. W holu rozdzwonił się telefon. Komórka Augusty. Frances poczuła, że znów się usztywnia, czekając, czy Augusta odbierze, ale nie dosłyszała żadnych kroków. Ostry dźwięk ucichł, by po paru sekundach rozlec się

znowu. Jean obróciła się do córki. – Może chcesz odebrać? To może być coś pilnego.

Frances wymknęła się do holu. Czuła, że w środku się gotuje. Czy Augusta ma jakieś pojęcie o kosztach roamingu? Nie, oczywiście, że nie ma. Przecież nie jest osobą, która rozgląda się po rynku, szukając najkorzystniejszego abonamentu.

Wyłowiła telefon z torby Augusty i warknęła z większą energią, niż może należało:

– Tak?

Po drugiej stronie po chwili wahania rozległ się angielski głos:

– Przepraszam, musiałem wybrać zły numer. Chciałem się skontaktować z Augustą Price.

Zdusiła rozdrażnienie. Anglicy zawsze przepraszali. Przynajmniej udawali, że jest im przykro.

– To właściwy numer. Mówi jej przyjaciółka.

– Och... – Mężczyzna po drugiej stronie zdawał się jeszcze bardziej ogłupiały. – Przepraszam. Nie... Nie wiedziałem...

– Że ma przyjaciółkę? No cóż, owszem, sytuacja jest dosyć płynna. – Frances była zadowolona. Tego typu uwagę mogłaby rzucić Augusta. – Jedną chwilkę, poszukam jej.

– Gdyby mogła jej pani powtórzyć, że dzwoni David, jej agent.

Zakrywając mikrofon dłonią, Frances ruszyła holem w stronę jadalni. Ale nikogo w niej nie znalazła. Przez

moment stała, nie ogarniając sytuacji. Augusta zniknęła, jej ojciec, na wózku inwalidzkim, zniknął. Ogarnęło ją głębokie poczucie dezorientacji: głos w komórce, jego angielskie brzmienie, przeniósł ją z powrotem do Londynu, gdy tymczasem była przecież w Kalifornii, w domu rodzinnym.

Rozejrzała się, nagle przerażona. A jeśli Augusta uciekła z jej ojcem? No, powiedzmy, porwała go gdzieś na wózku. Na usta pchał jej się histeryczny śmiech.

– Halo? Augusta? – usłyszała w słuchawce.

Od strony podjazdu dobiegł ją pisk, przeszywający dreszczem wieczorną ciszę. Frances omal nie upuściła telefonu, rzuciwszy się biegiem do drzwi. Szarpnęła je na oścież. Po drugiej stronie drogi, zza krawędzi klifu dobiegał szum oceanu. Światło księżyca wydobywało z mroku niewielkie grzbiety dalekich fal. Ale na trawniku przed domem panowała cisza.

Wyszła na werandę i poczuła, że coś ją ściska w żołądku.

U szczytu pochylonego podjazdu, obok przystosowanej dla potrzeb ojca rampy, Augusta samymi czubkami palców trzymała poręcz wózka inwalidzkiego.

– Zrób to... – Szept Lena niósł się w nocnym powietrzu.

Zanim zdążyła zbiec po stopniach, Augusta puściła poręcz. Wózek zaczął nabierać prędkości, pędem zjeżdżając po pochyłości w stronę Moonstone Drive i leżącego za nią urwiska. Len pisnął, ściskając dłońmi

podłokietniki. Miał parę sekund forów, zanim Augusta galopem wystartowała jego śladem.

Złap go, pomyślała Frances. Złap go! Inna część jej umysłu zauważyła ze zdumieniem, że Augusta rusza się wyjątkowo szybko jak na pijaczkę w butach na obcasach. Wyglądało na to, że złapie Lena, bo odległość pomiędzy nią a wózkiem była coraz mniejsza. Ale wtedy nagle potknęła się, tracąc równowagę. Frances wyrwał się chrypliwy okrzyk przerażenia. Augusta wyprostowała się jednak i ruszyła przed siebie. W ostatniej chwili, kiedy Len był już u samego skraju drogi, wyciągniętą ręką chwyciła poręcz wózka i szarpnięciem sprawiła, że zakreślił ostrym łukiem.

Zdyszana, zatrzymała Lena i obróciła się ku Frances z triumfalnym uśmiechem.

– Robiłam to kiedyś z wózkiem spacerowym Charliego – powiedziała, odgarniając włosy z czoła.

Frances poczuła, że miękną jej kolana. Osunęła się na ziemię obok drzwi. Z komórki, którą wciąż ścisnęła w dłoni, dobiegł głos Davida:

– Augusto? Co to za hałasy? Czy zdarzył się jakiś wypadek?

Len Bleeker wziął głęboki oddech. Na policzkach miał jaskraworóżowe rumieńce. Powoli obrócił wózek u podnóża podjazdu i rozpromieniony popatrzył na córkę.

– Frances – odezwał się – lubię twoją przyjaciółkę.

Rozdział 36

Palcami obrysowała słowa, które wyryła w ławce dwadzieścia lat wcześniej. Tego lata, kiedy skończyła jedenaście lat, zaczytywała się w siostrach Brontë i przeklinała los, który rzucił ją do niewielkiego miasteczka na kalifornijskim wybrzeżu, a nie na wrzosowiska Yorkshire, gdzie było jej miejsce. Te słowa nadal tam były: „Frances Suzanne Bleeker, dziś tu, jutro gdziekolwiek”.

A pojutrze znów tutaj. Wyprostowała się, usiłując dostrzec głowy lwów morskich w wodzie poniżej. Ale morze było czarne, a księżyc zanurkował za chmury. Rodzice zapakowali się już do łóżek, ojciec ożywiony i puszający się swoją przygodą. Dumnie chichotał, nawet gdy umieszczaly go na windzie przy schodach. Frances nie mogła się zdecydować, czy donieść na Augustę policji, czy wręczyć jej medal.

Żwir na ścieżce za jej plecami zachrzęścił. Poczula zapach Benson & Hedges i Arpège.

– Kochanie – Augusta ciężko usiadła obok niej – czas pakować zabawki i ckliwie się żegnać.

– Już niedługo – odparła Frances. – Tylko trzy dni do powrotnego lotu.

– Nie rozumiesz – odparła Augusta. – Musimy

wyjechać wcześniej. – Położyła dłoń na kolanie Frances.
– David załatwił mi próbę czytana. Okazuje się, że aktorka, która ukradła mi rolę, jest nieosiągalna. Jakaś wyjątkowo nieudana operacja.

– Ach, tak, wspominałaś o tym. Miniserial, prawda?
Krąg oszustw.

– *Krąg kłamstw*, kochanie. Subtelna, ale zasadnicza różnica. A ta rola pozwoli mi odzyskać właściwą pozycję. Nieco zainteresowania prasy, może nawet trochę uwagi w czasie sezonu przyznawania nagród... –

Twarz nieco jej posmutniała. – Oczywiście upłynęło trochę czasu, odkąd ostatni raz czytałam coś przed producentem. Albo musiałam zapamiętywać kwestie. Nie jestem do końca pewna, czy nadal wiem, jak sobie poradzić na przesłuchaniu.

Frances poczuła nagły przypływ czułości.

– Ale chcesz to zrobić?

– Oczywiście, że chcę. Muszę pracować, kochanie. Praca to jest to, co pozostaje, kiedy znika wszystko inne. *Arbeit macht frei*, o ile wolno mi bezkarnie zacytować hitlerowców. Praca to to, co pozostaje po nas w świecie. Nawet jeśli to tylko tandeta, jak ma to zwykle miejsce.

Frances objęła się ramionami. Jeśli wróca do Londynu, a Augusta zajmie się pracą, to może ona mogłaby skończyć szkic książki? To byłby jakiś sposób na odzyskanie szacunku do siebie. Dla nich obu. Spojrzała na mroczny ocean, a potem obejrzała się na dom.

– Zaliczka za książkę nie przyjdzie, Augusto, prawda? Wydawca nie wyśle nam żadnej kasy.

Augusta się poruszyła.

– Obawiam się, że nie, kochanie. Przynajmniej nie tak wcześnie, żeby nam to pomogło. – Coś pokrzepiającego płynęło z wypowiedzianych wreszcie słów prawdy.

– Wymienię nasze bilety – powiedziała Frances. – Wrócimy do domu wcześniej.

Augusta uściśniła jej dłoń, a Frances po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jaka mała była ta ręka, jak u dziecka. Kiedy odezwała się znowu, jej głos się rwał:

– Dziękuję ci, Frances. Byłaś dla mnie bardzo dobra. Niemal jak... No, w każdym razie, na pewno nie jak płatna pomoc.

Bezpłatna pomoc, pomyślała Frances.

– Tak czy inaczej są dwie sprawy. Po powrocie do Londynu musimy sensownie popracować nad książką.

– Absolutnie. – Augusta wykonała znak krzyża nad prawą pierśią. – Słowo honoru dziewicy.

– I chcę oddać Kennethowi Dellerowi komputer. – Tym razem kobieta ostro zaczerpnęła powietrza i wyrwała rękę. – Przecież i tak nie wymienił cię w tej swojej książce – dodała Frances.

– Dziękuję, że mi o tym przypominasz. Chociaż jestem wystarczająco świadoma tego braku. – Augusta sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła z niej zmiętą paczkę papierosów oraz zapalniczkę. Niewielki płomyczek

oświetlił na moment jej twarz, pogłębił sińce pod oczami. – Mój syn i jego ojciec zapomnieli chyba, że kiedyś stanowiłam dość ważną część ich życia.

– Przykro mi, Augusto. Nie ma gorszej rzeczy, niż być ignorowanym. – Frances ściślej otuliła się ramionami. – Wierz mi, wiem to.

Minęło sporo czasu, zanim Augusta się odezwała:

– W końcu wszystko wraca, żeby dać ci kopa w tyłek. Nawet to, co cię kiedyś po tym tyłku całowało.

Augusta przykucnęła na podjeździe obok wózka Lena Bleekera. Jean i Frances obserwowały ich z okna w holu.

– To kolejna sprawa – powiedziała Jean. – Nikt nigdy się nie zniża, żeby znaleźć się na poziomie twojego ojca. Całe życie spędził, spoglądając na ludzi z góry, a teraz musi wyciągać szyję.

– Ona po prostu chce, żeby mógł jej zajrzeć w dekolt – powiedziała Frances.

– Nie mam nic przeciwko. Skoro patrzenie w mój go znudziło.

Matka Frances podeszła do bocznego stolika w holu i odsunęła szufladę. Wyjęła gruby zwitek gotówki, schludnie spięty klipsem z masy perłowej, i podała go córce.

– Mamo, nie.

– Tak, Frances. – Wzięła jej dłoń, wcisnęła w nią pieniądze i zamknęła, otuliwszy swoją dłonią. – I nie chcę, żebyś miała z tego powodu jakieś wyrzuty. Każdy od czasu do czasu potrzebuje pomocy. Kiedy skończysz pomagać Augustie przy jej książce, możesz nam oddać kasę, jeśli będziesz chciała.

Banknoty były miękkie i sfatygowane, a sam plik gruby jak przyjemna kołderka. Frances zastanawiała się, ile czasu matka odkładała je w szufladzie, czekając na taką podbramkową sytuację. Fakt, że rodzice z góry wiedzieli, że trzeba ją będzie ratować, był nie do zniesienia. Zdecydowanym gestem wcisnęła pieniądze z powrotem w dłoń matki.

– Nie mogę.

Jean wzięła głęboki, poirytowany oddech.

– Oczywiście, że możesz, kotku...

– Mamo. – Frances poczuła, że mocno zaciska zęby. – Tu nie chodzi o pieniądze. Chodzi o to, żebym się pozbierała...

– I nie wolno nam ci w tym pomóc?

– ...samodzielnie. Chciałabym po prostu poczuć, choć przez jeden dzień, że potrafię sama naprawić to, co sama spierdołę. – Matka zacisnęła wargi, słysząc przekleństwo, a Frances pomyślała, jak łatwo byłoby pobiec na górę, do swojego pokoju, i zaszyć się tu, w domu lśniącem od cytrynowej pasty do polerowania, nieskalanego wątpliwościami. – Och, mamo – szepnęła. – Chciałam wrócić z czymś więcej. Z czymś więcej,

czym mogłabym się pochwalić.

Jean pokręciła głową i położyła pieniądze na blacie stolika. Ujęła w dłonie twarz córki. W jej oczach pojawiło się coś, czego Frances wcale nie chciała widzieć.

– Rzuciłam studia, żeby wyjść za twojego ojca – powiedziała powoli. – Od tamtej pory opiekuję się nim. Codziennie zastanawiam się, czy nie zmarnowałam życia. – Objęła Frances w talii i mocno przytuliła. – Ty przynajmniej miewasz jakieś przygody.

Frances poczuła narastający w gardle szloch.

– Wiesz, co mogłabyś mi dać? Trochę chusteczek do torebki. Mam przyjaciółkę, która nie cierpi widoku łez.

Rozdział 37

Kiedy podjechały na stację benzynową na obrzeżach Ventura, Augusta spała. Nie słyszała, jak Frances wysiadła z samochodu i cicho zamknęła za sobą drzwi. Obudziła się dopiero po jej powrocie – tym razem trzasnęła drzwiami i opadła ciężko na siedzenie kierowcy. A potem walnęła otwartymi dłońmi w kierownicę.

– Zatrzymali moją kartę kredytową! Cholera!

Augusta próbowała sobie przypomnieć, gdzie jest. Powietrze pachniało benzyną i gumą do żucia. Samochód tonął w jaskrawym świetle, ale poza jego kręgiem były wyłącznie ciemność i odgłosy ruchu na autostradzie.

– O, nie – powiedziała. – Więc to był napad z bronią w ręku?

Frances obróciła się i spojrzała na nią, a Augusta z ulgą dostrzegła, że jej towarzyszka – póki co – nie zaczęła płakać.

– Augusto, skonfiskowali mi kartę. – Pomachała dłonią w stronę niewielkiego sklepu jarzącego się pośród mroku. – Ta dziewczyna wzięła ją, spojrzała na informację na wyświetlaczu, a potem normalnie wyrwała mi ją z ręki! Jakbym była przestępczynią. –

W jej oczach pojawił się złowieszczy błysk. – Nie mogła mieć więcej niż osiemnaście lat. I zabrała MOJĄ kartę kredytową!

Augusta przez chwilę analizowała powagę nieszczęścia.

– Czy przynajmniej przyniosłaś mi papierosy? – spytała w końcu.

Na jej kolanach wylądowała paczka Benson & Hedges.

– Tej szczeniarze chyba zrobiło się mnie żal. Wprost cudownie. Jakaś dziewczynka w aparacie ortodontycznym, która pracuje na stacji benzynowej w Ventura, obdarzyła mnie współczuciem. – Frances spojrzała na Augustę. – Jesteś pewna, że nie masz ze sobą żadnej karty kredytowej?

– Tak, kochanie. Mówiłam ci. Moje karty kredytowe spoczywają razem z brylantami i sztabkami złota w sejfie w Zurychu. – Augusta opuściła szybę i wyrzuciła folię z paczki papierosów na zewnątrz. –

Na tym etapie przecież się jakoś obejdziemy, prawda? Jutro wieczorem lecimy do domu. Możemy się przespać w samochodzie, jeśli będzie trzeba. Na lotnisku zawsze jest też salonik pierwszej klasy, jeśli będziemy potrzebowały się pokrzepić. Udzielę ci lekcji mrocznych sztuczek. – Frances milczała, patrząc nieruchomym wzrokiem w dal. – Frances?

– Za zmianę daty lotu jest opłata – odezwała się w końcu. – Sto pięćdziesiąt dolarów od sztuki. Musimy

uiścić ją na lotnisku, zanim pozwolą nam wejść na pokład. Miałam nadzieję, że zapłacę za to kartą.

Augusta odpięła pasy bezpieczeństwa, które nagle zaczęły ją uwierać. Marzenie, którego realizacja była już w zasięgu ręki, znów zaczęło się oddalać.

– Ja *muszę* wracać do domu – powiedziała z naciskiem. – *Muszę* dostać od Davida ten scenariusz przed przesłuchaniem.

– Tak – rzuciła Frances z roztargnieniem, a po dłuższym czasie dodała: – Jest coś, co możemy zrobić.

– Wrócić do tego uroczego motelu w Hollywood i zaoferować miejscowej ludności usługi seksualne? Kochanie, pozwól, że oddeleguję do tego ciebie. Masz o wiele bardziej wygimnastykowane stawy.

Oczy Frances były chłodne w przyćmionym świetle samochodu.

– Mogłybyśmy zwrócić komputer Dellerowi. Założę się, że chętnie pożyczy nam kilkaset dolarów, jeśli go odzyska.

Augusta wcisnęła się głębiej w fotel i mocno przycisnęła laptop do piersi.

– Mój plan podoba mi się znacznie bardziej.

Rozdział 38

Tam! – krzyknęła Augusta. – Zjedź w prawo, na miły Bóg!

– Augusto – powiedziała Frances, pobielającymi kłykciami palców ściskając kierownicę. – Sześć pasów ruchu nie pozwala mi zjechać. Nie możesz nagiąć autostrady do własnej woli.

Oczywiście, że mogła. Milę później Frances znalazła zjazd i wybrała pierwszy wjazd w kierunku północnym. Zawróciły autostradą Ventura. Po kilku minutach Augusta zaczęła gorączkowo wymachiwać w stronę neonowego szyldu i zjechały na parking niemal całkowicie zapchany furgonetkami.

– „Samotna jałówka” – przeczytała, wysiadając z samochodu. – Tak oto jedna samotna jałówka wezwała drugą. Przeznaczenie, nie uważasz?

Frances spojrzała na stojący przed nimi budynek baru. Jej matka nazwałaby go speluną. Nad frontowymi drzwiami wisiała para bawolich rogów, a plakat w oknie przedstawiał pysk rozwścieczonego byka tuż obok napisu: **WEŹ BYKA ZA ROGI. POKONAJ JERRY’EGO I WYGRAJ DUŻĄ STAWKĘ!** Ich wynajęty samochód wydawał się maleńki pomiędzy dwoma dodge’ami ram. Jeden z nich miał na błotniku naklejkę z niemal całkiem

zasłoniętym przez błoto napisem: KIEROWCA MA PRZY SOBIE WYŁĄCZNIE RÓWNOWARTOŚĆ DWUDZIESTU DOLARÓW W AMUNICJI.

– Przyjemne miejsce – stwierdziła Frances z rezerwą, ale przyjaciółka już ciągnęła ją w stronę wejścia.

– Kochanie, musimy się przegrupować. Zwycięska strategia zawsze opiera się na paru drinkach. Tak twierdził Churchill.

– Pozostaje jeden drobiazg: nie mamy ani grosza.

Augusta przyjrzała się jej ze współczuciem.

– Czy przez cały ten czas niczego cię nie nauczyłam?

– Augusto, ja prowadzę.

– Nie, marudzisz. – Odsunęła ją na odległość ramienia i przyjrzała jej się w halogenowym oświetleniu parkingu. – Uwierz mi, rozczulanie się nad sobą nie służy twojej cerze.

Frances wciąż się zastanawiała nad ripostą, gdy Augusta wciągnęła ją za drzwi.

Półmrok panujący w środku rozjaśniało światło kilkunastu neonów reklamujących piwo. Faith Hill śpiewała, że miłość to tylko złudzenie. Przy barze stał rząd mężczyzn oglądających wyścigi samochodowe na gigantycznym telewizorze. Niemal jak jeden mąż obrócili się, kiedy drzwi się otworzyły.

Facet najbliżej wejścia był gigantem w wyprasowanych dżinsach, z głową przypominającą wielki granitowy głaz pod krótko ostrzyżoną siwiejącą czupryną. Zobaczył Augustę i kamień twarzy rozstąpił

się w szerokim uśmiechu.

– Mój Boże, duzi tu u was rosna – szepnęła. – Ten ma rozmiar kredensu. Nie, ciężarówka, w której przywieźli kredens.

Odrzuciła włosy takim gestem, jakby inspicjent właśnie wywołał ją na scenę, i podeszła do baru.

– Dobrze! To ja idę do toalety – zawołała Frances jej śladem, ale słowa trafiły już w próżnię.

Westchnąwszy, skierowała się w stronę znaku: JAŁÓWKI. Minęła pusty parkiet, a obok korral, w którym pod reflektorem stał mechaniczny byk, nieruchomy i bez jeźdźca. Wokół niego piętrzył się stos piankowych materacy o pokryciach wytartych od intensywnego używania. Na drewnianym parkanie odgradzającym byka od baru wisiał kolejny plakat: POKONASZ JERRY'EGO? WYGRASZ DWIEŚCIE DOLCÓW. TO NIE ŚCIEMA!

W łazience stało krzesło i Frances ciężko na nim przysiadła. Zbyt trudno było uporać się z tym ostatnim upokorzeniem. Pozbawiona karty kredytowej – odebranej jej tak, jakby była przestępcą – czuła się, jakby ziemia usuwała jej się spod nóg. Czemu nigdy nie doceniała tego słodkiego – och, jak słodkiego – odgłosu wydawanego przez bankomaty, póki jeszcze miała taką szansę? Kliknięcie otwierającej się przegródki na pieniądze, szelest wysuwających się banknotów. Powszedni akt magii, traktowany jak coś najzwyczajszego.

Z Augustą każdy dzień wydawał się końcem jakiejś drogi, a jednak zawsze okazywało się, że jest kolejny jej odcinek, wiodący w nieznaną. Frances przejrzała się w lustrze. Męczyła ją rola kukielki na sznurku, pchanej i ciągniętej to tu, to tam. Przecież mogła przejąć kontrolę nad tą jedną, bieżącą chwilą. Podróż powrotna w stronę szacunku do samej siebie mogła się zacząć od tego małego kroku. Ze względu na Augustę i na samą siebie mogła zrobić tylko jedno.

Trzęsącymi się dłońmi sięgnęła do torby i wyjęła komórkę. Przeglądała wysłane wiadomości, aż trafiła na adres i telefon, które Augusta wysłała jej z domu Pana Romansa. Szybko napisała wiadomość i zanim zdążyła się rozmyślić, wcisnęła przycisk wysyłania. „Może Pan nas znaleźć w Samotnej Jałówce przy autostradzie Ventura. Mamy to, co do Pana należy”.

Swoją towarzyszkę zastała przy barze, cementującą przyjaźń z wielkoludem. Ross – Frances wydawało się, że ma na imię Ross, ale mogło to także brzmieć Hoss, a nawet Boss – był rozwiedzionym budowlańcem. Brakowało mu także palca u lewej dłoni.

Auguście chyba podobała się uprzejmość Rossa skutkująca brakiem konieczności płacenia za własne drinki. Wydawało się nawet, że nie przeszkadza jej mięsista, czteropalczysta łapa spoczywająca poniżej jej talii ani fakt, że facet wdychał zapach chmury jej włosów.

Trzy drinki pojawiły się przed nimi na barze. Ross

wziął szklaneczkę tequili, uniósł ją do ust i odstawił głośno, pustą, na blat.

– Teraz ty – powiedział do Augusty. – O ile to dla ciebie nie za mocne.

Uniosła brew, patrząc na niego spod rzęs.

– Czy ja wyglądam jak kobieta, która pije pierwszego drinka? – Uniosła kieliszek w jego stronę. – Za twoją ciotuchną. – I jednym gładkim ruchem wlała alkohol w gardło, a potem odstawiła szkło do ponownego napełnienia. Wielki facet klepnął Augustę w ramię, od czego o mały włos się nie przewróciła. Kenny Chesney śpiewał o tym, że pragnie rzucić kobiety i whisky, a Augusta usiłowała przekrzyczeć muzykę: – Co to za okropny wypadek przytrafił się twojej ręce?

Ross nachylił się bliżej, przesuwając dłonią po plecach Augusty.

– Co tam, kotku?

– Zdaje się, że brak ci jednego kawałka!

– A! – Pociągnął długi łyk piwa. – Obrączka ślubna. Nie zauważyłem, że utkwiała mi w drzwiach nowej furgonetki. Zatrzasnąłem je. I papa, paluszku.

– Słyszałaś? – Augusta zwróciła się do Frances, podsuwając jej kolejnego shota. – Małżeństwo jest niebezpieczne dla zdrowia. Zawsze to powtarzam, ale nikt nie słucha.

W świetle wiszącego na ścianie neonu Miller High Life Augusta wyglądała dziko i pięknie. Promieniowała sukcesem dziewięciopalczastego podboju. Mężczyźni

w barze, nawet ci młodszy, spoglądali na nią z nad swoich piw. Frances natomiast czuła się zielona; dokuczał jej żółądek, i to wcale nie od tequili, którą Ross i jego kumple ciągle jej podsuwali. Zrobiła coś bardzo złego.

A może bardzo dobrego – było za wcześnie, żeby to stwierdzić. Znajdowały się w oku cyklonu, w tym momencie, zanim znów zapanuje chaos, i tylko ona jedna wiedziała, co się kroi. Augusta była nieświadoma i zadowolona z towarzystwa nowych znajomych.

Frances okręciła się ze stołkiem i o mało z niego nie spadła. Za dużo tequili, za dużo nerwów. W zagrodzie z mechanicznym bykiem ktoś z obsługi sprawdzał siodło, dopinając podtrzymujący je popręg. Łęk siodła błyszczał od częstego używania, strzemiona były porysowane i zdarte.

– Chcesz spróbować z Jerrym? – rozległo się zza baru.

– Że co, proszę? – Frances wróciła na swoje miejsce.

Barman miał szeroką, przyjazną twarz i kwadratowe zęby osadzone w kwadratowej szczęce. – Konkurs zaczyna się za dwadzieścia minut. Co piątek wieczorem wszyscy ci chłopcy próbują pokonać Jerry’ego. Utrzymaj się na grzbiecie dwie minuty, a wygrasz dwieście dolarów.

– Przydałoby mi się dwieście dolarów.

– To stań w kolejce, kotku. – Zaśmiał się i przechylił butelkę z tequilą. W jego szerokich brunatnych dłoniach szklanka wydawała się maleńka. – To na rachunek Rossa

– dodał, przesuwając ją po blacie.

Frances przyjrzała się szklance. Jeszcze jeden drink i znajdzie się pod stołem. Ale miała ochotę znieczulić się przed tym, co nadchodziło.

– Zrobiłam coś bardzo złego – szepnęła.

Barman przyglądał się jej przez chwilę. Troska w jego oczach mogła być zawodowa i udawana, ale równie dobrze mogła być szczera.

– Ty, ja i wszyscy tutaj – odparł i poszedł obsłużyć kolejnego klienta.

Augusta głośno zabawiała Rossa i jego kumpli anegdotą o słynnym aktorze filmów akcji, któremu peruka odkleiła się w trakcie stosunku. Ile czasu zajmuje droga z Los Angeles do Ventury? Nadal było dość czasu, by wyznać prawdę i uciec. Frances przymknęła oczy i wlała sobie tequilę do gardła. Alkohol był wstrętny, a zarazem cudowny.

Rozdział 39

Brodaty facet ześlizgnął się z grzbietu Jerry’ego, poszybował w powietrzu i wylądował z łomotem, od którego zatrzęsł się cały bar.

– Dobry Boże! – zawołała Augusta z zachwytem. – Zupełnie jakby waliła się Krzywa Wieża w Pizie.

Ross ryknął rubasznym śmiechem.

– Już prędzej Krzywa Wieża z pizzą.

Frances zsunęła się ze stołka i potykając się, podeszła do ogrodzenia otaczającego korral z bykiem. Brodacz leżał nieruchomo na plecach na podniszczonym piankowym materacu. Nachyliła się niżej: białe litery napisu na jego T-shircie („Darmowe Przejazdźki na Wąsach”) drżały, ruch był nieznaczny, ale gość oddychał.

– Żyje! – krzyknęła w stronę baru.

– No jasne, że żyje – odparł barman imieniem Kyle. – Ten facet przychodzi tu i zlatuje co tydzień, regularnie jak w zegarku. Zamiast mózgu ma smażonego kurczaka z Kentucky. – Za jej plecami, powalony na ziemię zawodnik jęknął i przewrócił się na bok.

Frances ostrożnie wróciła do baru. Minęło półtorej godziny, odkąd wysłała esemesa, mnóstwo czasu na dojazd z Los Angeles do Ventury. Może nie zamierzał

przyjechać? Może miał to gdzieś?

– Augusto, muszę ci coś powiedzieć – zagaiła, siadając na barowym stołku.

Ross trzymał głowę wtuloną w kark Augusty, ale pozbyła się go wzruszeniem ramion.

– Nic ci nie jest, kochanie? – Nachyliła się bliżej i przyjrzała uważnie Frances. – Robi ci się niedobrze? Mam cię wyprowadzić na zewnątrz?

W jej głosie brzmiała troska i Frances poczuła ukłucie winy.

– Nie, nic mi nie jest. Tylko że...

– To dobrze. Bo chcę, żebyś widziała, jak wycisnę wszystkie soki z tego byka.

Frances potrząsnęła głową, jakby mogła w ten sposób pozbyć się oparów tequili.

– Wydawało mi się, że powiedziałaś, że...

– Że przejadę się na tym byku. Tak. – Augusta wychyliła kolejny kieliszek, a potem wycisnęła sobie prosto do ust sok z limonki. Zdawała się jednocześnie nieprzytomnie pijana i zadziwiająco trzeźwa, jak doświadczony morski kapitan, który nie czuje już siły fal.

To wszystko wykraczało poza poziom chaosu, jaki Frances była zdolna znieść.

– To szaleństwo... – zaczęła, ale Augusta już zeszła ze stołka.

– Za bardzo się martwisz. Raz kiedyś grałam czarownicę w pewnym odcinku *Hammer House of*

Horror i musiałam jeździć konno... – Urwała i zmarszczyła brwi. – A może to był osioł...

– To coś... – Frances wskazała chwilowo pozbawionego jeźdźca byka. – To coś cię zamorduje.

– Bzdura. Potrzebujemy dwustu dolarów czy nie?

Frances poczuła się pokonana.

– Potrzebujemy.

– No sama widzisz. Martwisz się po prostu, że skończę jako kaleka, a ty będziesz musiała mi zmieniać cewnik. Co może być uzasadnioną obawą. – Augusta odsunęła Frances włosy z czoła gestem niepokojąco matczynym. – Jeśli złamię kark, zapisuję ci wszystko, czego nie posiadam.

Ross obrócił się do baru na chwiejnych nogach.

– Ta mała Angieleczka pojedzie na Jerry! I pokaże wam, miłe panie, jak to się robi. – Jego oświadczenie spotkało się z serią pogwizdywań.

Frances poczuła, że musi jakoś zapobiec wariactwu. Przecież to coś musi mieć gdzieś hamulec. Histeria tylko sprowokuje Augustę, odliczyła więc powoli do dziesięciu, chociaż pominęła siedem i musiała zacząć jeszcze raz od początku.

Później ujęła Augustę pod ramię, starając się, by nie wyglądało to desperacko.

– Słuchaj, ja rozumiem, że twoim zdaniem potrzebujemy gotówki – powiedziała. – Ale tak nie jest. Mogę rano zadzwonić do rodziców i oni przeleją pieniądze na mój rachunek. Nic nam nie grozi.

Augusta uścisnęła jej dłoń i popatrzyła w oczy. Promień światła z upstrzonej przez muchy lampy oświetlał wyłącznie bar, więc były na tej scenie we dwie, para aktorek niezważających na publiczność.

– Tego chcesz? Prosić matkę o pomoc? Sądziłam, że już jej odmówiłaś. Nie chcę, żebyś ze względu na mnie musiała sprzedać własną niezależność. – Frances nie wiedziała, co powiedzieć. Augusta powoli zdjęła jej dłoń ze swojego ramienia. – Już tak wiele zrobiłaś, Frances. Nie sądz, że tego nie wiem. Pozwól mi to zrobić. Dla nas obu.

Zsunęła się ze stołka niczym najtrzeźwiejsza osoba w barze. Cała płonęła poczuciem celu i jej zapal rozjaśnił przyćmione myśli Frances, uświadamiając jej coś, z czego zawsze zdawała sobie sprawę. Ona jest szczęśliwa, bo szykuje się do występu, pomyślała. Nawet jeśli zginie, to nie ma znaczenia, bo zginie na scenie.

Znów sięgnęła w stronę jej ramienia, ale chwyciła dłonią wyłącznie powietrze. Augusta rzuciła torbę na podłogę – laptop wylądował na niej z trzaskiem, który zagłuszył hawajskie gitary płynące z systemu nagłaśniającego. Podeszła do byka, jakby wychodziła na scenę w wieczór premiery.

– Nawet jeśli ci się uda, pieniędzy nie wystarczy! – wrzasnęła za nią Frances, ale słowa zmieniły się w jej ustach w zapychające, lepkie ciastko.

Augusta ją zignorowała. Stała już przy ogrodzeniu. Pokrzykiwania w barze osiągnęły ogłuszający poziom.

Ross wył jak kojot. Pomocnik otworzył przejście i Augusta podeszła do mechanicznego byka. Jej włosy w świetle górnego reflektora jarzyły się jak pochodnia.

Frances żałowała, że nie może sobie przypomnieć słów zdrowaśki, których koleżanka nauczyła ją w pierwszej licealnej – Katie wydawało się, że może być w ciąży i stoi przed groźbą zesłania do szkoły klasztornej za granicą.

W korralu Augusta zrzuciła z nóg buty na obcasach i jedną gołą stopę wyciągnęła w stronę kowboja z obsługi.

– Dosiadam!

– Wykluczone, do cholery! – Głos przebił się przez gadaninę, zagłuszając nawet płynącego z szafy grającej Luke’a Bryana. Frances doskonale wiedziała, do kogo należy, jeszcze zanim obróciła się w stronę drzwi i zobaczyła wysokiego mężczyznę z Fantasmagorii™. Poznała go po ciemnym garniturze i złamanym nosie, choć jaskrawofioletowy siniec na skroni dopełnił obrazu. Usta miał zaciśnięte w wąską, pełną goryczy linię. W cieniu Delleri stał Charles, chłopak z księgarni. Syn Augusty. Frances poczuła, że żołądek jej się zaciska. Chłopca się nie spodziewała. Augusta trwała nieruchomo w ostrym świetle, z jedną dłonią na siodle i ustami tworzącymi ciemną jaskinię zdumienia. Podjęła decyzję w ułamku sekundy i mocno opierając się na splecionych dłoniach asystenta, podźwignęła się na siodło. Kenneth przeszedł szybko przez bar,

spychając ludzi na boki. – Złaź – warknął.

– Odwal się – odpała Augusta i skierowanym w górę kciukiem dała znak asystentowi. Ten podszedł do kontrolek i byk zaczął powolny taniec, łagodnie kołysząc się w tył i w przód.

– Augusto! – zawołał Ken. – Martwa na nic mi się nie przydasz! – Ruszył w stronę korralu, ale drogę zastąpił mu Ross.

– Hej, ja tam nie wiem, skąd ty jesteś, ale to wolny kraj. Pozwól damie ujeżdżać.

Frances usłyszała echo pomrukiwań:

– Daj jej jeździć.

Deller odsunął ręce Rossa i zepchnął go na bok dość brutalnie. Ross też go popchnął. Nagle wyrósł między nimi Charles, jak szczenię między dwoma mastifami.

– Złaź mi z drogi – warknął Kenneth.

Ross się nachylił, napompowany odwagą marki Sauza Gold.

– A tobie się wydaje, że kto ty jesteś? Pieprzony król Anglii?

Kenneth złapał go za koszulę.

– Nie mamy króla, półgłówku.

Nagły, ostry krzyk przeszył powietrze w barze. Charles pobiegł w stronę korralu. Nie chcę patrzeć, pomyślała Frances, nie chcę na to patrzeć. Ale spojrzała.

Włosy Augusty powiewały swawolnie, gdy jej głowa latała na boki, w górę i w dół. Jerry podskakiwał i rzucał się, ale ona twardo siedziała w siodle. Nie

do wiary, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, ujeżdżała tego byka.

Asystent obserwujący ją z boku wybiegu skrzywił się. Pociągnął ku sobie jakąś dźwignię i nagle ruchy byka przybrały na sile. Maszyna rzucała się to w jedną, to w drugą stronę, kołysząc i stając dęba niczym łódź pochwycona przez huraganowe fale. Twarz Augusty aż pobielała z koncentracji. Byk zakręcił się diabelsko, a Frances usłyszała gdzieś obok siebie zduszony krzyk:

– Mamo!

Augusta też musiała go usłyszeć, bo podniosła wzrok. W tym momencie rozproszonej uwagi jej dłoń ześlizgnęła się z łęku. Wszyscy patrzyli, jak kobieta z wdziękiem zakreśliła łuk w powietrzu i wylądowała na ziemi.

Drzwi zatrzasnęły się i karetka wyjechała z parkingu na autostradę na migoczących światłach.

– Frances, spotkamy się w szpitalu – powiedział Kenneth. – Charles, jedziesz?

Chłopak stał obok Frances i dygotał w chłodzie nocy. Miał na sobie tylko bawełnianą koszulkę i Frances przyszło do głowy, czy nikt mu nie mówił, żeby wkładać sweter, kiedy wychodzi z domu. Charles pokręcił głową. Ken chyba chciał coś dodać, ale skinął tylko głową i złapał syna za ramię.

– Dwa tysiące drugi – powiedział chłopak, nie spuszczać oczu z ambulansu włączającego się do ruchu. Oboje spojrzeli na niego. – Wielkanoc dwa tysiące drugiego – powtórzył.

– Dobry Boże, faktycznie. – Kenneth zaczął się śmiać, ale szybko się opamiętał. – Wtedy też musieliśmy zapakować twoją matkę do karetki.

– Powiedziała, że wzięła za dużo leków przeciwhistaminowych. Na alergię, o której wtedy usłyszałem po raz pierwszy. Nigdy jej nie spytałem, ile leków przeciwhistaminowych trzeba wziąć, żeby stracić przytomność z twarzą w sosjerce.

Ken wyciągnął rękę i przygarnął chłopaka do siebie. Charles stał sztywno w jego uścisku.

Frances pochwyciła strzępek pytania:

– ...spróbujesz przyjechać?

Syn Augusty nadal stał obojętnie. Kenneth westchnął. Wyjął portfel, a z niego trochę gotówki i wcisnął Charlesowi do ręki. Skinął głową Frances i wsiadł do samochodu.

Obejrzała się na Charlesa, który wyglądał, jakby postarzał się o dziesięć lat. Pożałowała, że nie ma kurtki, którą mogłaby mu pożyczyć.

– To był bardzo dziwny dzień – powiedziała.

– Czy ja wiem? – odparł. – Całe moje dzieciństwo tak wyglądało.

Rozdział 40

Zasłony zaszeleściły podczas zasuwania wokół części sali oddziału ratunkowego, gdzie przywieziono Augustę. Leżała sztywno, z unieruchomioną głową. Usiłowała ją unieść, ale przeszywający ból przygwoździł ją do poduszki. Próbowwała coś dojrzeć ponad sztywnym kołnierzem. Może Charles przyjechał ją odwiedzić?

Nie. To nie był jej syn. Zamknęła oczy. Dlaczego nie przyjechał? Frances była tu, została wysłana po kawę do szpitalnego barku. Kenneth był i siedział obok jej łóżka, z nisko zwieszoną głową i dłońmi zaciśniętymi między kolanami. Ale chłopca nigdzie nie było widać.

Gdzieś niedaleko jakaś kobieta posapywała i głośno wzywała Boga. Powietrze pachniało rosołem z kury i środkiem dezynfekcyjnym. Gdy Augusta otworzyła oczy, zobaczyła, że pochyla się nad nią lekarz. Wyglądał młodziej niż Charles, ale oczy miał chłodne i oceniające. Miała wrażenie, że go nie przechytry.

– Panna Price? – spytał, zerkając w kartę choroby. – Jestem doktor Khan. Jak się pani czuje?

– Powinien pan zobaczyć tego, który spadł przede mną – mruknęła.

Nie uśmiechnął się, tylko nachylił, by zaświecić jej

w oczy małą latarką.

– Proszę popatrzeć w prawo.

Kiedy wykonała polecenie, zobaczyła Kennetha i jaskrawy, fioletowy siniec z boku jego twarzy. Poszkodowany niewymagający hospitalizacji.

– Doktorze, czy szybko ją pan wypisze? – spytał Ken.

– Raczej tak. To dość łagodny uraz tkanek miękkich. Chociaż chciałbym ją tu zostawić, póki nie minie działanie alkoholu. – Zaplótł ramiona na piersi. – Ile pani dziś wypiła?

Augusta otworzyła usta, a potem je zamknęła. W końcu odpowiedziała na pytanie.

Lekarz pokiwał głową.

– Widziałem już wyniki toksykologii. Chciałem się tylko przekonać, czy powie mi pani prawdę.

Lekko dotknął jej nadgarstka i wyszedł, zaciągając za sobą zasłonę.

Cholerny doktorek dba o mnie bardziej niż własny syn, pomyślała i zalała ją gęsta fala żalu. Usłyszała, że Deller podnosi się z krzesła.

– Augusto, wykończysz mnie.

– A ty mnie.

Potarł oczy grzbietem dłoni.

– Musisz zawsze się popisywać?

Odwróciła wzrok, bo ta uwaga nie zasługiwała na zaszczycenie go odpowiedzią. Po drugiej stronie kurtyny szloch kobiety przeszedł w długi, zduszony jęk. To był dziewiąty krąg piekła i była w nim sama.

– Ken – szepnęła – dlaczego Charles nie przyszedł?

W ostrych szpitalnych światłach jego twarz była znużona i pozbawiona koloru.

– To nie pies, Augusto. Nie przyleci w podskokach, kiedy zagwiżdżesz.

– Więc to wszystko moja wina.

Patrzyła, jak podszedł do zasłony i zawrócił. Po chwili się odezwał:

– Mogłabyś chociaż chłopaka przeprosić.

Ból przeszył jej szyję, kiedy spojrzała na niego z gniewem.

– Za co tak konkretnie?

– Za co? – Patrzył na nią z wysoka. Jego głos, zwykle spokojny i opanowany, uniósł się do krzyku: – Kazałaś mu między nami wybierać!

Augusta zastanawiała się nad najlepszym sposobem uszkodzenia tej zadowolonej z siebie gęby, kiedy pielęgniarka rozsunęła zasłony i popatrzyła na nich.

– Jakiś problem?

– Nie – odparł Ken i usiadł na krześle.

– Tylko jeśli chodzi o mój gust co do mężczyzn – mruknęła Augusta.

Pielęgniarka potrząsnęła głową, zasłoniła zasłonę i odeszła. Tym razem Augusta splótła ramiona na piersi, ignorując łzy, które spływały po jej policzkach i moczyły poduszkę. Nie da bydlakowi satysfakcji patrzenia, jak je ociera.

Nagle poczuła, że Ken wciska jej coś do ręki,

usłyszała szelest papieru. Z wysiłkiem uniosła głowę na tyle, że mogła zerknąć ponad usztywnieniem: na jej klatce piersiowej leżał znajomy błyszczący kwadracik w niebiesko-białym opakowaniu. Nie zmieniło się, odkąd była małą dziewczynką.

– Fajka pokoju – powiedział Ken. – Miętowy batonik Kendal. Pamiętam, że je lubiłaś. Jest sklep w Santa Monica... – Jego głos ucichł. Odsunął włosy z jej szyi i starł łzy grzbietem dłoni. – Pamiętasz, jak kiedyś pojechaliśmy do Krainy Jezior, jak normalni ludzie?

– A ty mnie zostawiłeś w Windermere...

– Bo wdałaś się w bójkę z jakimś starym brygadierem w sali jadalnej. Już nigdy nie mogę wrócić do tego pensjonatu. W Windermere mają ustaloną cenę za moją głowę.

– Nie rozśmieszaj mnie, to boli. – Rozwinął batonik i położył go na stoliczku koło łóżka, na formularzu, który czekał na jej podpis. Dobry Boże, jakoś będzie musiała za to zapłacić. Nigdy sobie nie wyobrażała, że zatęskni za brytyjską publiczną służbą zdrowia, z jej niedomytymi kątami i całodniowymi kolejkami. Jak wielki majątek będzie musiała wybulić za ten drogi amerykański szpital? Kenneth dostrzegł jej spojrzenie i obrócił formularz na drugą stronę. Zirytowana, sięgnęła po niego i gorący ból przeszył ją od ucha po ramię. Krzyknęła, a on niezgrabnie ujął jej dłoń, jakby się bał, że zrobi jej krzywdę. Przyszło jej do głowy, że może doznała poważniejszych obrażeń, niż jej mówią.

Może jakiś zakrzep w mózgu. To mogły być ich ostatnie wspólne chwile. – Ken, dlaczego nie ma mnie w twojej książce? – zapytała w końcu.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– Doprawdy, Augusto? Nawet teraz?

– To nie jest odpowiedź.

Wzruszył ramionami.

– Uznałem, że nie chciałybyś się w niej znaleźć.

– Może trochę. W korzystnym świetle.

– Ach... Więc chciałaś, żebym kłamał.

Z jej ust wyrwał się cichy jęk.

– O kurwa... – szepnęła. – Twój komputer. Zostawiłam go w torbie, w barze. – Zamknęła oczy. – Do tej pory na pewno już zniknął.

– I to wszystko, czym się martwisz?

– A to mało?

– Augusto, ale z ciebie dzikuska. Przecież ja mam kopie tego cholernego pliku.

Przez moment żadne z nich nic nie mówiło. Ona pierwsza przerwała ciszę:

– Czyli wszystko na nic.

– Obawiam się, że tak. Chociaż wkurza mnie, że szlag trafił moje pornosy.

Frances, wróciwszy z kawą, zastała Augustę i Kena trzymających się za brzuchy ze śmiechu. Stała przy

zasłonie, z kubkiem w każdej dłoni, i zastanawiała się, czemu człowiek w jednej chwili ma ochotę kogoś zabić, a w następnej w najlepsze się z nim zaśmiewa. To chyba dość męczący sposób na życie.

Rozdział 41

Augusta przyjrzała się swojej szyi w przymglonym odbiciu ulubionego lustra, zawieszonego w przedpokoju mieszkania. Wybrała to lustro, bo było zabytkowe, porysowane i wyrozumiałe, stanowiło ochronną wazelinę na obiektywie jej życia. Ból karku powoli mijał, zgodnie z obietnicą lekarza z Ventury.

Podróż samolotem do domu przypominałaby agonię, gdyby nie buteleczka oksykodonu w bagażu ręcznym. Augusta regularnie sięgała do niej i wsuwała tabletkę pod język, a potem połykała ją wraz z haustem wódki. Ochrciła tę kombinację mianem aksamitnego młota. Za każdym razem, kiedy się schylała, skrzywiona, żeby napełnić plastikowy kubeczek pod osłoną siedzenia, Frances pofukiwała na nią. Wreszcie wyrwała jej butelkę z ręki i schowała w szafce nad głową.

Augusta patrzyła w lustro i głaskała się po szyi. Słońce przydało jej trochę koloru, wyglądała raczej zdrowo, wzięwszy pod uwagę okoliczności. Gotowa stanąć przed kamerą.

– Co tam u biednego Kennetha? – spytała Alma Partridge, usadowiona przy stole jadalnym. – Nadal znosi cierpliwie, jak się nad nim znęcasz?

Augusta z wysiłkiem obróciła głowę i uśmiechnęła

się słodko do przyjaciółki.

– Żyje, moja miła. Czyli misja się nie powiodła.

Alma zachichotała.

– Nadal obstawiam, że oboje pojawicie się na moim pogrzebie, ręka w rękę, a potem wróćcie do wspólnej kawalerki w Croydon, gdzie spędzicie wieczór, oglądając *Morderstwa w Midsomer*.

– Ponadczasowa historia miłosna. – Augusta siadła przy stole i wzięła do ręki scenariusz. Nie powiedziała Almie, że Kenneth uregulował za nią szpitalny rachunek ani że obiecał pokazać jej maszynopis przed publikacją. Nie wspomniała też, że Charles nie odwiedził jej ani razu podczas dwudniowego pobytu w szpitalu. – Gdzie skończyłyśmy?

Alma poprawiła szkła do czytania.

– Błagałam cię chyba, żebyś nie ujawniała władzom mojego nikczemnego procederu.

– A, tak. – Augusta znalazła właściwe miejsce w scenariuszu. Usiadła prosto, ignorując ból szyi, i powiedziała z przepony, głosem wysokim i pełnym napięcia: – Jonathan, to niemożliwe. Nie mogę udawać, że tego nie widziałam.

– Pomyśl o wszystkim, co razem przeżyliśmy, Tesso – odparła szorstko Alma. – Błagam cię. Czy nasza miłość się już nie liczy? – Uniosła scenariusz bliżej oczu, a potem trzepnęła nim o stół. – Co za stek smętnych bzdur! Powodzenia przy recytacji tych kwestii, moja droga.

Augusta westchnęła i sięgnęła po dzbanek z herbatą. Alma miała rację – *Krąg kłamstw* okazał się melodramatycznym szajsem. Ale to mógł być szajs dobrze nagłośniony i zdobywający nagrody. Tessa to rola, która na nowo wystrzeli ją na orbitę publicznego zainteresowania. Najpierw jednak będzie musiała ją jeszcze raz przeczytać przed producentami. Na samą myśl zasychało jej w ustach. Już tak dawno nie musiała pokazywać, na co ją stać. A jeśli nie stać jej już na wiele?

Pokręciła głową, chcąc wyprzeć tę myśl.

– Jeszcze herbaty? – Napełniła filiżankę Almy z dzbanka, który znalazła w kącie szafki w kuchni i z którego spłukała kurz gorącą wodą. Całe jej mieszkanie było pełne herbat. Kiedy była mała, jej matka miała do wyboru ledwie dwa rodzaje: Typhoo i PG tips. To były pospolite, czarne herbaty, mocne i tanie. Teraz sklepowe półki ugięły się pod ciężarem mieszanek, istna dżungla owocowych lub ziołowych posmaków.

Marzył jej się prawdziwy drink, ale przez ostatnie trzy dni utrzymywała tę ochotę pod kontrolą. Kiedy korciło ją, by sięgnąć po szklanekę, zamiast niej brała do ręki scenariusz. Kiedy czuła, że zaczyna w niej buzować tygiel oskarżeń i poczucia winy, brała oksykodon i wszystko znów się uciszało. Kiedy pojawiała się przed nią blada i przerażona twarz Charlesa, zamykała oczy.

Zadzwonił dzwonek przy drzwiach i Augusta poszła

otworzyć. Wyrzała przez wizjer, chociaż wiedziała, kogo się spodziewać.

– Kochanie, jesteś wcieleniem punktualności – powitała Frances, która wydawała się upojona, jakby naładowała się energią w kalifornijskim powietrzu. Podróż, która o mało nie zabiła Augusty, przywróciła tej dziewczynie wigor. Dokładnie tak, jak jej to obiecała.

– Wyglądasz jak kobieta, której przydałoby się nieco herbaty. – Frances uniosła brew, spoglądając na dzbanek.

– Tak – potwierdziła Augusta sucho – prawdziwa herbata. – Alma wstała z miejsca, jedną drżącą dłonią podpierając się o stół. Augusta ujęła ją pod ramię i przyciągnęła do siebie. – Almo Partridge – powiedziała – przedstawiam ci Frances Bleeker.

Frances wyciągnęła rękę.

– Bardzo się cieszę, że nareszcie mogę panią poznać. Augusta mnóstwo mi o pani mówiła. O swojej starej przyjaciółce. – Zaczerwieniła się, gdy usłyszała własne słowa. – To znaczy...

– A ty jesteś nową przyjaciółką – uratowała ją Alma, ujmując jej dłoń. – Niełatwe zadanie. Gratuluję, że przetrwałaś.

– Tak naprawdę nie jestem Helen Keller – powiedziała Augusta. – Słyszę was.

Szyja ją zabolęła i odruchowo uniosła do niej dłoń. Potrzebowała oksykodonu. Zanim zdążyła przeprosić i wyjść, Frances położyła na stole jakąś kopertę.

– Szkic następnych sześciu rozdziałów – powiedziała.

– Radzenie sobie z rozpaczą, Nudne proszone obiady, Niemile widziane zaloty, Nietwarzowe fryzury, Plamy na tkaninach oraz Złamane serce.

– Życie w pigułce – zachwycała się Alma. – Powinnam była nadawać im tę samą kolejność według rangi.

– Dziękuję, kochanie – odparła Augusta. – Nie mogę się doczekać, aż napiszę więcej... – bezradnie zamachała dłonią w powietrzu, marszcząc brwi.

– *Wściekłej diwy* – dokończyła Frances.

– Właśnie! Doceniam, że odwalasz ten kawał czarnej roboty, Frances. Będę harowała razem z tobą, jak tylko skończę pracę przy *Kręgu kłamstw*. – Wypowiadając ten tytuł, czuła, że projekt staje się realny, że traci charakter zjawy, która rozplynie się wraz z nastaniem poranka.

Dziewczyna wzięła swoją herbatę.

– To może dziwne, ale pisanie sprawia mi przyjemność. Chyba urodziłam się, żeby pisać „na murzyna”.

Augusta położyła dłoń na ramieniu Frances i poklepała je niezręcznym ruchem. Z kuczka dziewczyny wysunęło się pasmo włosów i Augusta nagle nabrała ochoty, żeby je poprawić.

Scenariusz *Kręgu kłamstw* spoczywał na stole, napęczniały od wklejonych notatek. Na każdej stronie Augusta próbowała dokopać się do jakiejś cennej informacji, która mogłaby rzucić nieco światła na postać Tessy. Okładka wytarła się od ściskania

w dłoniach.

– Będziecie pamiętały o przesłuchaniu? – Augusta zmusiła się, by jej ton brzmiał pewnie. – Mój prywatny dwuosobowy fanklubie?

– Alma przyjedzie po ciebie taksówką – powiedziała Frances. – A ja spotkam się z wami w wytwórni. Mam to zapisane. – Wstała, wygładziła dzinsową spódnicę i leciutko się zachwiała w swoich sandałach na koturnie. Augusta dostrzegła, że po raz pierwszy zadała sobie trud, żeby prezentować się elegancko. Nie, nie elegancko. Seksownie. Złote obręcze w uszach, odrobina błyszczyku i nerwowy uśmiech. – Zobaczymy się w czwartek. Uroczo było cię poznać, Almo.

Augusta nagle zapragnęła, żeby Frances została.

– Możesz zjeść z nami kolację, jeśli chcesz. Alma i ja wybieramy się do Camden na odrobinę kiepskiego kebabu.

– Nie mogę – odparła Frances. – Mam randkę. – Impulsywnie przygarnęła cofającą się odruchowo Augustę i zamknęła ją w uścisku. Zupełnie jak uścisk, jakim żegna się umierających, pomyślała Augusta. – Nie martw się – Frances szepnęła jej do ucha. – Wszystko będzie dobrze.

Rozdział 42

To w sumie taki *The Economist* spośród pism o kotach – powiedział Stanley. Frances przesunęła świeczkę bliżej środka stołu, żeby przyjrzeć się publikacji. Pasiasty kot o zielonych oczach spoglądał na nią z niepowtarzalną, typową dla swojego gatunku mieszaniną wrogości i samozadowolenia. – Popatrz na tytuły. Robią trochę porządnej roboty. Jest artykuł o fatalnej higienie w schroniskach, a tutaj... – Przerzucił parę błyszczących stron z reklamami środków przeciw pchłom i myszek do zabawy. – W życiu nie czytałem lepszego reportażu o kociej opryszczce. – Frances popatrzyła na niego, wargi jej zadrżały. Stanley odchylił się na oparcie krzesła i rzucił pismo na stół. – Ja piórkuje... Naprawdę zastanawiam się, czy nie zostać redaktorem miesięcznika *Twój kot*. – Zgarbił się. – Jestem pismakiem od kotów.

Uśmiechnęła się do niego idiotycznie szerokim uśmiechem, nijak mającym się do rzeczywistości, z którą każde z nich musiało sobie radzić. Siedząc tu, w małej restauracyjce z tapas w Marylebone, czuła, jak ogarnia ją niezwykła radość. Stan zdawał się wyczerpany, a jednak lżejszy, jakby tracąc pracę, zrzucił z barków jakiś wielki ciężar.

– Mogło być gorzej – powiedziała. – Mogłeś pisać „na murzyna” książkę dla zalanej aktorki. Za bardzo psie pieniądze.

– Jest aż tak źle?

Przypomniała sobie ostre ukłucie paniki, jakie poczuła, widząc Augustę zwiniętą w kłębek na podłodze baru.

– Nie, w sumie nie. Zalane aktorki mają w sobie coś całkiem ujmującego. – Pogrzebała wśród *patatas bravas* na ich wspólnym talerzu. – Nie o nią się martwię, ale o siebie. Co zrobię ze sobą później. – Popatrzyła na niego i dostrzegła, że jak zwykle pominął fragment zarostu podczas golenia. Zanim zdołała się powstrzymać, sięgnęła ręką i musnęła jego policzek przelotnym gestem. Złapał jej palce i przytrzymał.

– Nie powinnaś się martwić – powiedział. – Wiem, że to brzmi ponuro. Wiem, że to wygląda jak moralne bagno, ale...

– Ale to przynajmniej nie zsyłka na prowincję.

– Ano. – Opuścił rękę, żeby dolać jej wina. – Poradzisz sobie, Frances. Masz przed sobą jeszcze mnóstwo dobrych lat.

Odlicz do dziesięciu, pomyślała i przymknęła oczy. Odlicz do dziesięciu tysięcy. Ani go nie uderzysz, ani się nie rozpłaczesz.

– Stanley...

– Znów coś palnąłem, tak?

Po wyjściu z restauracji poszli na spacer wzdłuż Marylebone High Street, walcząc z porywistym wiatrem. Poły trencza Stanleya łopotały, a Frances otuliła się mocno żakietem.

– Usiłowałem przedtem powiedzieć, dość nieudacznie, że masz przed sobą całą przyszłość. – Stanley przystanął i spojrzał na nią. Wyciągnął do niej rękę, sugerując, by ją ujęła. Bez słowa wsunęła w nią swoją dłoń.

Księżyc zniknął za chmurami. Dłoń Stanleya była ciepła i sucha. Ta odrobina cielesnego kontaktu wprawiła w ruch wszystkie trybiki. Frances zawadziła o jego bark ramieniem, kiedy przystanął przed bramą z kutego żelaza prowadzącą do kościoła parafialnego St. Marylebone. Z trawy przed jego murami wyłaniały się stare nagrobki.

– Wszyscy przetrwali – powiedziała, wskazując groby.

– Do pewnego momentu.

– Ale najważniejsze, że przetrwali. Cholerę, gruźlicę i gorsze rzeczy. Gorsze niż wszystko, co się przydarzyło nam. – Spojrzała na niego, ale jego twarz skrywał mrok. – Podsadź mnie.

– Co?

– Podsadź mnie przez ogrodzenie. Wchodzimy. Sprawdźmy, jak długo udało się wytrwać tym biednym

durniom. To nas powinno pocieszyć.

– Pogięło cię – powiedział, ale dosłyszała w jego głosie nową nutę. Podziw? Zaskoczenie? Uniosła jedną nogę i podciągnęła spódnicę. Stanley podstawił dłoń pod jej stopę, kciukiem przesuwając wcześniej po wypukłości uda.

– W górę – szepnęła. – I do zobaczenia po drugiej stronie.

Zaparł się i podsadził ją. Chwyliła za szpice zwieńczające parkan i już chciała...

– Wszystko w porządku, proszę pani? – Oboje zamarli. Dłoń Stanleya zaplątała się pod jej spódnicą, podczas gdy jedna noga Frances była już w połowie wysokości ogrodzenia. Powoli obrócili głowy. Przed nimi stał policjant. Patrzył na nich bez cienia uśmiechu. – Wszystko w porządku, proszę pani? – zapytał ponownie.

Frances bez słowa zsunęła się po ogrodzeniu.

– Czy to wygląda, jakbym napastował tę panią? – Stanley odsunął się od parkanu. Stał teraz, patrząc groźnie na policjanta. Frances położyła dłoń na jego ramieniu w uspokajającym geście.

– Nie mówiłem do pana – upomniał go mundurowy. – Proszę pani?

– Wszystko dobrze, panie władzo, dziękuję. Po prostu postanowiliśmy pójść na spacer i... – Spróbowała dziewczęco zachichotać. – No cóż, ten kościół jest taki ładny. Chciałam przyjrzeć mu się z bliska.

Policjant przez chwilę spoglądał w twarz Stanleya, coraz bardziej przypominającą imbryk bliski wrzenia.

– Rozumiem. Proszę jednak, żeby nie wdzierali się państwo na przykościelny cmentarz. Jest zamknięty nie bez powodu. Mogą państwo wrócić rano.

– Dobrze. Dobranoc, panie władzo.

– Dobranoc pani... – Rzucił ostatnie spojrzenie Stanley'owi z miną ledwie kontrolowanego niesmaku. – I panu.

Patrzyli, jak kieruje się na południe wzdłuż Marylebone High Street, od czasu do czasu zerkając do zaparkowanych samochodów.

– Kurwa, co to w ogóle było? – Stanley był wyraźnie zirytowany. – Myślał, że jestem jakimś starym zboczuchem, tak? To przez te włosy! – wrzasnął za policjantem. – Siwieję przedwcześnie! – Tego Frances już nie wytrzymała. Zgięła się ze śmiechu, zachłystując się własnym oddechem. Za każdym razem, kiedy próbowała chwycić powietrze, absurdalność całej scenki znów ją uderzała i dostawała kolejnego ataku. –

Nieładnie śmiać się ze starca – powiedział ponuro Stanley.

– Masz rację. Mógłbyś dostać zawału. – Frances nadal się zaśmiewała, ale teraz złapała za klapy jego płaszcza, żeby nie stracić równowagi. Zrozum aluzję, pomyślała. Raz wreszcie zrozum aluzję. Raz wreszcie...

Zrozumiał. Musnął grzbietem dłoni jej twarz, a potem pochylił się nad nią. Zupełnie, jakby ktoś przeciął

podtrzymujące ją sznurki. Poczuła, że klamra jego paska napiera na jej brzuch, posmakowała soli i wina, kiedy ją pocałował. Przesunęła głowę niżej, by móc przycisnąć wargi do tego niewielkiego, nieogolonego fragmentu na zaokrągleniu jego szczęki.

Rozdział 43

Była dziesiąta dziewiętnaście rano, czyli mniej niż minuta, odkąd po raz ostatni zerknęła na zegarek. Frances zmusiła się, żeby odłożyć telefon. Wpatrywanie się w niego nie mogło pomóc. Usiłowała uśmiechnąć się do agenta Augusty, siedzącego naprzeciwko, ale jego mina zastygła w wyrazie niepokoju. Wyglądał tak, jakby twarz przytrzasnęły mu drzwi autobusu.

Po raz czwarty w ciągu ostatnich dziesięciu minut David wstał z miejsca, podszedł do zewnętrznych drzwi poczekalni i wyrztał na korytarz. Potem wrócił, zaciskając wargi, a następnie wyciągnął komórkę z wewnętrznej kieszeni marynarki. Nawet pogrążona we własnym niepokoju, Frances współczuła mu: nie miał zbędnej czupryny, żeby móc rwać sobie włosy z głowy.

– Wyłączyła telefon – powiedziała.

Żałowała, że nie ma tu okna, przez które można by wyrzecć, ale siedzieli w suterenie brutalistycznego budynku w South Bank. W rogu niewielkiej poczekalni stał dystrybutor wody bez zapasu kubków. Znamienici aktorzy emanowali powagą z fotosów na wszystkich czterech ścianach. Ich obecność tylko pogłębiała jej niepokój.

– Na Waterloo Bridge były straszne korki – rzuciła w ciszę. – Widziałam, jak wyszłam z metra.

Pojawiła się w miejscu wyznaczonej próby na pół godziny przez umówionym przesłuchaniem Augusty. David już czekał. Teraz spojrział na nią obojętnie.

Drugie drzwi otworzyły się i do środka zajrzała kobieta w okularach i z dokumentami na podkładce w dłoni.

– Coś nowego? – Jej głos jeszcze dwadzieścia minut wcześniej brzmiał przyjaźnie.

David pokręcił głową i kobieta wycofała się bez słowa.

– Własnymi rękami ją zabiję – szepnął, po raz kolejny podchodząc do drzwi.

Frances nie oparła się spojrzeniu na telefon. Dziesiąta dwadzieścia trzy. Poczowała mdłości.

– Myślę, że dobrze będzie, jeśli postarasz się o kawę. Czarną kawę.

David odwrócił się od drzwi, popatrzył na nią i skinął głową.

– Przysięgałem, że nie pozwolę, żeby jeszcze kiedyś mnie to spotkało – powiedział, a potem wyszedł.

Oparła głowę o ścianę i spróbowała odegnąć od siebie złe przeczucia.

Nagle na końcu korytarza stuknęły jakieś drzwi. Frances się wyprostowała. Nieregularny stukot obcasów, jak pod koniec maratonu tanecznego. A potem znajomy głos:

– Idę, moi mili!

Wstrzymała oddech. Może jeszcze wszystko dobrze się skończy.

Albo i nie.

Do poczekalni chwiejnym krokiem weszła Alma Partridge – jak stary szarpa dźwigający znajomy bagaż. Niepewnie balansowała, podpierając się laską i uginając pod ciężarem Augusty.

– O cholera – mruknęła Frances i zerwała się na równe nogi.

Ujęła drugie ramię Augusty i poprowadziła zataczając się kobietę do krzesła. Odsunęła się o krok, chcąc ocenić sytuację. Ciemne oczy Augusty były na wpół zamknięte, a kosmyki rudych włosów wymykały się ze starannego koka, ale przynajmniej miała na sobie bluzkę, która dawała się dopiąć pod szyją. Problemem była głowa: chwiała się jak peonia na nadłamanej łodydze.

W drzwiach pojawił się David z dwoma kubkami kawy. Bez słowa wręczył jeden Almie. Jak wprawna obsługa toru wyścigowego, pracowali jednocześnie: David podtrzymał głowę Augusty, Alma podniosła kawę do jej ust.

– Pierdolony aksamitny młot... – wybełkotała Augusta.

David zerknął na nią, skonsternowany.

– To chyba środki przeciwbólowe plus wódka – stwierdziła Frances, na co agent przymknął oczy

i wymamrotał jakąś modlitwę.

– Widziałam ją już w gorszym stanie – zapewniła Alma. – Raz cały sezon grała w *Wachlarzu lady Windermere* i nie mogła sobie przypomnieć ani jednego spektaklu.

– Wybitnie umiesz mnie dobić, Almo – westchnął David.

Frances, która przykucnęła u ich stóp, miała ochotę potrząsnąć Augustą. Jak mogła odrzucić tak idealną ostatnią szansę? Skąd taki talent do sabotowania samej siebie?

Wtem drzwi się otworzyły i do pokoju weszła kobieta z dokumentami. Widząc Augustę, rozpartą na krześle, parsknęła z lekką drwiną. To wystarczyło. Mózg Augusty zarejestrował wyzwanie.

Majestatycznie wyprostowała się na krześle. Otworzyła oczy, błysnęły źrenice. Jednym pełnym wdzięku gestem odsunęła podtykaną jej przez Almę kawę.

– Kochanie, czy możemy zaczynać? – zapytała.

– Mogliśmy zacząć pół godziny temu. – Kobieta z podkładką pociągnęła nosem.

– Doprawdy, ogromnie mi przykro. Na Southampton Row byliśmy świadkami strasznego wypadku motocyklowego i musieliśmy na moment się zatrzymać, żeby moja towarzyszka – łagodnym gestem dotknęła ręki naburmuszonej Almy – mogła się pozbierać.

– No dobrze. Proszę wejść do środka, kiedy będzie

pani gotowa.

Augusta podniosła się z krzesła, głęboko odetchnęła i pomaszerowała do drzwi. Cała trójka poszła jej śladem i zajęła miejsca na niewielkiej widowni. W drugim rzędzie foteli siedziało dwóch mężczyzn ze scenariuszami na kolanach. Augusta przystanęła, żeby przywitać się z nimi, roześmiana i pogodna.

– Producenci – wyjaśnił David.

Augusta stabilnym krokiem wspięła się po schodkach na scenę. Nic nie wskazywało na to, że dziesięć minut wcześniej była bliska śpiączki.

– Jak ona to robi? – szepnęła Frances.

Alma wzruszyła ramionami.

– Aktorzy lubią, kiedy się na nich patrzy.

Na scenie był już drugi aktor, szczupły, siwowłosej mężczyzna o zrezygnowanej minie. Podniósł się na powitanie, a Frances dostrzegła, że dłonie Augusty drżą. Nerwy, pomyślała. To po prostu nerwy. Poradzi sobie.

Augusta usiadła na drugim składanym krześle. Reflektory włączono na pełną moc. Światło odbiło się w okularach siwowłosego aktora i wydobyło nagły połysk spoconego czoła Augusty. Starannie się ubrała na to przesłuchanie, w szarą garsonkę i malinowe zamszowe szpilki. Nerwowo rozpięła żakiet i wzięła do ręki scenariusz.

Frances ze swojego miejsca widziała tył głów producentów. Siedzieli w nieruchomym wyczekiwaniu.

Na widowni zapadła cisza. Frances usłyszała szept kóregoś z techników za sceną.

– Augusto? – odezwał się jeden z producentów. – Czekamy na ciebie. Zaczynasz od swojej kwestii.

Augusta odchrząknęła i pochyliła się, otwierając scenariusz. Frances widziała, że tekst drży w jej dłoniach. Brawura sprzed minuty gdzieś zniknęła. Kłykcie rąk Almy, zaciśniętych na główce laski, pobieleły.

– No, dalej – szepnął David. – Dasz radę.

Augusta oblizała wargi i spojrzała w mrok widowni. Frances, wstrząśnięta, nagle zrozumiała, co jest nie tak. Ona potrzebuje drinka.

– Augusto? – producent ponownie przemówił, tym razem z mniejszą cierpliwością. Jego partner sprawdzał coś w telefonie.

Augusta patrzyła na nich, zastygła w bezruchu. Frances poczuła, że łzy nabiegają jej do oczu, choć tym razem nie rozczułała się nad sobą.

Z całą godnością, na jaką jeszcze było ją stać, Augusta podniosła się i odłożyła scenariusz na krzesło.

– Będą mi panowie musieli wybaczyć – powiedziała. – Obawiam się, że źle się czuję.

Rozdział 44

U szczytu tablicy ogłoszeń przypięte pinezki tworzyły słowo UWAŻNOŚĆ. A przynajmniej Auguście wydawało się, że to UWAŻNOŚĆ, bo zbyt wiele pinezek wyciągnięto, żeby poprzypinać rozmaite zawiadomienia – zgłoszenia chętnych do opieki nad dzieckiem, skargi na to, że lodówka dla personelu nie jest sprządana.

Jak na klinikę to miejsce nie było takie złe. Augusta miała pokój dla siebie, a z jego okien widziała rzekę, co dawało jej trochę pociechy. Rano i po południu były obowiązki domowe, a kiedy nie było obowiązków domowych, odbywały się spotkania, więc miała mało czasu na myślenie. Co wieczór po kolacji korzystała z jednego z ogólnodostępnych komputerów, żeby pracować nad mailem do Charlesa. Jeszcze go nie wysłała.

Teraz weszła do głównej sali spotkań, owijając się ciasno szalem. To był rodzinny dzień wzajemnych oskarżeń, tortura znana dobrze z Wreckford Hall. W tej klinice nazywano ją Pełnym Kręgiem, a kiedy asystent spytał Augustę, czy będzie chciała się przyłączyć, pytanie miało charakter retoryczny. Sto razy bardziej wolałaby zostać na górze i wyszorować kibel. Człowiek przynajmniej wie, kiedy toaleta jest czysta, nigdy

natomiast nie jest w stanie przewidzieć, ile czasu będzie przemawiał wrogi członek rodziny.

Krzeseła ustawiono w niezbyt równy okrąg. Niemal połowa z nich była już zajęta przez grupki pacjentów i ich krewnych. Przy bufetowym termosie z kawą i talerzach bezglutenowych ciasteczek toczyły się nieliczne towarzyskie pogawędki. Powietrze wibrowało od napięcia niewyrażonych jeszcze żali.

W kącie sali przeszklone drzwi wychodziły na ścieżkę nad rzeką. Augusta podeszła popatrzeć na mętną Tamizę. Pomyśleć, że skończyła tutaj, w nudnym Chipswick, znów przyznając się do porażki. Czuła się strasznie stara. Na spotkaniach pojawiały się nastolatki zażywające narkotyki, o których w życiu nie słyszała.

– Augusto? – Petra, jedna z terapeutek, przywołała ją ruchem ręki z przeciwległej części sali. – Patrz, kto tu jest. Masz gościa. – Terapeutka uniosła dłoń do ust i teatralnym szeptem dodała: – Z Ameryki! – Augusta zamarła przy drzwiach. Odruchowo przygładziła włosy. A więc Charles jednak zechciał ją odwiedzić, mimo że nie udało jej się przeprosić go jak trzeba. Pierwszy wyciągał dłoń na zgodę. Przyjechał tu, żeby zostać wysłuchanym w obecności wszystkich tych obcych ludzi. Nie była pewna, czy jest na to gotowa. Powoli przeszła przez salę w stronę nawołującej ją Petry. Terapeutka miała ciemne włosy do pasa, splecione w warkocz. W jednej dłoni trzymała małą laleczkę z Andów, która rzekomo miała zachęcać do wyrażania skarg. – Popatrz,

Augusto – powtórzyła tonem, jakim mogłaby się zwracać do pięciolatki. – To twój pierwszy gość w Pełnym Kręgu.

Kiedy przy drzwiach zobaczyła Kennetha, nie była pewna, czy to, co czuje, to rozczarowanie czy też coś innego. Wszystkie jej emocje w tych dniach kłębiły się tuż pod powierzchnią i nie pozwalały kontrolować. Było to wysoce nieprzyjemne.

Niestety wyglądał dobrze. Przyzwyczała się do kombinacji szarego filcu i zmechaconych wełen, tymczasem Ken pojawił się w eleganckim, ciemnym garniturze, z twarzą muśniętą kalifornijskim słońcem. Pewnie zjechał do Londynu sprawić sobie koszule, próżny drań. Odwiedziny u niej wpadły mu do głowy w dalszej kolejności.

– W sumie bywałem już na takich rodzinnych sesjach terapii – zwrócił się do Petry.

– Nigdy – powiedziała Augusta z oburzeniem.

– Owszem, byłem dwukrotnie, kiedy przebywałeś w tamtym innym miejscu, w Hertfordshire.

Augusta otworzyła usta, chcąc zaprotestować, ale Petra uniosła laleczkę pomiędzy nimi.

– Julia mówi, żebyście zachowali to na spotkanie. – Przeszła na środek sali, zwołując do siebie rozproszone grupki.

Ken podszedł o krok do Augusty, a ona się nie odsunęła. Zrobił następny krok, a potem objął ją i trzymał w uścisku dłużej, niż to było konieczne.

Wtuliła nos w jego ramię. Po trzydziestu latach nadal pachniał tak samo.

– Naprawdę dwa razy przyjechałem cię odwiedzić – skarcił ją. – I Charlesa też przywoziłem. Ale ty nienawidziłaś tych sesji. Powiedziałaś, żebyśmy nigdy więcej nie przyjeżdżali.

– Kłamczuch.

– Wiesz, że nienawidzisz siedzieć na widowni, Augusto – mruknął w czubek jej głowy.

Odpychała go od siebie, gdy Petra zaklaskała, rozpoczynając spotkanie. Wszyscy zajęli miejsca, pacjenci z oczami wbitymi w ziemię i z ramionami zaplecionymi na piersi, ich udręczeni krewni rozglądający się nerwowo dokoła. Kto odezwie się pierwszy?

– Może ty, Kenneth? Czy chciałbyś powiedzieć coś Auguste o tym, jak jej zachowanie wpływało na ciebie?

Ken eleganckim ruchem poprawił mankiety koszuli, tak żeby było widać spinki, a potem usiadł.

– Chyba odrobinę zaczekam. Popatrzę, jak to się robi.

– Nie czuj się zażenowany. – Petra podsunęła mu laleczkę pod nos. – Jeśli będziesz się krępował zwracać do Augusty, mów do Julii.

Skrzywił się i odsunął lalkę na bok.

– Dziękuję. Poczekam, aż wypowiedzą się mądrzejsi ode mnie.

Augusta pod wpływem ulgi przygarbiła się na krześle. Teraz mogła wyciszyć napór rozmaitych

opowieści o niedolach, opuszczonych proszonych obiadach i koncertach, o zapłakanych dzieciach zostawionych samopas w wózkach, o butelkach skrywanych w koszach z brudną bielizną. Rutyna. Jeśli przymknie oczy, może zdoła się kwadrans zdrzemnąć.

Drgnęła, poczuwszy, że szturcha ją w ramię szpiczasty palec. Usiadła prosto.

– Może jednak coś dodam – usłyszała głos Kena i znów się zgarbiła. Nie była w stanie spojrzeć mu w oczy, ale czuła na sobie balast jego wzroku, ciężkiego od trzydziestu lat rozczarowań. Wziął głęboki oddech, zaczął coś mówić, urwał. Krąg znudzonych, współczujących twarzy czekał na jego słowa. –

Za naszego syna mówić nie mogę. Bo to nie do mnie należy. Augusta wie, co zaszło. Wie, co jest prawdą, a co... jest nią mniej. I to jest coś, co będą musieli sami między sobą załatwić. Nie jestem pewien, czy kiedyś do tego dojdzie, bo oboje spieprzyli to tak kompletnie. – Kilka smutnych śmieszków. Augusta zwinęła końce rękawów swetra i mocno zacisnęła na nich dłonie. Nie zamierzała płakać przy obcych. Obrócił się do niej, a ona poczuła, że wbrew własnej woli unosi oczy na spotkanie jego spojrzenia. Ujął ją za rękę. Nie stawiała oporu. – Powiem tyle: jestem na ciebie zły, Augusto. I na siebie też. Jestem zły, że nadal się przejmuję. Jestem zły, bo pewnie miesiącami nawet o mnie nie pomyślisz, a ja myślę o tobie bez przerwy. –

Urwał i pokręcił głową. – Wiem, co będzie dalej.

Wiem, że zawsze jedna osoba całuje, a druga nadstawia policzek... – Jego głos ucichł i kierowana odruchem, którego nie umiała zrozumieć, uścisnęła jego rękę. Grupa czekała, ale kiedy Kenneth odezwał się ponownie, zwracał się już tylko do Augusty: – Zeszłego lata wynająłem domek w Big Bear, a kiedy wracałem samochodem do miasta, na jakimś moście dostrzegłem kobietę, która miała dokładnie taki sam zarys ramion jak ty. O mały włos nie zjechałem z drogi. Ta kobieta zaskoczyła mnie, bo jadąc tamtą trasą nie myślałem o tobie. Zrozumiałem, że bite trzy dni z rzędu o tobie nie pomyślałem! I byłem upojony. Upojony! – Siedzieli, patrząc na siebie, jakby zapomnieli o reszcie grupy. – Nie mam więcej nic do dodania. – Dotknął jej policzka, tak jak zrobił to poprzednio w szpitalu. – Ja już nie chcę być tym, który wiecznie całuje, Augusto.

Rozdział 45

Wiatr od rzeki zaszeleścił kawałkiem papieru w rękę Augusty. Frances zerknęła na przyjaciółkę spod oka. Trudno ją było rozpoznać w bezkształtnym błękitnym swetrze z Marks & Spencer, ukrywającym zarys biustu, z twarzą pozbawioną makijażu. Pomyślała, że wygląda wspaniale.

Bez spoglądania w jej stronę Augusta podała jej kartkę. Na górze, niebieskim pisakiem, namazała słowo: „Fakty”. Pod spodem stało: „Lubię pić”.

Frances złożyła papier i spojrzała w stronę rzeki. Środkiem płynęła ósemka ze sternikiem, walcząca z wiatrem i prądem. Słyszała, jak sternik ich ruga, jego głos niósł się w zimnym powietrzu. Od strony ścieżki przy rzece nadchodziło w ich stronę jakieś małżeństwo w podeszłym wieku, wspólnie stawiając opór wiatrowi.

– Ja to już wiem – powiedziała. Starszy pan podpierał się laską, a jego żona trzymała go pod drugie ramię i pomagała iść. Czy ona i Stanley też któregoś dnia będą szli tą samą alejką, zniedołężniali, ale wciąż razem? Obróciła się do Augusty. – Wiem, że lubisz wypić. Ale musisz sobie przypominać, że to już dziesięć dni, a ty niczego nie wypijaś. Ani nie wzięłaś.

– To prawda – przyznała Augusta i dość głośno

dodała: – Kurwa, czuję się tak, jakby ktoś przenicował mi mózg.

Starsza pani obejrzała się, przerażona, i pociągnęła męża za ramię. Wioślarze zniknęli pod mostem.

– Wyobrażam sobie, że niedługo poczujesz się lepiej – powiedziała Frances. – A kiedy wyjdiesz, David powiedział, że chętnie...

Augusta uniosła dłoń. Paznokcie miała obgryzione na krótko.

– Przestań. W tej chwili nie jestem w stanie o tym myśleć.

Obserwowały dwie mewy walczące o frytkę na skraju ścieżki. Frances wyprostowała się nagle.

– Jak mogłam zapomnieć ci o tym powiedzieć! Wydawcy spodobał się szkic książki.

– Masz na myśli *Sukę w opałach*?

– Niestety, twój nowy tytuł odrzucili. – Frances wygrzebała telefon z torby i przejrzała wiadomości. –

To znaczy teraz faktycznie będziemy musiały rozpisać całość, ale podobał im się zaproponowany przez nas kierunek. Naturalnie, bardzo się cieszą, że jesteś na odwyku...

– W wypoczynkowym ustroniu.

– Dobrze, cieszą się, że przebywasz w wypoczynkowym ustroniu, bo to przydaje całej historii rysu odkupienia.

– Jedyne problem w tym, że dla historii o odkupieniu powinnam zostać odkupiona. – Augusta wyjęła

z kieszeni papierosa. Wyłudziła go od terapeutki o smutnych oczach, która pracowała z samookaleczającymi się nastolatkami. Mentolowe. Jakby paliło się pastę do zębów. – Wiesz, terapeuta zapytał mnie któregoś dnia, co widzę, kiedy oglądam się wstecz. A ja odparłam: „Widzę za sobą wszystkie swoje porażki jak szlak okruchów chleba”. – Zapaliła i zaciągnęła się mocno. – A on mi na to, że muszę popracować nad technikami wizualizacji. – Frances zaczęła coś mówić, ale się rozmyśliła. Niepewnym ruchem wyciągnęła dłoń i położyła ją na ramieniu Augusty. Bała się, że przyjaciółka tę dłoń strząśnie, ale Augusta ani drgnęła. Patrzyły, jak jedna z mew wyrwa rywalce tłustą frytkę i odlatuje. Rzeka hipnotyzowała je leniwym tokiem wód. – Nie oddawaj światu tego, co w tobie najlepsze, Frances – odezwała się nagle Augusta.

– Co takiego?

– Będzie cię kusilo, ale nie rób tego. Najlepszą część zachowaj dla siebie, tę najzyczliwszą i najdzielniejszą część. Dla siebie. – Zdusiła butem niedopałek. – I dla tych denerwujących dzieciaków, których się dorobisz.

Wiatr się wzmógł i Frances raz po raz musiała odgarniać włosy z oczu.

– Bo ty tak nie zrobiłaś – powiedziała w zamyśleniu.

– Kochanie, przecież to chyba jasne! – Razem patrzyły, jak zwycięska mewa wzbija się w powietrze. Obciążona zdobyczą, walczyła przeciw wiatrowi, biła skrzydłami, aż wreszcie udało jej się wyrwać i unieść

w górę wraz z wznoszącym prądem. Po chwili zniknęła im z oczu. – Chodź – powiedziała Augusta. – Wracamy do środka. Mamy robotę.

Podziękowania

Jestem głęboko wdzięczna wszystkim przyjaciołom, którzy oferowali mi niesłabnące wsparcie i opierali się pokusie pytania: „Jeszcze nie skończyłaś?”. Pragnę szczególnie podziękować Karen Evans i Sarah Withrow, które czytały wczesne wersje powieści i podsuwały propozycje mądrych zmian, których sama w swej krótkowzroczności nie dostrzegałam. Szczodrzy angielscy przyjaciele, a zwłaszcza James Payne, Greg Cheverall, Joanne Shurwell i Phil Jackman, dzielili się swoją głęboką wiedzą o egzotycznych brytyjskich zwyczajach. Mój agent, John Pearce, trzymał pewną i spokojną dłoń na sterze, a cudowna załoga z House of Anansi sprawiła, że okręt dotarł bezpiecznie do portu. Sarah MacLachlan od samego początku okazywała swoją wiarę. Mam też niezmierne szczęście, że Janie Yoon jest moją redaktorką i pod każdym względem prawdziwą partnerką. Melanie Little skrupulatnie i z wyczuciem zajęła się korektą.

Żadne podziękowania nie byłyby pełne bez wyrazów wdzięczności dla mojej matki, Mildred Renzetti, oraz teściów, Pat i Lou Saundersów, niezmordowanych w niesieniu pomocy. Jestem też ogromnie wdzięczna swoim dzieciom, Griffowi i Maud, za to, że radośnie

pozwalaly się pilnować dziadkom, z zaangażowaniem zajmowały się własnymi zabawami i rzadko skarżyły, kiedy mama znów siedziała zapatrzona w przestrzeń.

Moi wybitni koledzy z „Globe and Mail”, którzy wcale nie są podobni do dziennikarzy z „London Advance”, rozśmieszali mnie i dbali, bym ciągle kochała świat gazet. Bloor-Gladstone, oddział Publicznej Biblioteki Toronto, okazał się oazą ciszy, gdzie mogłam pracować i obgryzać paznokcie.

Przede wszystkim zaś chciałabym podziękować Dougowi Saundersowi, bez którego napisanie tej książki nie byłoby możliwe. Zachęcał mnie, udzielał znakomitych redaktorskich rad i wydzielał szkocką w ilościach dokładnie odpowiadających moim potrzebom. Lepszego partnera – z którym tylko konie kraść – kobieta nie mogłaby znaleźć.

Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)
[Rozdział 25](#)
[Rozdział 26](#)
[Rozdział 27](#)
[Rozdział 28](#)
[Rozdział 29](#)
[Rozdział 30](#)
[Rozdział 31](#)
[Rozdział 32](#)
[Rozdział 33](#)
[Rozdział 34](#)
[Rozdział 35](#)
[Rozdział 36](#)
[Rozdział 37](#)
[Rozdział 38](#)
[Rozdział 39](#)
[Rozdział 40](#)
[Rozdział 41](#)
[Rozdział 42](#)
[Rozdział 43](#)
[Rozdział 44](#)
[Rozdział 45](#)
[Podziękowania](#)